

MARIA RADOMSKA

## OSTATNI PREZYDENT RP NA UCHODŹSTWIE – DRUH RYSZARD KACZOROWSKI

*Na 90-te Urodziny*

W słoneczny poranek wrześniowy krążyło nad Warszawą kilka samolotów myśliwskich, jak w równie bezchmurnych ostatnich dniach sierpnia 1939 r. Nie były to jednak ćwiczenia lotnicze. Włączone radio rozwiało tę iluzję powtarzając, iż o 4.45 niemieckie wojska przekroczyły nasze granice. Więc wojna!

Dnia 17-go września Czerwona Armia wbiła nam „nóż w plecy” – nazajutrz podała prasa. Ostatni Prezydent wolnej Rzeczypospolitej Polskiej profesor Ignacy Mościcki wraz z Rządem opuścił tego dnia kraj, udając się – jak też Marszałek Edward Rydz Śmigły ze Sztabem i wojskiem – do Rumunii. Miała ona zapewnić „droit de passage”: prawo przejścia przez jej terytorium polskim władzom i wojsku z bronią i bez uszczuplenia praw politycznych. Jednak wbrew umowie, zawartej przez Ministra Spraw Zagranicznych pułkownika Józefa Becka z królestwem Rumunii, nastąpiło ich internowanie. W tej sytuacji Prezydent podał się do dymisji desygnując na swojego następcę Władysława Raczkiewicza ambasadora RP w Londynie, przebywającego naówczas w ambasadzie polskiej w Paryżu. Tak zaczęła się półwieczna historia urzędowania naszych kolejnych prezydentów poza granicami zniewolonej Ojczyzny.

Ostatnim szóstym Prezydentem RP na Uchodźstwie był Ryszard Kaczorowski, który przebył na to zaszczytne stanowisko niewątpliwie najtrudniejszą drogę. Prowadziła ona bowiem przez więzienia i łagry sowieckie zanim opuścił ZSRR w szeregach Armii Polskiej. Toteż za jej początek należy uznać dzień 17 lipca 1940 roku, gdy NKWD aresztowało go w Białymstoku. Urodzony tamże dnia 26 listopada 1919 roku w rodzinie szlacheckiej Kaczorowskich herbu Jelita – Wacława i Jadwigi z Sawickich, miał wtedy niespełna 21 lat.

### **Lata wojny 1939-1945**

W 1939 roku przyszedł Prezydent był już absolwentem średniej szkoły handlowej, instruktorem harcerskim i od sierpnia 1939 roku zastępcą Komendanta Pogotowia Harcerskiego – formacji powołanej do służby pomocniczej w związku z nadciągającą wojną. Po jej wybuchu awansował na Zastępcę Hufcowego w konspiracyjnym ZHP, w styczniu 1940 roku na Hufcowego Białostockiego Hufca Szarych Szeregów i na za-

stepcę Komendanta Białostockiej Chorągwi. Był zarazem łącznikiem do Komendy Związku Walki Zbrojnej w Warszawie. W czerwcu 1940 roku objął funkcję Komendanta Białostockiej Chorągwi Szarych Szeregów. W parę tygodni później ujęło go NKWD. Przewieziony do Mińska stanął przed Najwyższym Sądem Białoruskiej Sowieckiej Republiki i po dwudniowym procesie otrzymał wyrok śmierci. Zanim go wykonano Najwyższy Sąd Związku Sowieckiego zamienił go na 10 lat łagrów na Kółymie. Nie wyobrażalne dla Europejczyków zabójcze, wyniszczające warunki życia i pracy w azjatyckiej części Imperium Sowieckiego poznały tysiące Sybiraków, wywiezionych całymi rodzinami z Kresów Wschodnich na zesłanie za sam fakt, iż byli Polakami. O ileż straszniejsze warunki mieli w Kręgu Polarnym skazani wyrokiem sądowym więźniowie polityczni, wiedzą tylko ci, którzy przeżyli.

Inwazja Niemców na ZSRR skróciła dziesięcioletnią karę Ryszarda Kaczorowskiego do około dwóch lat, gdyż Generalissimus Józef Stalin, przerażony zwycięskim pochodem „Germańców” w głąb swoich terytoriów, szukał pomocy polskich łągierników i zesłańców. Dnia 30 lipca 1941 roku został zawarty w Londynie układ „Sikorski – Majski” o współpracy polityczno-wojskowej z istotnym punktem dotyczącym amnestii dla Polaków w celu zorganizowania Armii Polskiej przez zwolnionego z Łubianki generała Władysława Andersa. Również z Łubianki wyszła ppłk. Bronisława Wysłouchowa, organizatorka PSK – Pomocniczej Służby Kobiet w Polskiej Armii. Gdy w 1942 roku wojsko wraz z ludnością cywilną opuszczało ZSRR, ewakuacja na Bliski Wschód objęła też setki małej młodzieży ze szkół i sierocińców utworzonych przy Armii, dzięki którym mimo że nie miały nikogo z rodziny w wojsku mogły opuścić nieludzką ziemię.

Małoletnie dziewczęta ze Szkół Junaczek w Karkin Batasz (Dolina śmierci) i Kermine w Uzbekistanie poprzez Persję (Iran) i Irak znalazły się w Szkole Młodszych Ochotniczek osiadłej ostatecznie w Palestynie – w Klasztorze Franciszkańskim w Nazarecie do 1947 roku. Przede wszystkim regenerowały tam zdrowie i uczyły się do 18-go roku życia, przechodząc następnie już jako Ochotniczki do czynnej służby w PSK. Zaś chłopcy kontynuowali naukę w Szkołach Junaków i Kadetów – w Barbarze, Jeninie i Heliopolis.<sup>1</sup> Placówki te istniały dzięki ofiarności polskich żołnierzy, gdyż 8. British Liberation Army, w skład której wszedł

---

<sup>1</sup> M. Radomska, *Szkoła Junaczek i Szkoły Młodszych Ochotniczek w Armii Polskiej na Wschodzie*, [w:] *"Przez burze pod wiatr". Szkolnictwo i oświata polska na Zachodzie w czasie drugiej wojny światowej*, Białystok 2001, s. 201-218; M. Radomska, *W 65 rocznicę rozkazu gen. Władysława Andersa o utworzeniu szkół junaczek i junaków w ZSRR*, „Zesłaniec”, 2007, 32, s. 31-41; M. Radomska, *65 lat temu... Szkoły Junackie przepustką do życia*, „Gazeta Uniwersytecka UR”, Rzeszów, 2007, 5(48), s. 15-17; J. Małecki, *Gimnazjum i Liceum 3. Dywizji Strzelców Karpackich 2. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie*, [w:] *Nauczyciele – Uczniowie. Solidarność Pokoleń. Szkolnictwo i oświata polska na Zachodzie w czasie drugiej wojny światowej*, Warszawa 2007, s. 68-85.

2. Korpus, nie przewidywała istnienia formacji dziecięcych w wojsku, ani tym bardziej ich finansowania.

Druh R. Kaczorowski znalazł się w pierwszym kontyngencie 25 tysięcy żołnierzy, którzy dopłynęli do Persji w marcu 1942 roku. W konsekwencji służył w 3. Dywizji Strzelców Karpackich utworzonej w 2. Korpusie Polskim, powstałym z połączenia armii dowodzonej przez generała W. Andersa z Samodzielną Brygadą Strzelców Karpackich generała Stanisława Kopańskiego. Po przeszkoleniu ogólnowojskowym i specjalistycznym na Bliskim Wschodzie odbył w Batalionie Łączności całą kampanię włoską – po ostatnią jej bitwę o Ankonę.

Z początkiem 1945 roku w okresie zastoju operacyjnego podczas walk pozycyjnych nad rzeką Senio 3. DSK utworzyła w strefie przyfrontowej szkołę średnią dla 400 swoich żołnierzy w Bagno di Romagna a następnie w Terra del Sole koło Forli. Były to Kursy Maturalne, przerabiające w skróconym trybie program trzeciej i czwartej klasy gimnazjum oraz program klas licealnych.<sup>2</sup> W niej właśnie małą maturę uzyskał Ryszard Kaczorowski.

Spełniając młodzieńcze Przymierzenie: *Mam szczerą wolę całym życiem służyć Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu*, łączył służbę żołnierską z działalnością harcerza w roli zastępcy Komendanta Hufca Szkolnego w 3 DSK, którym był ppor. Mikołaj Nikon, nauczyciel biologii, wywieziony z Grodna.

Ten szczerzy patriota polski, gdy wiele lat po wojnie – z pomocą druhen z Londynu odnalazłam go w Australii, okazał się rodowitym Białorusinem i przewodniczącym związku osiadłych tam rodaków. Jednak angażował się w życie australijskiej Polonii. Regularnie czytał tygodnik „Polityka”, acz docierający drogą morską z „zaledwie” trzymiesięcznym opóźnieniem. Gdy – nie pamiętam w którą rocznicę bitwy o Monte Cassino – przesłałam mu fotografię Cmentarza Polskiego, wykorzystał ją do wspomnienia, opublikowanego w prasie polonijnej. Bywając w Polsce umawiał mnie na spotkanie. Korespondowaliśmy regularnie; dostałam od niego również kilka fotografii z Druhem R. Kaczorowskim w Sydney i drobne upominki.

### W szkołach 2. Korpusu (1945-1947)

Po kapitulacji Trzeciej Rzeszy wobec masowego napływu żołnierzy Armii Krajowej, młodzieży wywiezionej na roboty oraz wcielonych siłą do Wehrmachtu mieszkańców Śląska i Pomorza zostało otwartych kilka męskich szkół średnich. Jedną z nich było Gimnazjum i Liceum 3. Dywizji Strzelców Karpackich dla tysiąca uczniów. Grono pedagogiczne uzupełnili oficerowie rezerwy z Oflagu VIIA w Murnau pod Monachium i z innych obozów. Mieściło się w położonych nieopodal siebie miastecz-

<sup>2</sup> J. Małecki, *Gimnazjum i Liceum 3. Dywizji Strzelców Karpackich ...*, op. cit.

kach w Apeninach Emiliańskich: Amandoli – z liceum typu matematycznego i Sarnano z klasami typu humanistycznego. Kontynuował w nim naukę druh R. Kaczorowski będąc zarazem zastępcą Hufcowego w 3. DSK ppor. M. Nikona – nauczyciela tego liceum. Działał tam starszoharcerski „Krağ Wędrownych Zniczy – Kosodrzew”, kierowany przez plutonowego podchorążego Władka Niepokólczyckiego.

Dowództwo 2. Korpusu zatroszczyło się również o przygotowanie dziewcząt do cywilnego życia otwierając w dniu 4 marca 1945 roku Kurs Maturalny w Porto San Giorgio dla 70 kandydatek z różnych jednostek PSK.<sup>3</sup> Siedzibą był Dom Wczasowy PCK w pałacu zwanym „Willą Bonaparte”, gdyż ongiś zamieszkałym przez Heronima, brata Napoleona.

W tym samym budynku została zakwaterowana Kompania Szkolna jedynej wojskowej żeńskiej szkoły średniej – Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego dla Ochotniczek PSK 2. Korpusu, otwartego dnia 6 grudnia 1945 roku. Do ostatniej matury w Anglii w 1948 roku przeszło przez nią około 300 uczennic.

Utworzenie tej szkoły zapowiedział gen. W. Anders wizytując w dniu 22 maja 1945 roku Karny Obóz Jeniecki Kobiet – Żołnierzy Armii Krajowej, Stalag VI C Oberlangen z zespołu karnych obozów Emslandu. Zgromadzono w nim kobiety z „macierzystych” stalagów za protesty przeciw wysyłaniu na komenderówki do zakładów zbrojeniowych i odmowę przejścia na *freiwillige Arbeiter*. Wyzwolony 12 kwietnia 1945 roku przez patrol z 1. Dywizji Pancerniej generała Stanisława Maczka spoza pobliskiej holenderskiej granicy liczył 1.728 *Kriegsgefangenen*. Spośród nich rekrutowały się kandydatki do tej obiecanej szkoły.<sup>4</sup>

Było w niej 219 uczennic, w czym ponad połowę stanowiły „Pestki”, zawdzięczające generałowi W. Andersowi życie i naukę w Szkołach Junaczek w ZSRR, kontynuowaną w Szkole Młodszych Ochotniczek w Nazarecie. Wcielane po ukończeniu 18 lat do Pomocniczej Służby Kobiet pracowały w łączności, kompaniach transportowych, szpitalach, administracji i innych działach na Bliskim Wschodzie oraz podczas walk we Włoszech. Nie wiele mniej było „Akaczek” z Wojskowej Służby Kobiet, z których większość trafiła do Armii Krajowej poprzez Szare Szeregi, toteż i w niewoli kontynuowały działalność harcerską.<sup>5</sup> Były także *häftlingi Konzentrations Lager Rawensbrück*: Zofia i Marysia Emich,

<sup>3</sup> M. Radomska, *Kurs maturalny dla Ochotniczek Pomocniczej Służby Kobiet 2 Korpusu Polskiego w roku 1945 we Włoszech. Materiały do Dziejów Oświaty w Okresie Okupacji Hitlerowskiej (1939-1945) na terenie Podziemnego Okręgu Szkolnego Krakowskiego*, „Rocznik Komisji Nauk Pedagogicznych PAN. Oddział w Krakowie”, 1984, t. XXXIII, s.79-83.

<sup>4</sup> M. Radomska, *Kurs maturalny oraz Gimnazjum i Liceum dla Ochotniczek PSK 2 Korpusu (1945-1948). Nauczyciele – Uczniowie, Solidarność Pokoleń* [w:] *Szkolnictwo i oświata polska na Zachodzie w czasie drugiej wojny światowej*, Warszawa, 2007 s. 219-240; M. Radomska, *My ze stalagu VI C*, [w:] *Nasza Niezwykła Szkoła Porto San Giorgio – Foxley 1945-1948*. Praca zbiorowa, Londyn, 1985, s.134-143.

pierwsze małoletnie więźniarki Pawiaka, aresztowane w styczniu 1940 roku z rodzicami i starszym bratem, rozstrzelanymi w Palmirach, Zosia Górską aresztowaną w 1941 roku w Radomiu i Edwarda Stopczyńską. Reprezentacja każdej z tych grup znalazła się w utworzonym spontanicznie Starszoharcerskim Kręgu „Sosny”, którego zostałam wodzem będąc uczennicą I klasy licealnej.<sup>6</sup>

W rybackim Porto San Giorgio nad Adriatykiem, w przyjaznym otoczeniu Włochów i pod serdeczną opieką władz wojskowych przeżywałyśmy najszcześniejszy w życiu pierwszy rok wolności, wymarzonego żołnierskiego munduru i upragnionego kontynuowania nauki. Był to czas niezachwianej wiary, że wszyscy razem pod wodzą generała Władysława Andersa wrócimy „z ziemi włoskiej do Polski”, czyniąc ją Niepodległą.

Wielka Trójka – Winston Churchill, Franklin Roosevelt i Józef Stalin – przekreśliła te polskie nadzieje, acz tajne były naówczas i długo, długo jeszcze nie ujawniane zdradzieckie decyzje z Jałty (4-11 lutego) oraz Poczdamu (17 lipca-2 sierpnia) 1945 roku. Przesuwały na zachód terytorium Polski, zmniejszone do dwóch trzecich przedwojennej powierzchni, i oddawały ją pod hegemonię Moskwy.

W tym to czasie ufnej, radosnej młodości poznałam druha Ryszarda Kaczorowskiego – przyszłego Prezydenta! Wspólnie ze Zdzisławem Kołodziejским często gościli w naszej San-Giorgiańskiej Szkole. Nawiązywała się między nami przyjaźń, uwieńczona nawet zawartymi już w Anglii małżeństwami drużny Hani Szamoty z druhem Mayerem i drużny Staszki Piątkowskiej z druhem Z. Kołodziejским, w przyszłości pracownikiem Radia „Wolna Europa” w Monachium. Nie zapomnianą była jego przejmująca deklamacja *Fortepianu Szopena*. On także nauczył nas jakże aktualnej *Mojej piosnki* Cypriana Kamila Norwida:

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba  
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie  
Dla darów Nieba...  
Tęskno mi, Panie...

Do kraju tego, gdzie winą jest duża  
Popsować gniazda na gruszy bocianie,  
Bo wszystkim służą...  
Tęskno mi, Panie...

Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony  
Są, jak odwieczne Chrystusa wyznanie,  
„Bądź pochwalony!”  
Tęskno mi, Panie...

<sup>5</sup> M. Radomska, *Harcerki w obozach jenieckich. 1944-1945*, [w:] *Nauczyciele – Uczniowie, Solidarność Pokoleń. Szkolnictwo i oświata polska na Zachodzie w czasie drugiej wojny światowej*, Warszawa 2007, s. 240-249.

<sup>6</sup> M. Radomska, *Starszoharcerski Krąg „Sosny”*, [w:] *Nasza Niezwykła Szkoła...* op. cit., s. 239-242.

---

Do beztęsknoty i do bezistnienia  
Gdzie tak za tak, nie za nie mają bez światłocienia  
I do tej jeszcze jednej rzeczy innej,  
Której sam nie wiem, gdzie leży mieszkanie,  
Równie niewinnej  
Tęskno mi, Panie...

Czy były jakieś inne jednostki harcerstwa żeńskiego w 2. Korpusie? Nie wiem! Nad nami opiekę roztoczył Hufiec 3. DSK z Sarnano odległego około 60. km, co dla świetnie zmotoryzowanych druhów nie było problemem.

Ryszard Kaczorowski, Hanka Gawlik z AK i druh Mayer.

Hufcowy por. Mikołaj Nikon natychmiast uznał nas za swoje i nigdy nie zapominał o „Druhenkach z San-Giorgio”, gdy Hufiec organizował coś ważnego. Sięgając do mojego „Dziennika harcerskiego” cytuję za „Naszą Niezwykłą Szkołą – Porto San Giorgio – Foxley”:<sup>7</sup>

**„22-23 czerwca 1946 r.** W ostatnim dniu nauki, po oddaniu ostatniej książki – otrzymałyśmy: cały Krąg „Sosny” – przepustkę do Sarnano. Pojechaliśmy na Zlot Hufca Szkolnego 3. DSK.

Na czworokątnym placu porośniętym piniami stoi Hufiec. Jest około 100 harcerzy. Gros stanowią Kręgi Wędrownych Zniczy z Amandoli, Sarnano i nie pamiętam już skąd.

---

<sup>7</sup> M. Radomska, *Starszoharcerski Krąg „Sosny”*, op. cit.

Malowniczo wyglądają nasi goście skauci włoscy i „Lupetti” (wilczki) – synonim naszych zuchów.

No i ostatnią, najmniej liczebną jednostką jesteśmy my – Krag Sosen, tzw. „Druhenki z San Giorgio”. Otóż stoimy na placu. My na prawym skrzydle Hufca 3. DSK! Po oddaniu czci sztandarowi, odśpiewaniu hymnów – polskiego i włoskiego, nastąpiło odczytanie rozkazu, oraz przemowy k-dy Hufca dha Mikołaja Nikona i księdza kapelana „Smoka” – Rafała Grządzieli. Z wielkim apetytem „druhostwo” rzuciło się do rozstawionych na placu stołów do podwieczorku. Wieczorem było ognisko.

Dnia następnego – w niedzielę – wzięliśmy wszyscy udział w procesji Bożego Ciała. Za nierównymi szeregami Włochów maszerowałyśmy my na czele Gimnazjum i Liceum 3. DSK. Byłyśmy bardzo dumne. Lecz bardziej dumny niż my był kpr. podchr. Wł. Niepokólczycki, który chyba – a nawet na pewno – pierwszy raz w życiu siedł na czele takiego oddziału!”

Chciałoby się przytoczyć więcej zapisów z „Harcerskiego dziennika”, bowiem był jeszcze zorganizowany przez druhów obóz harcerski na Polanie Gadającego Strumienia, wspólna wyprawa na szczyt 2103 n.p.m. Byłyśmy również sędziami w biegach na różne sprawności chłopców z polskiej Drużyny Rzymskiej.

Fotografia z zakończenia biegów na różne sprawności chłopców z polskiej Drużyny Rzymskiej: od góry stoją – M. Nikon, M. Radomska i R. Kaczorowski, a poniżej „Sosny” i dwaj „Rzymianie”.

press of Australia” i uczcili w dniu 15. sierpnia Święto Żołnierza uroczystą akademią jeszcze na Morzu Śródziemnym – nim nocą minęliśmy Słu-

py Herkulesa, niemych świadków nie wyjaśnionej do dziś tragedii na Gibraltarze.

Po wyokrętowaniu w Liverpool nasze szkoły znalazły się w odległych obozach. My w Foxley w Herefordshire, męska w Bodney w Norfolk, gdzie druh R. Kaczorowski zdał dużą maturę, ale już nie mieliśmy tak bliskiego kontaktu. Pieczę nad „Sosnami” nadal pełnił druh Nikon i od niego dotarła do nas tragiczna wiadomość, że dwóch druhów chcąc uzupełnić oszczędny angielski wikt zatrulo się grzybami. Jednego nie udało się uratować. Cytuję zapis z mojego „Dziennika harcerskiego”:

„9 września. *Requiescat in pace...* Zmarł druh serdeczny... Śp. harcerz Rzeczypospolitej Władysław Niepokólczycki, kierownik kręgu st. harcerskiego „Wędrownie Znicze – Kosodrzew” zmarł opatrzony Św. Sakramentami o godz. 5.30 dnia 30 sierpnia 1946 r. w szpitalu wojennym w Diddington.”

*Habent sua fata libelli...* Ta krótka notatka z książki wydanej w 1985 roku w Londynie, a pożyczonej moim przyjaciołom w Puławach, była pierwszą wiadomością dla Matki śp. Władka Niepokólczyckiego. Wywieziona wraz z nim i z młodzieńkiem czteroletnim synkiem na Sybir a następnie do Afryki nigdy go nie odnalazła. Bezzwłocznie napisałam do Puław, że mogę przesłać dużo więcej informacji i fotografie jej pierwszoročnego syna. Nie zdążyłam, bo zmarła.

### **Półwiecze 1947-2000**

Druh R. Kaczorowski po maturze zdanej w Liceum 3. DSK ukończył w Londynie Szkołę Handlu Zagranicznego, zyskując zawód księgowego, stanowiący materialną podstawę bytu jego rodziny. Stale pozostawał aktywnym działaczem harcerskim.

W 1949 roku wszedł w skład Głównej Kwatery Harcerzy, w roku 1955 został Naczelnikiem Harcerzy, w 1967 r. Naczelna Rada Harcerska wybrała go Przewodniczącym całego Związku Harcerstwa Polskiego. Toteż był Komendantem reprezentacji ZHP na Międzynarodowym Jubileuszowym Jamboree w 1957 r., następnie Komendantem Światowego Zlotu Harcerstwa w latach 1969 i 1982. Wchodził zarazem w skład Zarządu Głównego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i Zarządu Zjednoczenia Polskiego. Był członkiem Rady Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego (POSK), Rady Polskiej Macierzy Szkolnej, Rady Instytutu Polskiego, Akcji Katolickiej i Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata.

Po przejściu na emeryturę w 1986 roku powołany został do Rządu na Uchodźstwie jako Minister Spraw Krajowych i do Rady Narodowej RP z nominacji Prezydenta Kazimierza Sabbata. Po jego nagłej śmierci w dniu 19 lipca 1989 roku objął ten najwyższy urząd jako szósty Prezydent RP na Uchodźstwie. Podobnie jak druh K. Sabbat osiągnął go dzięki



działalności społecznej – zwłaszcza harcerskiej w odróżnieniu od wszystkich poprzedników rekrutujących się z grona polityków:

**Władysław Raczkiewicz** (1885-1947) minister spraw wewnętrznych w czterech rządach II RP, marszałek Senatu, ambasador w Londynie, prezes Światowego Związku Polaków z Zagranicy do 1939 r. Piastował godność Prezydenta RP od 30 września 1939 do śmierci w dniu 6 czerwca 1947 r.

**August Zaleski** (1883-1972) polityk i dyplomata, m.in. dwukrotny minister spraw zagranicznych, był Prezydentem od 6 czerwca 1947 r. do śmierci w dniu 7 kwietnia 1972 r.

**Stanisław Ostrowski** (1892-1979) – ostatni polski prezydent [Lwowa](#). Był Prezydentem od 7 kwietnia 1972 r. do 8 kwietnia 1979 r.

**Edward Bernard Raczyński** (1891-1993) polityk i pisarz, był prezydentem od 8 kwietnia 1979 r. do 8 kwietnia 1986 r.

**Kazimierz Sabbat** (1913-1989) nie był politykiem; pełnił urząd Prezydenta od 8 kwietnia 1986 do nagłej śmierci 19 lipca 1989 r.

Był on synem organisty, od wczesnej młodości harcerzem; ukończył tuż przed wojną prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Po krótkiej służbie w 1939 r. w marynarce wojennej skierowany do 1 Brygady Zmotoryzowanej gen. Stanisława Maczka przeszedł cały szlak bojowy. Pod koniec wojny pracował jako referent do spraw młodzieży przy Sztabie Generalnym. W 1948 roku opuścił wojsko; rezygnując z oficerskiej gaży żył na własny koszt założony w Londynie wytwórnię pamiątkowych wyrobów z plastiku. Dzięki temu mógł w pełni poświęcić się współpracy z Naczelnikiem Komendy Głównej ZHP na Obczyźnie druhem Grażyńskim, zajmując się organizacją starszoharcerską. Ponadto działał w Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów, kierował odcinkiem skarbu w Egzekutywie Zjednoczenia Narodowego rządu RP i od 1967 roku był prezesem tego organu a w latach 1976-1986 premierem. Jako Prezydent starał się jednoczyć różne polityczne ośrodki na emigracji. Wspierał ruch niepodległościowy w PRL przyjmując działaczy podziemia. Goszcząc w jego domu przy Parkside podczas Jubileuszowego Zjazdu Szkół Wojskowych w sierpniu 1982 roku byłam świadkiem długich rozmów telefonicznych między innymi z Mirosławem Chojeckim i Jackiem Kuroniem; zrozumiałam też znaczenie ROPCiO – Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Druh K. Sabbat zmarł nagle 19 lipca 1989 r. tuż po wyjściu z Instytutu Józefa Piłsudskiego – w dniu wyboru przez Sejm Kontraktowy generała Wojciecha Jaruzelskiego na Prezydenta RP.

**Ryszard Kaczorowski** (1919) był od 19 lipca 1989 r. do dnia 22 grudnia 1990 roku Prezydentem RP na Uchodźstwie.

Desygnowany przez K. Sabbata na następcę był ostatnim kontynuatorem prawowitej władzy II RP do dnia 22 grudnia 1990 r., to jest do

chwili zaprzysiężenia Lecha Wałęsy na pierwszego prezydenta RP wybranego w wolnych demokratycznych wyborach, po upadku komunizmu w Polsce. To właśnie wówczas na Zamku Królewskim w Warszawie R. Kaczorowski przekazał nowo wybranemu prezydentowi insygnia państwowe II RP, rozwiązując tym samym wszelkie instytucje państwowe na uchodźstwie. Wysłałam wówczas Druhowi R. Kaczorowskiemu najserdeczniejszy telegram w imieniu „Sosen”!

W latach 1947-2000 moje dzieje toczyły się rozmaicie. Po maturze zdanej w maju 1947 roku pracowałam w Pay Office tj. Biurach Płatniczych 2. Korpusu w Witley koło Guildford, ale pomimo perspektywy studiów na koszt Brytyjskiego Imperium zdecydowałam się wyjechać do kraju. Październik 1947 roku przeżyłam w ostatnim obozie repatriacyjnym w Szkocji jako najtrudniejszy miesiąc w moim całym życiu. Był to okres okrutnej rozterki, zwłaszcza po spotkaniu z przedstawicielem marionetkowego rządu z Warszawy, który nam oznajmił że Ludowa Ojczyzna przyjmie te „czarne owce na swoje łono”. Rozterki dzielonej z Małą Marysią – Marią Magdaleną Kołakowską, kronikarką Kręgu „Sosen”. Okazało się bowiem, że podpisana decyzja powrotu nie musi być ostateczna, bo „zanim wejdiesz dwiema nogami na pokład, możesz się wycofać”. A więc: czy być na obczyźnie „głosem protestu” jak cała społeczność emigracyjna, czy ją zdradzić, aby pomagać Rodzicom, szykanowanym za patriotyczną działalność Ojca podczas okupacji i po tzw. „wyzwoleniu przez Czerwoną Armię”, co publicznie zdementował i musiał uchodzić na Ziemię Odzyskane.<sup>8</sup> A skoro zdradziłam solidarność z emigracyjnymi patriotami, poczułam się zerem, no i złamałam prawo harcerskie sięgając po lekarstwo – przekłete papierosy, wiezione dla Rodziców. Ostatecznie wsiadłyśmy obiema nogami na pokład – raczej pod pokład – trzeszczącego „Eastern Prince’a” płynącego z Glasgow do Gdańska.

Po niemałych kłopotach z uznaniem mojej 2-go Korpusnej matury podjęłam studia na Wydziale Rolnym Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu. Na III roku – dzięki wyróżniającym się ocenom – rozpoczęłam od 1 grudnia 1949 roku pracę jako zastępca asystenta, kontynuowaną do stopnia docenta na Akademii Rolniczej we Wrocławiu do 30 września 1980 roku. Wobec szykan ze strony uczelnianej komórki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, z których najdotkliwszą było blokowanie mojego awansu na docenta od habilitacji zatwierdzonej w maju 1971 roku do grudnia 1980 roku, opuściłam Wrocław. W międzyczasie promowałam dwu doktorów nauk rolniczych; niektórym jeden doktorant wystarczył do awansu na profesora! W październiku 1981 roku przeniosłam

---

<sup>8</sup> M. Radomska, *Profesora Jana Radomskiego osiemdziesiąt lat życia*, [w:] *Profesor Jan Radomski (1898-1977)*, Ostrołęckie Towarzystwo Naukowe, Ostrołęka 2007, s. 13-30.

się do Akademii Rolniczej w Krakowie na Zamiejskowy Wydział w Rzeszowie, gdzie brakowało wykładowcy z mojej specjalności – ogólnej uprawy roli i roślin. W listopadzie zostałam w pierwszych od półwiecza wolnych wyborach dyrektorem Instytutu Technologii Produkcji Rolniczej i mandatariuszem do Krajowej Rady ds. Szkolnictwa Wyższego NSZZ „S” jako członek Solidarności jeszcze z Wrocławia. Jednak i tutaj PZPR blokowała moją zawodową karierę.

Pomimo ponad 140 publikacji, współautorstwa paru podręczników obowiązujących na wszystkich uczelniach rolniczych w kraju, kilkudziesięciu wykształconych inżynierów i magistrów studiów stacjonarnych i zaocznych oraz łącznie pięciu wypromowanych doktorów – dopiero w 1986 roku zostałam profesorem nadzwyczajnym. Także moja kadencja Dziekana Wydziału Technologii Produkcji Rolniczej od grudnia 1991 roku była wskutek nacisku Egzekutywy PZPR znacznie skrócona. Kulisy tej sytuacji znalazły wyjaśnienie w donosach, ujawnionych we wrocławskim i rzeszowskim Oddziale Instytutu Pamięi Narodowej.<sup>9</sup> Na emeryturę przesłam w 1997 roku skończywszy 70 lat. Pozostając w Rzeszowie korzystałam z „warsztatu pracy” przysługującego profesorom, a że nasz Wydział wszedł w skład Uniwersytetu Rzeszowskiego zostałam formalnie jego emerytem. Dzięki temu mogłam na łamach „Gazety Uniwersyteckiej” pochwalić się znajomością z Druhem Prezydentem, zawartą w 1945 roku w 2. Korpusie, po jego wizycie na tym wówczas najmłodszym w Polsce Uniwersytecie.<sup>10</sup>

### Spotkania po latach

Pierwsze spotkanie z Druhem R. Kaczorowskim nastąpiło w 50. Rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Z burmistrzem Dzielnicy Śródmieście Janem Rutkowskim i przedstawicielami Episkopatu uczestniczył on w wmurowaniu kamienia węgielnego pod projektowany w owym czasie Szpital Armii Krajowej w miejscu barykady na ul. Bielańskiej, nigdy zresztą nie zrealizowany. Po zakończeniu ceremonii podszłam ze słowami: „Druhu Prezydencie! Wódz Kręgu „Sosen” melduje swoje przybycie!” Nie miało znaczenia, że kilkadziesiąt lat zmieniło nasze wizerunki. Druha Ryszarda – znany z TV – ozdobiła bujna siwizna. Mnie słomkowy kapelusz, cywilna sukienka i nie łatwe życie zmieniły nie do poznania. Ale Krąg „Sosen” był niezapomniany! Ucałowaliśmy się jak starzy przyjaciele, jak się to mówi – z dubeltówki!

Kolejne spotkanie miało miejsce w dniu 12 kwietnia 2000 roku, gdy Prezydent R. Kaczorowski uczestniczył w posiedzeniu Parlamentu RP z okazji rocznicy ujawnienia przez Niemców Zbrodni Katyńskiej. Jednocze-

<sup>9</sup> K. A. Tochman, *Maria Radomska*, [w:] *Z ziemi obcej do Polski – losy żołnierzy PSZ na Zachodzie, którzy powrócili do kraju po II wojnie światowej*, Rzeszów – Londyn 2009, t. II, s. 308-314.

<sup>10</sup> Maria Radomska, *Po wizycie Prezydenta*, „Gazeta Uniwersytecka UR” Rzeszów, 1998, nr 6, s. 17-18, nr 7-8, s. 21.

śnie w Sali Kolumnowej Sejmu uczestniczki Światowego Zjazdu Kobiet – Żołnierzy AK w 55. rocznicę wyzwolenia Karnego Obozu Jenieckiego Oberlanngen odbierały patenty oficerskie z rąk Marszałka Sejmu RP Macieja Płażyńskiego. Przyjście najdostojniejszego z gości – Druha Prezydenta było dla nas wspaniałą niespodzianką. A mój osobisty awans z 17-letniej sanitariuszki w stopniu szeregowego na podporucznika WP uświetnił uścisk Jego dłoni !

Więc któż, jak nie ja – druha „Postawa” z 33 Warszawskiej Żeńskiej Drużyny Harcerskiej „GWIAZDY”, sanitariuszka „Wacka” ze zgrupowania ŻYWICIELA, jeniec stalagów XIA i VIC, maturzystka Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego dla Ochotniczek PSK, Wódz Kręgu „SOSEN” w Porto San Giorgio i Foxley, członek Rady Honorowej Budowy Muzeum Powstania Warszawskiego, odznaczona Krzyżem Oficerskim *Polonia Restituta* za działalność patriotyczną i Medalem *Pro memoria* za szereg publikacji m.in. o szkołach na obczyźnie organizowanych przez generała W. Andersa – ma obowiązek przedstawić tę serdeczną relację o Druhu Ryszardzie Kaczorowskim, ostatnim Prezydencie RP na Uchodźstwie?

Wrocław, dnia 9 listopada 2009 roku

MICHAŁ GŁUSZKOWSKI

## Z WIZYTĄ U POTOMKÓW POLSKICH OSADNIKÓW W WIERSZYNIE

W lipcu i sierpniu 2008 roku miała miejsce ekspedycja dialektologiczna do wsi Wierszyna, położonej około 130 km na północ od Irkucka. Uczestnikami i jednocześnie organizatorami wyjazdu byli studenci i pracownicy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Główną pomysłodawczynią przedsięwzięcia była Agnieszka Kozłowska, obecnie studentka V roku filologii polskiej UMK, którą lektura książki *Wierszyna z bliska i z oddali* pod redakcją Ewy Nowickiej i Małgorzaty Głowackiej-Grajper<sup>1</sup> zainspirowała do napisania pracy magisterskiej o języku polskiej wsi na Syberii. Wierszyna, jako osada założona w roku 1910, a więc prawie sto lat temu, przez polskich osadników, stanowi interesujący przedmiot dla przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych. Mieszkańcy Małopolski i Śląska Dąbrowskiego zdecydowali się wziąć udział w planach ówczesnego premiera Rosji, Piotra Stołypina, który zamierzał zasiedlać Syberię. Kryzys ekonomiczny w Zagłębiu Dąbrowskim oraz przydział 16 ha ziemi, bezpłatny materiał na budowę domu, ulgi podatkowe, a także dofinansowanie podróży ze strony władz carskich skłoniły rolników i górników pochodzenia chłopskiego do dalekiego wyjazdu.<sup>2</sup> Polacy starali się żyć w obcym otoczeniu tak, jak w swojej ojczyźnie. Językiem komunikacji wewnątrz wsi był polski, rolę uprawiano polskimi metodami i przy pomocy polskich narzędzi. Utrzymaniu tożsamości narodowej sprzyjały jaskrawe różnice kulturowe, językowe, religijne i antropomorficzne między przybyszami a rdzenną ludnością Syberii – Buriatami<sup>3</sup>. Izolacji w stosunku do Ukraińców, którzy osiedlili się w ramach kolonizacji Syberii w pobliskiej Tichonowce oraz w stosunku do Rosjan, w pierwszych latach sprzyjały różnice wyznaniowe. Z czasem, głównie w wyniku zmieniającej się sytuacji społeczno-politycznej i ekonomicznej, Polacy coraz częściej zawierali małżeństwa mieszane, zwłaszcza z Ukraińcami i Rosjanami.

Dla przedstawicieli nauk społecznych – socjologii, etnologii i antropologii kulturowej interesujące jest przede wszystkim poczucie tożsamości kulturowej i narodowościowej mieszkańców Wierszyny po niemal stu la-

---

<sup>1</sup> E. Nowicka i M. Głowacka-Grajper (red.), *Wierszyna z bliska i z oddali. Obrazy polskiej wsi na Syberii*, Kraków 2003.

<sup>2</sup> В. Петшик, *Маленькая Польша в таежной Сибири*, Норильск 2008, s. 6-7.

<sup>3</sup> A. Wiśniewska, *Proces kształtowania się i rozwoju tożsamości etnicznej mieszkańców Wierszyny (Syberia środkowa)*, „Etnografia Polska” t. XLIV, z. 1-2/2000, s. 101-102.

tach istnienia tej społeczności, a także zachowane przez nich elementy polskości. Historycy dopiero od kilkunastu lat mogą swobodnie zajmować się skomplikowanymi dziejami polskiej osady koło Irkucka. Komunistyczny terror nie od razu dotarł na Syberię, jednak wierszynianie go nie uniknęli. Najpierw w ramach przymusowej kolektywizacji lat trzydziestych XX wieku pozbawiono ich gospodarstw, dla których przecież wyjechali do regionu oddalonego od ich rodzinnych miejscowości o ok. 7000 km, a później przesiedleńców dotknęły najcięższe represje – aresztowanie i mord 30 mieszkańców skazanych w fałszowanym procesie w latach 1937-38. Zostali oni zrehabilitowani w 1957 roku, jednak akt ten dotyczył zaledwie 19 osób.<sup>4</sup> W czasach ZSRR polscy historycy nie mieli możliwości zajmowania się tą sprawą, a i obecnie nie została wyjaśniona ona do końca, w związku z brakiem dostępu do informacji o przyczynach braku rehabilitacji pozostałych ofiar.<sup>5</sup> Dziś przed kościołem w Wierszynie stoi kuta tablica upamiętniająca pomordowanych mieszkańców wsi.

Przypadek Wierszyny stanowi także niezwykle interesujący przedmiot badań dla językoznawców. Polscy osadnicy od samego początku byli społecznością dwujęzyczną. Na co dzień posługiwali się polszczyzną, ale znali również język rosyjski, z którym zetknęli się już w swoich rodzinnych okolicach, znajdujących się pod panowaniem rosyjskim. Przez pierwsze kilka lat funkcjonowania wierszyńskiej szkoły podstawowej zajęcia były prowadzone po polsku.<sup>6</sup> Kilkanaście lat później, w roku 1930, w ramach walki z analfabetyzmem u osób dorosłych organizowano w Wierszynie naukę pisania i czytania po rosyjsku, co świadczy o znajomości tego języka w mowie przez polskich migrantów.<sup>7</sup> Znajomość i czynne korzystanie z dwóch języków przez poszczególne osoby, zwłaszcza w ramach dwujęzycznych społeczności, prowadzi do zjawiska interferencji, czyli odchyień od norm każdego z tych języków.<sup>8</sup> W przypadku wspólnoty, której bilingwizm trwa od wielu lat, potencjał do powstawania interferencji językowej jest szczególnie wysoki. Ponadto, w Wierszynie mamy do czynienia z sytuacją wyspy językowej – funkcjonowania określonej społeczności w oderwaniu od jej ojczyzny językowej w obcym otoczeniu.<sup>9</sup> Ewolucja języka w warunkach wyspowych przebiega inaczej, niż na terenach macierzystych; niektóre zjawiska zanikają, inne

<sup>4</sup> J. Szostak, *Epitafium pomordowanym przez NKWD mieszkańcom polskiej wsi Wierszyna we Wschodniej Syberii koło Irkucka w 1938 r.*, „Rocznik Historyczny Muzeum Polskiego Ruchu Ludowego” nr 18/2002, s. 227-235.

<sup>5</sup> W roku 1990 w czasopiśmie „Skandale” ukazał się chyba pierwszy w Polsce artykuł na temat martyrologii wierszynian. Sensacyjny charakter „Skandali” każe traktować ten tekst z dużą rezerwą, jednak większość zawartych tam informacji zostało potwierdzonych w publikacjach o charakterze naukowym; Por. A. Minkowski, *Masowy mord w obwodzie irkuckim*, „Skandale” maj 1990; J. Szostak, op. cit.

<sup>6</sup> A. Wiśniewska, op. cit., s. 102.

<sup>7</sup> J. Szostak, op. cit., s. 228.

<sup>8</sup> Por. U. Weinreich, *Languages in contact*, The Hague 1963 (1953), s. 1.

są zachowywane, także pod wpływem obcego otoczenia językowego. W wyniku zmian sytuacji społecznej Wierszyny zmniejszyła się rola polszczyzny w wewnątrzwioskowej komunikacji. Czynna znajomość polskiego występuje przede wszystkim w starszym i średnim pokoleniu, ale wciąż jest to język rozumiany przez większość mieszkańców.

Droga do realizacji pomysłu badań dialektologicznych na Syberii nie była jednak prosta. Choć wyprawy nad Bajkał i do Irkucka, często połączone również z wizytą w Wierszynie, oferuje dziś wiele polskich biur turystycznych, koszty ich usług były poza zasięgiem uczestników naszej ekspedycji. A. Kozłowska zwróciła się z prośbą o pomoc w organizacji wyjazdu do pracujących na UMK rusycystów, zajmujących się problematyką dialektologii wschodniosłowiańskiej, kontaktów językowych i funkcjonowania języków mniejszości w obcym otoczeniu – dr Doroty Paśko oraz autora niniejszego tekstu. Początkowo badania miały być połączone z przeprowadzeniem przez uczestników ekspedycji zajęć z języka polskiego i wiedzy o Polsce w ramach letniej szkoły, której koszty mogłyby zostać współfinansowane przez jedną z organizacji wspierających nauczanie polskiego wśród Polaków na Wschodzie. Badaniami dialektologicznymi chcieliśmy zajmować się w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych, które to rozwiązanie doskonale sprawdziło się przy okazji Letnich Szkół Języka Polskiego i Kultury, prowadzonych przez Marię i Michała Głuszkowskich w sierpniu 2007 w Stryju i Połonnem na Ukrainie we współpracy ze Związkiem Nauczycieli Polskich na Ukrainie. Niestety, przygotowania do wyjazdu na Syberię rozpoczęły się w październiku 2007, kiedy zarówno Wspólnota Polska, jak i Pomoc Polakom na Wschodzie nie przyjmowały już wniosków na rok 2008. Istotnym problemem przy organizacji letniej szkoły był też brak kontaktu z mieszkańcami Wierszyny. Udało się nam nawiązać korespondencję mailową z panią Heleną Szackich, Prezesem Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego „Ogniwo” w Irkucku. Pani Prezes wyraziła zainteresowanie organizacją zajęć z języka polskiego i poinformowała o trudnościach w kontakcie z mieszkańcami Wierszyny, spowodowanych brakiem linii telefonii stacjonarnej oraz zasięgu sieci komórkowych we wsi. Jediną drogą kontaktu pozostawała więc tradycyjna poczta, ale na wysyłane przez nas listy nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi.

Brak odzewu z Wierszyny nie tylko uniemożliwił przygotowanie letniej szkoły dla jej mieszkańców, ale stawiał pod znakiem zapytania całą ekspedycję. Nie wiedzieliśmy jak wierszynianie zareagują na nasze badania i czy uda nam się znaleźć we wsi nocleg dla kilku osób na około dwa tygodnie. Pomocne były w tym przypadku informacje udzielone przez prof. Ewę Nowicką, z Uniwersytetu Warszawskiego, która prowadziła w

<sup>9</sup> А. Дуличенко, *Языки малых этнических групп: статус, развитие, проблемы выживания*, [w:] Idem, (red.), *Языки малые и большие... In memoriam acad. Nikita L. Tolstoi*. „Slavica Tartuensia” IV, Tartu 1998, s. 26.

Wierszynie badania socjologiczne i antropologiczne w 2000 roku. Niestety E. Nowicka nie utrzymywała regularnych kontaktów z mieszkańcami Wierszyny, w związku z czym mogliśmy jedynie liczyć, że informacje sprzed kilku lat nie zdezaktualizowały się. Nieoczekiwanie, bo na około półtora miesiąca przed planowaną datą wyjazdu, przyszedł nam z pomocą przebywający akurat w Polsce ks. Włodzimierz Siek, proboszcz rzymskokatolickiej parafii katedralnej w Irkucku, z którym kontakt nawiązała A. Kozłowska. Od ks. W. Sieka uzyskaliśmy aktualne informacje na temat Wierszyny, sposobu dojazdu do wsi i numer telefonu pani Haliny Janaszek, nowego Prezesa Polskiego Związku Kulturalnego „Wisła” w Wierszynie, a także do jej krewnych mieszkających w Irkucku. Okazało się, że w tym czasie jedna z sieci telefonii komórkowej objęła swoim zasięgiem Wierszynę, co znacznie ułatwiło późniejszy kontakt. Podczas rozmowy z H. Janaszek dowiedzieliśmy się, że nasze listy dotarły do adresatów, jednak w związku ze zmianą władz w PZK „Wisła”, która miała miejsce w pierwszej połowie 2008 roku, zarówno dotychczasowa, jak i nowa pani Prezes, pośród wielu innych spraw nie zdążyły odpowiedzieć na korespondencję. Niemniej jednak przedstawiciele organizacji polonijnej nie mieli nic przeciwko planowanym przez nas badaniom dialektologicznym i obiecali pomoc w znalezieniu noclegu.

Ponieważ nie udało się nam znaleźć żadnych zewnętrznych źródeł finansowania wyjazdu badawczego, nie byłby on możliwy bez wydatnej pomocy ze strony Wydziału Filologicznego oraz Instytutu Filologii Słowiańskiej UMK. Ostatecznie w ekspedycji, która rozpoczęła się 17 lipca 2008, wzięło udział sześć osób. Ze względu na ograniczone środki finansowe podróż na całej trasie odbyła się koleją. Co prawda polskie biura turystyczne prowadzą sprzedaż biletów na kolej transsyberyjską, ale w ich ofercie nie ma najtańszego wariantu, tzw. biletów *plackartnych* (miejsce do leżenia w wagonie bez przedziałów), które można zakupić w kasach RZD (Rosyjskich Kolei). Tym bardziej cenna była pomoc pracowników moskiewskiej Stacji Polskiej Akademii Nauk, którzy oprócz rezerwacji biletów zorganizowali dla uczestników ekspedycji nocleg w schronisku przy kościele rzymsko-katolickim w centrum Moskwy, a także ułatwili kontakt z Konsulatem RP w Irkucku.

Do Irkucka dotarliśmy rano 26 lipca, ale tego dnia nie było możliwości dojazdu do Wierszyny, nie tyle ze względu na weekendową porę, ile z powodu deszczowej pogody w dniach poprzedzających nasz przyjazd. Szosa dociera tylko do miejscowości Tichonowka, znajdującej się około 20 km od Wierszyny, a dalej trzeba jechać glinianą drogą, która po kilku dniach deszczu rozmięka i staje się nieprzejezdna dla większości samochodów osobowych. Taki stan drogi utrzymuje się zwłaszcza podczas wiosennych roztopów, ale również i w innych okresach. Z pomocą przyszedł nam ks. W. Siek, który zdążył już wrócić z Polski.



Zaoferował uczestnikom ekspedycji nocleg w salce Caritasu znajdującej się w gospodarczej części katedry i zorganizował następnego dnia transport do Wierszyny parafialnym mikrobusem. Podczas pobytu w parafii katedralnej mieliśmy okazję zauważyć, jak wielostronne są jej działania. Kościół katolicki w Irkucku oprócz funkcji duszpasterskiej zajmuje się również działalnością charytatywną i społeczną. W różnego typu akcjach aktywny udział biorą parafianie. Młodzi ludzie spotykają się w ramach Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, dla dzieci organizowane są regularnie kolonie i wycieczki nad Bajkał (głównie do Listwianki, gdzie znajduje się jedna z parafii). Duże znaczenie ma fakt, że sięgająca swoimi korzeniami XIX wieku parafia katolicka w Irkucku w okresie komunistycznym była zlikwidowana i odrodziła się dopiero w roku 1991, natomiast Diecezja św. Józefa ze stolicą w Irkucku została utworzona w roku 2002. Choć miejscowi duszpasterze i wierni nie mieli wiele czasu na rozwój struktur społecznych i charytatywnych, udało im się osiągnąć stan, którego mogłoby pozazdrościć wiele parafii na terenie Polski o większym potencjale i dłuższych tradycjach. Diecezja Irkucka to, co prawda, największa pod względem terytorialnym diecezja na świecie, zajmująca 10 mln km<sup>2</sup>, rozciągająca się pomiędzy Mongolią i Chinami na południu, Władywostokiem i Magadanem na wschodzie, Czukotką na północy i Krasnojarskiem na zachodzie, liczba wiernych wynosi około 100 tys.<sup>10</sup>

Podczas pobytu w Irkucku uczestnicy ekspedycji spotkali się z Piotrem Marciniakiem, Konsulem Generalnym RP w Irkucku. Obiecał on pomoc we wszelkiego rodzaju sprawach administracyjnych związanych z pobytem w Rosji i wyraził zainteresowanie prowadzonymi przez nas badaniami. Konsul prosił również o przekazanie informacji o ewentualnych potrzebach mieszkańców Wierszyny, ponieważ nie miał z nimi stałego kontaktu.

Nasz przyjazd do Wierszyny w niedzielę 27 lipca nie obył się bez problemów. Do Tichonowki dotarliśmy mikrobusem prowadzonym przez brata Pawła, młodego zakonnika z irkuckiej parafii, jednak ze względu na nieprzystosowanie pojazdu do trudnych warunków, dalsza jazda nie była możliwa. Na szczęście udało się znaleźć odpowiedni środek transportu u jednego z miejscowych gospodarzy. Wjeżdżając do Wierszyny zauważyliśmy, że jest ona rozległa, podobnie jak Tichonowka i buriacka wieś Dundaj, przez którą przejeżdżaliśmy. Późniejsze codzienne wędrowki po wsi pokazały, że Wierszyna rozpościera się 5-6 km wzdłuż rzeki Idy i zajmuje powierzchnię około 10 km<sup>2</sup>. Po przyjeździe spotkaliśmy przed kościołem oczekującą nas panią Halinę Janaszek i grupę ludzi przygotowujących się do mszy, którą miał odprawić biskup Cyryl Klimowicz. Opiekuje się on miejscową parafią i odprawia w niej

<sup>10</sup> [http://system.ekai.pl/kair/?screen=depszatekstowo&\\_scr\\_depesza\\_id\\_depeszy=383949](http://system.ekai.pl/kair/?screen=depszatekstowo&_scr_depesza_id_depeszy=383949)

msze w większość niedziel i świąt (z wyjątkiem wizyt w odległych rejonach diecezji). Księdzu biskupowi towarzyszy siostra zakonna – organistka.

W nabożeństwie uczestniczyło około 25 osób spośród około 400 mieszkańców Wierszyny, co było dla nas pewnym zaskoczeniem, spowodowanym porównaniem z polskimi realiami, gdzie wizyta biskupa w parafii związana jest z dużą uroczystością. Przyczyną jest oczywiście inna sytuacja nie tylko Kościoła katolickiego, ale wszystkich wyznań w okresie radzieckim. Budowę wierszyńskiego kościoła rozpoczęto w roku 1911, czyli zaraz po przyjeździe na Syberię, kiedy wielu przesiedleńców nie miało jeszcze własnych domów, a ich jedynym schronieniem były ziemianki.<sup>11</sup> W pierwszych dwóch dekadach po przybyciu na Syberię wierszynianie stanowili tradycyjną i religijną wiejską społeczność, jednak lata ateizacji w okresie komunistycznym zdecydowanie zmniejszyły rolę religii w ich życiu. W latach 1937-1991 wierszyński kościół decyzją władz został zamknięty i tylko dzięki postawie niektórych mieszkańców nie został zniszczony lub przeznaczony na inny cel.<sup>12</sup> Choć kilkanaście lat temu mieszkańcy Wierszyny odzyskali swobodę praktyk wyznaniowych, życie religijne tej społeczności odradza się powoli. W 1991 r. mieszkańcy wsi doczekali się własnego kapłana, którym był salwatoriainin o. Ignacy Pawlus. Wspólnie z wierszynianami, przy wsparciu finansowym z zagranicy oraz ze strony rejonowych władz w Irkucku, o. I. Pawlus wyremontował kościół i doprowadził do jego ponownego poświęcenia pod koniec 1992 r.<sup>13</sup> Odbudowa kościoła to jednak tylko pierwszy krok do odbudowy Wspólnoty. Choć mieszkańcy Wierszyny nie są wrogo nastawieni wobec religii rzymsko-katolickiej i w prywatnych rozmowach często deklarują się jako wierzący, fakt ten nie przekłada się na ich uczestnictwo w nabożeństwach i czynny udział w życiu parafii. W Wierszynie oprócz potomków polskich osadników mieszka ludność pochodzenia buriackiego, a także ukraińskiego i rosyjskiego, która również rzadko przejawia aktywność religijną, nie można więc powiedzieć, by niska liczba wiernych podczas nabożeństw w miejscowym kościele była spowodowana konkurencją ze strony innych wyznań. W wyniku kilku dekad braku katechizacji i możliwości obchodzenia świąt kościelnych, większość mieszkańców Wierszyny nie zna nawet najbardziej popularnych modlitw, odmawianych jeszcze przez ich dziadków. Wielu wierszynian nie zna znaczenia głównych świąt kościelnych – Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, nazywanej tam „Lejkami” od zwyczaju polewania się wodą w drugi dzień świąt. Duszpasterze podejmowali różne próby przyciągnięcia wiernych do kościoła, o czym w rozmowie z badaczami opowiadała jedna z mieszkanki Wierszyny, kobieta w wieku około 40 lat:

---

<sup>11</sup> В. Петшик, *op. cit.*, s. 9.

Wprzodzie, jak ksiondзем był ojciec Ignacy, on tak nauczył, że na Boże Narodzynie to dla dzieciów w kościele zawsze były jakieś prezenty. O, to dzieci był pełen kościół, że ani wzrosłych nie było kaj siedzieć. A tu potem, że jak ojciec Ignacy ujechał, te lata teraz prezentów nie dają, to i dzieci mało. Tak cowiek dziesięć, piętnaście przyjdzie jaki.<sup>14</sup> No to zaś kto do kościołu chodzi, to na wycieczke na Bajkał jeździły na pięć dni. I to pos'le prijechały z Bajkału, to mało kto...

Biskup C. Klimowicz odprawia nabożeństwa w języku polskim. Również pieśni śpiewane są po polsku, ale teksty w śpiewnikach zapisano cyrylicą, ponieważ tylko nieliczne osoby znają alfabet łaciński. Brak umiejętności czytania po polsku spowodowany jest wieloletnią przerwą w nauczaniu polskiego w wierszyńskiej szkole podstawowej. Po krótkim okresie w pierwszych latach po migracji możliwość wprowadzenia lekcji polskiego pojawiła się dopiero po pieriestrojce, wskutek odzyskanych praw mniejszościowych. Pierwszą nauczycielką języka polskiego w Wierszynie była Marianna Dobrowolska z Konina, która rozpoczęła pracę w roku szkolnym 1990/91 i przepracowała w wierszyńskiej szkole łącznie 4 sezony (ostatni w roku szkolnym 1999/2000). Obecnie lekcje prowadzi pochodząca z Wierszyny Ludmiła Figura, która ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. W zajęciach uczestniczą dzieci i młodzież, ale niewiele z nich na co dzień rozmawia po polsku, w związku z czym umiejętności praktyczne często pozostają w szkolnych murach. Przykładem braku czynnej znajomości polskiego może być tu wcale nie odosobniony przypadek dziesięciolatka, który rozumiał zadawane mu po polsku pytania, ale odpowiadał na nie po rosyjsku. Zapytany o to, gdzie nauczył się polskiego, czy może na lekcjach w szkole, odpowiedział: *ja jeszcze do tego, jak w szkołu paszoł, uże pa polski gawarił*.<sup>15</sup> Po polsku rozmawiają między sobą głównie przedstawiciele starszego pokolenia oraz osoby w średnim wieku z rodzin polskich – jednolitych pod względem narodowościowym. W niektórych domach również dzieci i młodzież rozmawiają z rodzicami w języku polskim, ale to rosyjski jest podstawowym środkiem komunikacji dla osób urodzonych w latach siedemdziesiątych XX wieku i później. Rosyjski wypiera polszczyznę ze sfery komunikacji domowej zwłaszcza w rodzinach mieszanych, choć jak twierdzi jedna z naszych rozmówczyń: *w niektórych domach mama Polacka, a tyż w dumu wincyj mówią po rosyjsku*. Właśnie ze względu na ograniczoną znajomość polszczyzny u najmłodszych uczestników nabożeństw, na zakończenie każdej mszy biskup streszcza homilię i ewangelię w języku rosyjskim.

Po mszy zostaliśmy zaproszeni przez panią H. Janaszek i jej rodzinę na wspólny obiad z księdzem biskupem. Specyfika syberyjskiej diecezji sprawia, że biskup pełni rolę wiejskiego proboszcza i ma stały i bez-

<sup>12</sup> L. Figura, *Historia i teraźniejszość polskiej syberyjskiej wsi*, [w:] E. Nowicka, E. Głowacka-Grajper (red.), op. cit., s. 83.

<sup>13</sup> Ibidem, s. 92.

<sup>14</sup> Znaczenie zdania: 'Przyjdzie około dziesięciu, piętnastu osób'.

<sup>15</sup> Mówiłem już po polsku, zanim poszedłem do szkoły.

pośredni kontakt ze swoimi parafianami. Dla obserwatora przyzwyczajonego do polskich realiów, w których liczba wiernych w wielu diecezjach przekracza 1,5 miliona, a wizytacja każdej ze stu kilkudziesięciu parafii podlegających jednemu biskupowi ma miejsce raz na kilka lat, sytuacja zastana w Wierszynie musi wydać się zaskakująca. Zarówno nasi gospodarze, jak i bp C. Klimowicz potraktowali nas z dużą serdecznością i sympatią, co znacznie ułatwiło aklimatyzację i ośmieliło uczestników ekspedycji do kolejnych rozmów z mieszkańcami Wierszyny.

Naszą kwaterą w Wierszynie był przez kilkanaście dni Dom Polski, siedziba Polskiego Związku Kulturalnego „Wisła”. W Domu Polskim składającym się z trzech pokoi, kuchni, przedśionka i ganku oraz stojącego obok jednopokojowego domu, mieści się polska biblioteka, czynna dwa-trzy razy w tygodniu w wyznaczonych godzinach, a także odbywają się próby miejscowego zespołu folklorystycznego „Jarzumbek”, w którego składzie jest kilka kobiet oraz harmonista. Dom Polski nie jest w zasadzie przeznaczony jako miejsce noclegowe, ale jest w nim kilka materacy i wystarczająco dużo miejsca na podłogach, by w okresie letnim mogło tam nocować kilka, a nawet kilkanaście osób. Posesja jest ogrodzona płotem, a w zagrodzie mieści się również skład drewna, łaźnia i toaleta. Niestety nie ma tam studni, więc po wodę należy chodzić do któregoś z sąsiadów. Większość wierszyńskich studni, z których mieliśmy okazję korzystać, wyposażonych jest w elektryczne hydrofony.

Budynek Domu Polskiego znajduje się kilkanaście metrów od niewielkiej rzeki Idy, przepływającej przez całą długość Wierszyny i wraz z kościołem, szkołą i kantorem – kołchozowym biurem, tworzy centrum życia wsi. Obok kościoła i kantoru znajdują się także dwa spośród dziesięciu wierszyńskich sklepów oraz przestronna altana, w której w weekendowe wieczory młodzież urządza dyskoteki. Wspomniane centrum stanowi stałą trasę polskich wycieczek i delegacji odwiedzających Wierszynę. Autobusy przywożące kolejne grupy parkują przy kościele, po czym następuje zwiedzanie kościoła i pobliskiego cmentarza, a następnie dwustumetrowy spacer do Domu Polskiego, w którym na gości z Polski czeka już posiłek przygotowany przez członkinie organizacji polonijnej.

Ponieważ większość pań zaangażowanych w przyjęcie śpiewa w „Jarzumbku”, odwiedziny w Domu Polskim połączone są z występem wokalnym. W repertuarze zespołu są zarówno utwory śpiewane jeszcze przez pierwszych przybyszów z Polski, jak i tradycyjne pieśni rosyjskie oraz nowsze polskie piosenki poznane podczas wyjazdów wierszynian do Polski. Podczas naszego kilkunastodniowego pobytu w Wierszynie, wieś odwiedzili przedstawiciele władz miejskich Częstochowy, grupa studentów geografii z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, dwie grupy turystów oraz Bradziaga Team – czteroosobowa załoga samochodu terenowego wracająca z wyprawy po Azji Środkowej w ramach pro-

gramu „Granice Bez Barrier”.<sup>16</sup> Spośród wymienionych grup tylko członkowie Bradziaga Team i uczestnicy jednej z wycieczek zdecydowali się spędzić w Wierszynie trochę więcej czasu, niż 3-4 godziny i zostali we wsi na noc. Grupa turystyczna, która została rozlokowana w domach kilkunastu wierszyńskich rodzin miała możliwość zjedzenia wspólnego posiłku z mieszkańcami Wierszyny, a także obejrzenia ich domów i zagród. W odróżnieniu od wycieczkowiczów, którzy z własnego wyboru lub w wyniku harmonogramu ułożonego przez przewodnika, skazani są jedynie na fragmentaryczny i fasadowy wizerunek polskiej osady na Syberii, turyści, którzy spędzili we wsi więcej czasu, mieli okazję do prywatnych rozmów z wierszynianami i bliższego ich poznania. Większość z nich skorzystała w pełni z tej możliwości; zawiązały się znajomości, pojawiły się życzenia ponownych odwiedzin w Wierszynie i wizyt w Polsce, a turystów można było spotkać także w odległych zakątkach wsi, oddalonych od „wycieczkowego” centrum nawet o dwa kilometry. Ich autentyczne zainteresowanie Wierszyną było ewenementem, na co zwracali uwagę sami mieszkańcy wsi, którzy nie potrafili przypomnieć sobie, by ktoś jeszcze, oprócz naukowców, zostawał w Wierszynie na nocleg.

Ilość i częstotliwość wpisów w księdze pamiątkowej w Domu Polskim potwierdza, że w ostatnich latach w okresie letnim, praktycznie każdego miesiąca Wierszynę odwiedza nawet po kilkanaście grup. Kolejne grupy wyjeżdżają w dalszą drogę pod wrażeniem „czystej, nieskażonej niczym polskości” i chwałą wierszynian za kultywację tradycji i języka przodków. Wyobrażenie polskości u uczestników wycieczek odbiega jednak znacząco od tego, co można uznać za polskość mieszkańców Wierszyny. Rozbieżności widoczne są między innymi na poziomie symboliki narodowej. E. Nowicka i M. Głowacka-Grajper opisywały sytuację, w której przybysze z Polski odwiedzający wierszyński cmentarz przywiązali do krzyży z polskimi napisami biało-czerwone wstążki. Mieszkańcy Wierszyny nie zrozumieli tego gestu i nie potrafili wyjaśnić obydwu badaczkom, w jakim celu oznaczono mogiły. Kiedy przodkowie wierszynian wyjeżdżali z Polski, nasz kraj znajdował się pod zaborami i symbolika barw narodowych nie była powszechnie znana w środowisku chłopskim.<sup>17</sup> W Wierszynie nie są również znane niektóre, zdawałoby się nieodłączne elementy polskiej kultury, jak np. pieśń „Sto lat” śpiewana podczas urodzin, imienin i innych uroczystości.<sup>18</sup> Wizyta w Domu Polskim, w którym na ścianach wisi zarówno godło, jak i biało-czerwona

<sup>16</sup> Program „Granice Bez Barrier” to wyprawy po bezdrożach Europy i Azji z udziałem członków Bradziaga Team oraz jednej osoby niepełnosprawnej, służące przełamywaniu barier fizycznych i psychicznych u uczestników wyjazdu oraz osób, które spotykają na swojej trasie.

<sup>17</sup> E. Nowicka, M. Głowacka-Grajper, *Polskość zastygła. Spojrzenie antropologa na Wierszynę*, [w:] E. Nowicka, M. Głowacka-Grajper (red.), *Wierszyna...*, s. 50-51.

<sup>18</sup> L. Figura, op. cit., s. 101.

flaga, nie uwidacznia tych różnic; w bibliotece znajdują się polskie książki, a w mediotece – klasyka polskich filmów na kasetach wideo i płytach DVD. Występujący dla gości zespół „Jarzumbek” ma w swoim repertuarze oprócz tradycyjnych pieśni i przyśpiewek, również „Sto lat” i nowsze polskie utwory. Goście z Polski widzą więc taki obraz polskości, jaki chcieli zobaczyć, a tym samym niejako zmuszają wierszynian do przedstawiania wizerunku ich wsi w sposób zgodny z oczekiwaniami turystów. Tymczasem przez prawie wiek spędzony na syberyjskiej ziemi polskość osadników uległa wielu modyfikacjom.

Fundamentem tożsamości wierszynian jest świadomość własnych korzeni i kraju pochodzenia, a także poczucie odrębności w stosunku do otoczenia.<sup>19</sup> Wielu mieszkańców Wierszyny uważa, że ważnym składnikiem ich polskości jest język polski, którym się posługują, ale dotyczy to przede wszystkim przedstawicieli starszego i średniego pokolenia. Tradycje i obyczaje wierszynian, według opisu L. Figury, potwierdzonego również w naszych obserwacjach, stanowią obecnie konglomerat elementów kultury polskiej, radzieckiej, rosyjskiej i buriackiej. Izolacja od kraju pochodzenia i bliski kontakt z przedstawicielami innych kultur, sprawiły, że po pogrzebie mieszkańcy Wierszyny zostawiają na grobie dla zmarłego pożywienie i nalewają kieliszek wódki, natomiast nowożeńcy wracający z Urzędu Stanu Cywilnego (ZAGS-u), zatrzymują się na moście lub skrzyżowaniu, żeby zgodnie z buriackim zwyczajem „pobryzgać”, czyli skropić ziemię alkoholem.<sup>20</sup> Mimo iż kolektywizacja Wierszyny w latach trzydziestych XX wieku została przeprowadzona pod przymusem, a opornych dotknęły represje, wierszynianie z zaangażowaniem pracowali w miejscowym kolchozie i obecnie wielu z nich wspomina okres powojenny, jako lata spokoju i bezpieczeństwa socjalnego. Obraz polskich osadników, którzy przystosowali się do życia w Związku Radzieckim i przejęli liczne elementy z innych kultur, co kłóci się z wizerunkiem Wierszyny i jej mieszkańców kreowanym m.in. przez podróżnika Romualda Koperskiego.<sup>21</sup> Uczestnicy wycieczek, którzy spędzają w Wierszynie około trzech godzin i nie nawiązują kontaktów z mieszkańcami wsi, wyjeżdżają stamtąd z wrażeniem powielającym treść folderu turystycznego, że wszyscy wierszynianie mówią na co dzień po polsku, regularnie chodzą do polskiego kościoła, a ich życie wygląda niemal tak, jak w pierwszych latach po migracji. Osoby, które zachęcone idylliczną wizją polskiej wsi na Syberii zadają sobie trud bliższego przy-

<sup>19</sup> A. Wiśniewska, *Rola i znaczenie Kościoła oraz wyznania katolickiego w kształtowaniu tożsamości narodowościowej mieszkańców Wierszyny (Rosja)*, [w:] A. Kuczyński (red.), *Kościół katolicki na Syberii. Historia – Współczesność - Przyszłość*, Wrocław 2002, s. 636.

<sup>20</sup> L. Figura, op. cit., s. 107; 112.

<sup>21</sup> Por. R. Koperski, *Tam gdzie każdy polskim włada*, „Poznaj Świat” nr 2: 2003, s. 70-83.

rzenia się życiu wierszynian, przeżywają duże zaskoczenie, jak np. Piotr Herman, polemizujący z R. Koperskim.<sup>22</sup>

Co ważne, potomkowie polskich osadników nie traktują Wierszyny jako ziemi obcej, lecz jest ona dla nich ojczyzną – małą Polską pośród tajgi, jak nazwał ją Walenty Pietrzyk, wierszynianin i autor książki *Ma-lienka Pol'sza w tajożnoj Sibiri*<sup>23</sup>, która ukazała się w lipcu 2008, tuż przed naszym przyjazdem na Syberię. Analiza wieloletniej pracy W. Pietrzyka – kroniki życia wsi i dziejów jego rodziny, potwierdza, że przez lata spędzone w Rosji i Związku Radzieckim wierszynianie wykształcili swoją własną tożsamość, w której jest miejsce na lokalny patriotyzm, polskość i chłopski etos pracy, ale również na radziecką mentalność i elementy kultury buriackiej. Mieszana tożsamość kulturowa jest bogactwem mieszkańców Wierszyny, ale przypisanie im z góry roli stereotypowego „Polaka na obczyźnie” nie pozwala nam się z tym bogactwem zapoznać.

Trwające niecałe dwa tygodnie badania przebiegały bezproblemowo. Wierszynianie nie mieli nic przeciwko rozmowom z uczestnikami ekspedycji i rejestracji swoich wypowiedzi na dyktafon. Udało nam się dotrzeć do większości mówiących po polsku mieszkańców wsi i tylko nieliczne osoby odmawiały udziału w badaniu, ale nie ze względu na niechętnie nastawienie wobec badaczy, lecz z powodu braku czasu.

Przełom lipca i sierpnia to czas intensywnych prac na polu i w gospodarstwie domowym oraz w tajdze. W wielu domach można było spotkać tylko dziadków i małe dzieci, ponieważ pozostali lokatorzy pracowali w tym czasie przy wyrębie lasu, zbierali jagody, lub korzystając ze słonecznej pogody byli zajęci sianokosami. Osoby w starszym wieku rozmawiały po polsku swobodnie i dysponowały dużą ilością czasu oraz największą wiedzą na temat historii swojej miejscowości, jednak nawet młodszy rozmówcy, kiedy już znaleźli dla nas czas, również udzielali stosunkowo długich wywiadów. Zapisane wypowiedzi stanowią aktualnie przedmiot analizy niezwykle ciekawych zjawisk językowych w mowie wierszynian, ale już nawet ich częściowe wyniki dowodzą potrzeby kontynuacji badań dialektologicznych i socjolingwistycznych w polskiej osadzie koło Irkucka.

Istnieje szansa połączenia dalszych badań z pracą na rzecz wierszynian. Podczas tegorocznej wyprawy okazało się, że mieszkańcy Wierszyny są zainteresowani organizacją w ich miejscowości zajęć z polskiego języka i kultury. Są one planowane w roku 2010 przez uczestników opisywanego wyjazdu we współpracy z toruńskim oddziałem Wspólnoty Polskiej.

\*

*W imieniu uczestników badań autor składa serdeczne podziękowania wszystkim, którzy pomogli w organizacji wyjazdu, a w szczególności ks. Włodzimie-*

<sup>22</sup> Zob. P. Herman, *Inne spojrzenie na polską wieś Wierszynę*, <http://czajchana.pl/herazja/sibir/polemika.htm>

<sup>23</sup> В. Петшик, *op. cit.*

*rzowi Siekowi z Irkucka, prof. Ewie Nowickiej z Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Mariuszowi Wołosowi i mgr. Priotropowi Głuszkowskiemu ze Stacji PAN w Moskwie, dr hab. Iwonie Rzepnikowskiej, prof. Czesławowi Łapiczowi i prof. Stefanowi Grzybowskiemu z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, a także mieszkańcom Wieruszyny za życzliwe przyjęcie.*



IZABELLA MIGAL

## PRZEKAZYWANIE NIEPRZEKAZYWALNEGO. LITERATURA WOBEC OBOZÓW SOWIECKICH

### 1. Między niewyraźnym i nieprzekazywalnym

Sztuka „od dawna zmagala się z problemem wyrażenia tego, co nieuchwytnie, nieprzedstawialne i niewyraźne”.<sup>1</sup> Pisarze zdawali sobie sprawę z „niewydolności językowego wyrażania”.<sup>2</sup> Owa „niewydolność” dotyczyła głównie doświadczeń mistycznych, wzniosłych, przekraczających psychofizyczną sferę człowieka. Pisarstwo świadków Gułagu w dużej mierze zdeterminowane jest doświadczeniem ciała i psychiki, choć można odnaleźć w nim sytuacje graniczące z mistyką. Mam na myśli rozmaite zbiegi okoliczności sprzyjające cudownemu ocaleniu. Wielu świadków uważa, że cudem uniknęła śmierci. Jednym pomogło dobre słowo, pożyteczna rada,<sup>3</sup> drugim dodatkowa porcja chleba. Nieraz wytrzymałość własnego ciała zaskakiwała. Obozy sowieckie, nazistowskie, w ogóle druga wojna światowa sprawiły, że człowiek zetknął się z szeregiem zjawisk „niewyraźnych”, obcych sztuce, kulturze, dotychczasowej wyobraźni. Już pierwsza wojna wniosła pierwsze elementy grozy do literatury, za przykład mogą służyć *Trzy zimy* Czesława Miłosza, bądź poezja Józefa Czechowicza. Istnieją jeszcze XIX-wieczne świadectwa z carskiej katorgi, ot chociażby *Szkice* Adama Szymańskiego. Warunki zsyłki XIX-wiecznej były o niebo lepsze niż deportacje w XX wieku w głąb ZSRR. Wystarczy porównać książkę Szymańskiego i wspomnienie Oli Watowej, aby się o tym przekonać. Jednak zarówno katorgę jak i obozy XX wieku bez większego ryzyka można zliczyć do spraw:

które przekraczają granice ludzkiej wyobraźni i może ludzkiej zdolności wczucia się w przeżycia drugiego człowieka. [...] Wydaje się, że przepaść oddzielająca ludzi z obozu od tych, którzy w nim nie byli, jest nie do przebycia.<sup>4</sup>

---

<sup>1</sup> R. Nycz, „Wyrażanie niewyraźnego” w *literaturze nowoczesnej (wybrane zagadnienia)*, [w:] *Literatura wobec niewyraźnego*, praca zbiorowa, pod red. W. Boleckiego i E. Kuźmy, s. 83.

<sup>2</sup> Ibidem, s. 90.

<sup>3</sup> Doradcą G. Herlinga-Grudzińskiego stał się pop Dimka, m.in. poradził Herlingowi, by udał się do ciężkiej pracy na birży: „Popracujesz — mówił mi Dimka — ale i pojesz. Pogrzejesz się trochę przy ognisku i zdechniesz z głodu. Kory nie ugryziesz, a chwoi ja tobie, synok, przygotuję” G. Herling-Grudziński, *Inny świat. Lekcja literatury z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim i Włodzimierzem Boleckim*, Kraków 2006, s. 70.

<sup>4</sup> A. Kępiński, *Rytm życia*, Kraków 2000, s. 111-112.

Ten szkic dotyczy wszak XX-wiecznego niewolnictwa, jest o tym, że więźniowie Gułagu, autorzy świadectw łagrowych, lub inaczej literatury łagrowej, spotkali się z ogromnymi trudnościami w przekazywaniu czytelnikom informacji o doświadczeniu ekstremalnym, jakimś ni to nieludzkim (boskim) ni to zwierzęcym. Wiele wskazuje na to, że nie w wadliwości, naturalnej ułomności języka czy też nieudolności świadka tkwi przyczyna nieporozumienia między nadawcą i odbiorcą. Rzecz nie w nieodpowiednio dobranych środkach artystycznych, lecz w czytelniku, słuchaczu, jego możliwości rozumienia kogoś w opresji; w poziomie jego zdolności empatycznych, zwykle słabo rozwiniętych. Potwierdzają to rozmaite odczytania *Innego świata*. Sama ofiara „innego świata” nie zawsze potrafi wczuć się w sytuację współwięźnia. Wątpię, że to tylko odległość czasowa pomiędzy faktycznym pobytem w obozie i momentem pisania sprawił, że między osobą piszącą i ludźmi pozostającymi w obozie powstała przepaść, że z perspektywy czasowej konkretna osoba została zniekształcona nie do poznania. Błędne wydaje się przypuszczenie, że i w przypadku świadectwa literackiego mam do czynienia z fikcyjnymi bohaterami. Świadectwo literackie rządzi się innymi niż fabuła prawami. Fikcja w przypadku świadectwa ogranicza się do refleksji etycznej, politologicznej, estetycznej. Jakieś szczegóły obrzydliwej rzeczywistości mogą być fikcyjnymi, nadającymi narracji ton wzruszenia i mimo wszystko piękna. Są oczywiście quasi-dokumenty fałszujące świadomie realia obozu sowieckiego. Ale *Inny świat* z pewnością do takich dzieł nie należy. Herlingowi-Grudzińskiemu udało się połączyć wartości artystyczne z prawdą faktograficzną, mimo to jego świadectwo często odbierane było jako fikcja literacka<sup>5</sup>, krytykowano zakończenie książki<sup>6</sup>; Nie był dostrzeżony inny wymiar świadectwa Herlinga, mianowicie taki, który ujmuje obozy sowieckie jako miejsce zagłady, tzn. takie, gdzie w dość krótkim czasie (w ciągu kilku tygodni, miesięcy) doprowadzono do licznych (tysięcznych, milionowych) śmierci. Herling wielokrotnie zwracał uwagę na eksterminacyjny charakter obozów sowieckich.<sup>7</sup> Gdyby nie amnestia, stwierdza rzeczowo Herling: „musiałbym umrzeć”.<sup>8</sup> Mimo to

<sup>5</sup> „Nie chcę podawać nazwisk, ale wiem o luminarzach naszej literatury i filozofii, którzy w latach pięćdziesiątych po przeczytaniu *Innego Świata* twierdzili, że jest to dzieło nieprzeciętnej wyobraźni literackiej”; „Najbardziej elegancy starali się mówić wyłącznie w kategoriach literackich, co mnie bardzo irytowało, bo wiedziałem, że to jest sposób na przemilczenie spraw najważniejszych, czyli tematu *Innego Świata*” – *Mój „Bildungsroman”*. (Rozmowa o Innym świecie), [w:] G. Herling-Grudziński, *Inny świat. Lekcja literatury z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim i Włodzimierzem Boleckim*, Kraków 2000, s. 19, 30;

<sup>6</sup> Zob. *Mój „Bildungsroman”*. (Rozmowa o Innym świecie), [w:] G. Herling-Grudziński, *Inny świat. Lekcja literatury z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim i Włodzimierzem Boleckim*, s. 16

<sup>7</sup> Zob. G. Herling-Grudziński, W. Bolecki, *Rozmowy w Dragonei*, Warszawa 1997, s. 114.

<sup>8</sup> *Mój „Bildungsroman”*..., op. cit., s. 6.

„istnieje absolutny opór wobec porównywania zbrodni komunistycznych z bestialstwami hitlerowców”.<sup>9</sup> W XXI w. nadal pojawiają się opinie, że obóz sowiecki był bardziej „łagodny” niż hitlerowski, gdyż z góry nie skazywał na śmierć. Selekcji dokonywał nie człowiek na rampie, lecz głód i mróz.<sup>10</sup> Skoro śmierć ponosiło się z rąk natury (surowych warunków klimatycznych), wobec tego zmniejszyła się odpowiedzialność władz za śmierć milionów ludzi. Nie mam wątpliwości, że obydwaj „bliźniaczy bracia totalitaryzmu” (określenie G. Herlinga-Grudzińskiego) dokonali potwornej zbrodni. Stopniowanie rozmiarów zła jest bezzasadne. Zbrodnia to zbrodnia. Zresztą w Auschwitz zagłada przebiegała na różnych poziomach: niszczenie ciał było i natychmiastowe i długotrwałe: poprzez złe warunki sanitarne, mieszkaniowe (dachy baraków były dziurawe, a barak nieocieplany, zimy w czasie wojny były surowe), ciężką i głupią pracę, z której nie wynikała żadna produkcja, szykany. Pseudozakłady Budy odwracały uwagę od tego, co stanowiło podstawowy cel obozu. Identyczne zabiegi przeprowadzano w obozie sowieckim. Służyły nie tylko realizacji planów gospodarczych. Praca przynosiłaby znacznie większe efekty, gdyby ją wykonywali zdrowi i stosownie odżywieni ludzie. Wysoka śmiertelność mogła mieć tylko i wyłącznie negatywne skutki dla gospodarki ZSRR.<sup>11</sup> Założycielom Gułagu chodziło przede wszystkim o przeprowadzenie zagłady stopniowej, wyjątkowo perfidnej a przy okazji o pozyskanie taniej siły roboczej. Toteż więzień wtrącony do obozu sowieckiego szedł na śmierć, a nieliczni tylko ocalali cudem.<sup>12</sup> Zarówno naziści jak i komuniści prześladowali za inność, dążyli do ujednolicenia społeczeństwa. Ci pierwsi do narodowego, drudzy do światopoglądowego. Sowietci też wynaradawiali, ale w inny, bardziej przemyślny sposób. Nie deklarowali, że będą zabijali przedstawicieli różnych narodów, niemniej polityka oświatowa była przez nich tak przemyślana, by nie Rosjanie zapomnieli swojego języka i stracili poczucie przynależności do kultury swoich przodków.

Sowieci nie ujawniali swoich prawdziwych zamiarów. Lenin deklarował, że troszczy się o „zgniecenie burżuazji i zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka”<sup>13</sup> i jednocześnie wcielał w życie to z czym wal-

<sup>9</sup> Ibidem, s. 22.

<sup>10</sup> J. Supady napisał, że „obozy koncentracyjne w Rosji sowieckiej, pełniąc przede wszystkim rolę represyjno-eksterminacyjną, stały się ogromnym rezerwuarem niemal darmowej, nieludzko eksploatowanej siły roboczej”. Zob. J. Supady *Życie i śmierć w łagrach sowieckich*, Łódź 2001, s. 9.

<sup>11</sup> Charakterystyka Gułagu, określenie jego roli ekonomicznej i represyjnej znajduje się w: S. Ciesielski, *Gułag w radzieckim systemie represji. Raporty Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. W. Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego*, Wrocław 2005.

<sup>12</sup> Obóz śmierci był czym innym niż obóz koncentracyjny, poprzez ten pierwszy droga prowadziła prosto do śmierci.

czył, czego dowodem są obozy zakładane z coraz większą intensywnością jeszcze za czasów Lenina.

Nie sposób omówić tu podstawowych nawet różnic pomiędzy komunizmem i nazizmem. Znamienne jest to, że z zewnątrz te ruchy wydawały się czym innym niż wewnątrz. Państwa europejskie i Stany Zjednoczone nie przyjmowały dowodów na istnienie obozów w Rzeszy i negowały istnienie łagrów w ZSRR, a także zbrodniczość ustroju tego państwa.<sup>14</sup> Niemniej już w 1919 roku Leonidas Andrejew zdemaskował „oszustwa w dekretach Lenina”.<sup>15</sup> George Orwell jeszcze przed II wojną światową dobrze zdawał sobie sprawę z tego, czym są dwa totalitaryzmy.<sup>16</sup>

## 2. Donosicielstwo, prostytutka, obłąd.

### Nieporozumienia z *Innym światem*

i nie przebaczasz zaiste nie w twojej mocy  
w imieniu tych których zdradzono o świecie  
Zbigniew Herbert *Przesłanie*

W Związku Radzieckim potępienie donosicielstwa było dość powszechne, choć wydawać by się mogło, że w społeczeństwie zmanipulowanym nie powinno było budzić sprzeciwu. Również za kolczastym ogrodzeniem donosiela traktowano jako zdrajcę, sprzedawczyka, w języku rosyjskim istnieje dlań osobne określenie „предатель”, inne zdrady noszą odrębne miano: zdrada ojczyzny – „измена родине”, zdrada w relacjach damsko-męskich to też „измена”, zmienną jest i kobieta i mężczyzna – „она изменила” / „он изменил”. W podwórkowych rozmowach dzieci nader często pojawiało się słowo „предатель”, „стукач”.

Herling udzielał sprzecznych wypowiedzi o donosicielstwie. W *Innym świecie* pisał, że donos nikogo nie dziwił i nie gorszył<sup>17</sup>, ale Włodzimierzowi Boleckiemu powiedział: „Dla nas wszystkich, łagierników, donos był zbrodnią potworną”<sup>18</sup>. Czym innym jest jednak donosicielstwo dla zachowania lub zdobycia dobrej posady i przywilejów, czym innym w obliczu śmierci, utraty zdrowia fizycznego lub psychicznego.

Donosicielstwo właśnie zostało wyeksponowane i potępione w *Epilogu*, kiedy to współwięzień z Jercewa odwiedza pisarza w Rzymie. Ten człowiek za cenę własnego życia złożył fikcyjny donos na Niemców. Opowiadał Herlingowi:

<sup>13</sup> *Konstytucja Rosji Sowieckiej*, [w:] J. Parandowski *Bolszewizm i bolszewicy w Rosji*, Londyn 1996, s. 209.

<sup>14</sup> Zob. *Mój „Bildungsroman”*..., op. cit. s. 16.

<sup>15</sup> Zob. J. Parandowski op. cit., s. 199.

<sup>16</sup> Zob. G. Orwell *O sobie; Recenzja „Mein Kampf” Adolfa Hitlera (w pełnym tłumaczeniu)*, [w:] G. Orwell *I ślepy by spostrzegł*, tłum. B. Zborski, Kraków 1990.

<sup>17</sup> G. Herling-Grudziński *Inny świat*, korzystam z wydania: *Lekcja literatury z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim i Włodzimierzem Boleckim*, Kraków 2000, s. 267.

<sup>18</sup> *Mój „Bildungsroman”*..., op. cit. s. 17.

Zażądano ode mnie, abym złożył zeznanie, że słyszałem ich rozmawiających po niemiecku o bliskim nadejściu Hitlera (IŚ<sup>19</sup> 352).

Miał do wyboru śmierć tamtych czterech lub pracę w lesie zamiast na stanowisku brygadiera w baraku technicznym. Od swojego słuchacza oczekiwał słowa „rozumiem”. Wtedy zrozumienie było nie do pomyślenia: „Nie, nie mogłem wymówić tego słowa” (IŚ 353). Niewiadomo, czy tylko li sama zdrada zirytowała Grudzińskiego. Może ton sprawozdania. Nie wiem, czy prośba o słowo „rozumiem” zabrzmiała jak: „wybacz, jestem winny”. Wybaczyc można tylko temu, kto ma poczucie winy. Czy Żyd czuł się winny? Czy był winny? Istnieje duże prawdopodobieństwo, że bez donosu Niemców rozstrzelaliby na tej samej podstawie. Enkawudziści na pewno są winni śmierci więźniów oraz spoczywa na nich odpowiedzialność za podjudzanie do donosicielstwa. Jednym z najohydniejszych chwytów ludzi pracujących na rzecz sowieckiego ustroju było zniesławienie moralne ofiar, pozostawiania w nich poczucia słabości. Byli tacy, co się poddawali łatwo bez chwili wahania, wielu złamano po długotrwałych torturach psychicznych lub fizycznych, inni oddawali życie w imię wartości. Szczęśliwi są ci, którym udało się w czasie ciężkiej próby zachować i życie i wierność wartościom. Może donosiciel z *Innego świata* należał do tych, co zbyt łatwo się poddali. Szałamow wieloletni więzień Kołymy, odmówił pracy na stanowisku brygadiera, gdyż nie mógł rozkazywać głodnym ludziom.

W szerszym kontekście literackim, a przede wszystkim biograficznym należy interpretować *Inny świat*.<sup>20</sup> Nieustępliwość Herlinga jest znakiem niezgody na zło w wolnym świecie. Jako więzień dość już zniósł, dlaczego miałby się poświęcać na ponowne cierpienie, zupełnie niekonieczne. Na podstawie *Dzienników*, *Rozmów w Dragonei* można wnioskować, że niektóre sytuacje, zachowania ludzkie przypominające niewolników z obozu budziły w Herlingu wręcz lęk metafizyczny. „»Inny świat« degradował wszystkich ludzi”,<sup>21</sup> jak wspominał Herling-Grudziński:

czułem, że wokół mnie panoszy się potworne zło, którego w takiej skali i w takim stężeniu nigdy nie widziałem. Nie zdawałem sobie sprawy, że może istnieć.<sup>22</sup>

Herling, powróciwszy na wolność, nie chciał przyjmować reguł zniewolonych, potępiał „»nową moralność« ideologów totalitaryzmu”, nie zgadzał się z tym, że:

<sup>19</sup> Skrót odnosi się do: G. Herling-Grudziński, *Inny świat. Lekcja literatury z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim i Włodzimierzem Boleckim*, Kraków 2000.

<sup>20</sup> S. Stabro, proponuje, by w interpretacji dzieła G. Herlinga-Grudzińskiego wziąć pod uwagę *Archipelag Gulag* A. Solżenicyna, *Na nieludzkiej ziemi* J. Czapskiego, *Opowiadania kołymskie* W. Szałamowa i in.; Zob. S. Stabro *Gustaw Herling-Grudziński – „Inny świat”. Fenomenologia cierpienia*, [w:] *Etos i arcyzm*, Poznań 1991.

<sup>21</sup> *Mój „Bildungsroman” (Rozmowa o Innym świecie)*, op. cit., s. 26.

<sup>22</sup> *Ibidem*, s. 14.

świat jest okrutny, bo tak jest zrobiony [...], że normalność na tym polega, że jest nieskończenie okrutny, a taki pogląd faktycznie na wszystko pozwala, bo wszystko usprawiedliwia.<sup>23</sup>

Wszak twierdzenie, że świat jest zły, nie oznacza zgody na zło. Właśnie przemilczanie zła, sprzyja jego rozwojowi. Wolny (nie totalitarny) świat bywa straszny. Wystarczy dobrze się rozejrzeć po własnym podwórku, by zorientować się, że tak jest.

Wiedz, że wojna nie jest ani odrobinę straszniejsza od tego, co się dzieje w twoim ogródku, w dzień pogodny. Jeżeli wiesz, co w ogóle się dzieje w świecie i w życiu, dlaczego tamto cię przeraża?<sup>24</sup>

W słowach Gombrowicza czai się pewna przesada, wojna oczywiście jest straszniejsza od przemocy w wolnym państwie. Niemniej to ludzie z tego świata doprowadzili do wojny i powstania obozów.

Kolejnym złem i źródłem nieporozumień jest prostytutka obozowa. Rodzi się sprzeciw wobec nazywania prostytutką lub „sposobem na przeżycie”, „transakcji” przebiegającej pomiędzy dziewczyną z Mołodeczna i brygadierem Polenko. Smutne jest również to, że w galerii wymienionych przez Stanisława Stabro bohaterów, „instynktownie walczących nie tylko o swoje fizyczne przetrwanie, lecz o utrzymanie przy życiu trzech ewangelicznych skądinąd cnót: Wiary, Nadziei, Miłości”,<sup>25</sup> zabrakło „kapitańskiej doczki” z Mołodeczna. Jest Misza Kostylew, zabójca Stalina, „Jewgienija Fiodorowna, której zmartwychwstaniem stanie się śmierć przy porodzie dziecka”,<sup>26</sup> zakochana w gwałtocielu Ukrainka, Natalia Lwowna. Tekst *Innego świata* nie rejestruje żadnych sygnałów, które by zachowanie polskiej dziewczyny kwalifikowały jako „sposób na przeżycie”. Ona też walczyła o swoje wartości, tylko że walka ta była z góry skazana na przegraną. Przegrali de facto wszyscy: Ukrainka, zabójca Stalina, Natalia Lwowa, Tatiana. Wystarczy przypomnieć finał ich historii. Wygraną jest sam sprzeciw. To co się stało z dziewczyną z Mołodeczna nie jest niczym innym jak gwałtem, a nie sposobem na przeżycie:

na gruncie psychologicznym gwałt definiuje się jako »groźbę, siłę fizyczną i zastraszenie w celu uzyskania seksualnej relacji z drugą osobą wbrew jej lub jego woli. Intencją gwałtu jest upokorzenie, zdegradowanie ofiary«.<sup>27</sup>

Bohaterka znalazła się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia, była szantażowana głodem i ciężką pracą. Fikcyjne małżeństwo dziewczyny z bohaterem – narratorem nie koniecznie chroniłoby ją przed

<sup>23</sup> G. Herling-Grudziński, W. Bolecki, *Rozmowy w Dragonei*, op. cit., s. 149.

<sup>24</sup> W. Gombrowicz *Dziennik 1953-1956*, „Krań” Warszawa, 1984, s. 270.

<sup>25</sup> S. Stabro *Gustaw Herling-Grudziński – „Inny świat”*. *Fenomenologia cierpienia*, [w:] *Etos i artyzm*, s. 26.

<sup>26</sup> Ibidem.

<sup>27</sup> M. Wysocka-Pleczyk przetacza definicję gwałtu za T. S. Foley, N. A. Davies *Rape. Nursing care of victims*, St. Luis 1983, s. 983.

„upodleniem seksualnym” (IS 208), tylko „na pewien czas [podkreślenie – I. M.]” (IS 210), tak jak azyl Ukrainki nie trwał wiecznie.

Mężczyźni jednak byli pewni, że „kobieta wychodząca za zonę – do naczelnika była » prostytutką« i to najgorszego typu” natomiast „nikt nie kwestionował jako »prostytuowania« dobrego prawa niemal wszystkich brygadierów i techników do comiesięcznego wypłacania się donosami w Trzecim oddziale” (IS 207).

Za prostytutkę była uważana Tatiana. Ona także uległa presji brygadiera, który zagnał ją do ciężkiej pracy w lesie, by zmusić ją do współżycia. Zorientowała się ona szybko, że nie sposób wyjść z tej tragicznej sytuacji:

Miała ten szczęśliwy instynkt, że potraktowała całą sprawę na wesoło i została czymś w rodzaju markietantki brygadowej aż do chwili, gdy jakaś pożądliva łapa naczelnika wyciągnęła ją za włosy z grzędawiska i posadziła za stołem rachmistrzów (IS 211).

W tym fragmencie narrator daje wyraz sympatii dla Tani. Ucieczka od hańby mogła prowadzić tylko przez samobójczą śmierć.<sup>28</sup> Więźniowie znaleźli się w zamkniętej przestrzeni i nawet w otwartej przestrzeni nie mogli uciec z posterunku pracy: Stał konwojent z bronią, ale często nie był on potrzebny, gdyż przyroda stała się naturalnym drutem kolczastym, wyznaczającym przestrzeń zniewolenia siecią rzek na Kółymie i bagnami na północnym Uralu.<sup>29</sup>

Narrator *Innego świata* ze spokojem i dystansem opowiada o „urkach” – uprzywilejowanej grupie w obozie, którzy zdołali „uciuć fortunę z paskarstwa, kradzieży, a nierzadko i mordów dokonywanych na »białoruczkach« (politycznych)” (IS 50). W tym opisie istotne znaczenie odgrywa mimolotne stwierdzenie, że „czekają na niego kochanki jak rozstawne klacze” (IS 50). Trudno właściwie rozstrzygnąć, kogo bardziej nienawidzi narrator, urków czy „klaczki”. Może on sam tego nie wie. Polenko i brygadier Wania – to – mówiąc tamtym językiem – swołocz, ale narrator traktuje ich zachowanie jako coś oczywistego, bez cienia pogardy – „Sceny gwałtu zostały szczegółowo opisane, sprawcy, z którymi przecież mieszkał [bohater –I. M.], nie”.<sup>30</sup> Barbara Skarga nie zgodziła się ze stwierdzeniem Herlinga-Grudzińskiego, że

<sup>28</sup> J. Supady opisał sytuację z jednym wyjściem dla „upatrzonej” ofiary: otóż brygadierzy często, by zdobyć kobietę obciążali nadmiernym wysiłkiem całą brygadę, w której pracowała skazana ofiara. Grupa kobiet obracała się przeciwko tej jednej, zob. J. Supady, op. cit., s. 109-144.

<sup>29</sup> W. Lięża napisał, że w poezji B. Obertyńskiej można zaobserwować „udział natury w zbrodni”, była ona dodatkowym elementem zniewolenia, zob. W. Lięża *Beaty Obertyńskiej świadectwo z domu niewoli*, [w:] *Świadectwa i powroty nieludzkiego czasu*, red: J. Świąch, Lublin 1990, s. 152-169.

<sup>30</sup> E. Czaplejewicz, *Polska literatura lagrowa*, Warszawa 1992, s. 104.

kobiety znacznie gorzej znosiły głód fizyczny i seksualny. [...] Biologiczna odporność kobiet była znacznie większa. Obozowe dochodiagi to przeważnie mężczyźni, kobiety nader rzadko. [...] Nie jest jednak prawdą, że można było mieć każdą kobietę za pajdę chleba.<sup>31</sup>

Urkom usługiwały także męskie prostytutki, wspomina Herling, przez ręce urki „przechodzą wszystkie »prawiczki« z wolności, zanim wylądują wreszcie w łóżkach naczelników (IS 50). Jednak autor *Innego świata* nie poświęca tak dużo miejsca prostytutce męskiej jak kobiecej, zaledwie napomyka o jej istnieniu. „Co ciekawe, prostytutkę uprawiano także w obozie męskim, a klientkami były kobiety”.<sup>32</sup> Mężczyźni najczęściej zapamiętywali haniebne zachowanie kobiet, a przecież „akcje” odbywały się z udziałem mężczyzn.<sup>33</sup> I snujący w *Innym świecie* opowieść o głodzie nie ukrywa, że „po latach zostaje z tego wspomnienie wstrętu, podobne do grzebania się w szlamie opróżnionej sadzawki, głęboka niechęć do siebie i do kobiety, która zdawała się niegdyś tak bliska...” (IS 209). Jeżeli wysiłkom zrozumienia więźniów łagru towarzyszy współczucie, to jest ono przeplatane z pogardą. Próba zrozumienia ofiary ma miejsce wtedy, gdy jest mowa o obłudzie opinii publicznej, która skłonna jest potępić „pochwyconą na gorącym uczynku ofiarę” „aby się tym tani kosztom nieco wybielić” (IS 208).

I Natalia Lwowna, wydawać by się mogło lubiana przez narratora, czysta jak anioł, ale też zablakana w tych ciemnych barakach, sprowadziła na siebie przekleństwo odtrącenia. Wywołała ona zaciekawienie u narratora. Coś tajemniczego tliło się w jej „chorobliwych wypukłych i nieruchomych oczach”, w których „czaił się ledwie dostrzegalny błysk szaleństwa” (IS 246). Gesty i spojrzenie bohaterki zostały potraktowane jako emanacje duszy. Natalia Lwowna wtajemniczyła Herlinga w lekturę *Zapisków z martwego domu*. Narrator inteligentny czytelnik Dostojewskiego zorientował się dość szybko, że poddanie się atmosferze „wiecznej ciemności” (IS 244) i pełna świadomość doprowadza nieuchronnie do zguby. Natalia Lwowna nie chciała przyjąć do wiadomości tej prawdy i pozostawała nałogową czytelniczką *Zapisków*.<sup>34</sup> Jako ofiara była przywiązana do kata, inaczej cierpienia.<sup>35</sup> Właśnie za to została odtrącona: „Są tajemnice, które łączą, są jednak i takie, które w wypadku klęski na

<sup>31</sup> B. Skarga, *Świadectwo „Innego świata”*, [w:] W. Bolecki, „*Inny świat*” *Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*, Warszawa 1994, s. 178.

<sup>32</sup> B. Skarga, *Po wyzwoleniu*. (1944-1956), Kraków 2008, s. 180.

<sup>33</sup> Zob. J. Supady, op. cit., s. 111-114.

<sup>34</sup> T. Sucharski przeanalizował dokładnie i wnikliwie relacje pomiędzy twórczością G. Herlinga-Grudzińskiego a dziełami F. Dostojewskiego, Zob. T. Sucharski, *Dostojewski Herlinga-Grudzińskiego*, Lublin 2002.

<sup>35</sup> „W jednym z najświetniejszych rozdziałów *Innego świata*, w *Zapiskach z martwego domu*, w którym opisane zostało amatorskie przedstawienie (rodzaj tragicznej psychodramy odgrywanej przez samych więźniów pod okiem strażników), znajdujemy wyraz niechęcianej, zniewalającej i hipnotycznej mocy jakby dobrowolnie w końcu przyjmowanego cierpienia” – S. Stabro *Fenomenologia cierpienia*, [w:] *Etos i arcyzm*, s. 23-24.



zawsze – dzielą” (IŚ 259). Słowa będące świadectwem współczucia i *caritas*. Krytycy na ogół podzielają opinię, że w prozie Herlinga wysiłkowi rozumienia towarzyszy – **miłosierdzie** [podkreślenie Z. Kudelski]<sup>36</sup>. Jeśli jest to rozumienie to takie, które prowadzi do zerwania z osobą, którą się poznaje, przejrzy, dotrze do źródła jej problemu.

### 3. Kontemplacja przedmiotów, ubioru, przyrody. Przekazane przez kobiety

Wśród kobiecych świadectw łagrowych największym uznaniem cieszy się *W domu niewoli* Beaty Obertyńskiej, *Po wyzwoleniu...* (1944-1956) Barbary Skargi, *Wszystko co najważniejsze* Oli Watowej, czego dowodem są kolejne wydania krajowe. W 2005 „Czytelnik” wznowił świadectwo B. Obertyńskiej, „Znak” w zeszłym roku B. Skargi. Są świadectwa, które ukazały się tylko raz na emigracji, wśród nich należy wymienić utwory Herminii Naglerowej.

Autorka świadectwa z Workutłagu (B. Obertyńska) jest nadal postrzegana jako poetka.<sup>37</sup> Monograficzne *Zakłete przestrzenie* koncentrują się głównie na poetyckim dorobku Obertyńskiej, prozie łagrowej poetki są częściowo poświęcone dwa artykuły. Te dwie formy sowieckich wspomnień Obertyńskiej – prozę i poezję należy traktować jako całość. Nieprzypadkowo wydanie *W domu niewoli* zawiera także wiersze z łagrów. *Casus* Beaty Obertyńskiej można porównać z twórczością Warłama Szalamowa; „Proza Szalamowa – to proza Poety”.<sup>38</sup> Izabela Sariusz-Skapska poświęciła sporo uwagi „prozatorskiej” części relacji Obertyńskiej z pobytu w ZSRR. Szkic Wojciecha Ligęzy *Beaty Obertyńskiej świadectwa z domu niewoli* obejmuje refleksją zarówno świadectwa poetyckie jak i prozatorskie tej autorki.<sup>39</sup>

Zbeletryzowane wspomnienia Herminii Naglerowej z pobytu w łagrze kazachstańskim rzadko są przywoływane w pracach poświęconych tej problematyce. Tymon Terlecki cenił jej trylogię *Krauzowie i inni*, zaś z powojennej twórczości *Sprawę Józefa Mosta* oraz *Wierność życiu*.<sup>40</sup> Izabela Sariusz-Skapska i Eugeniusz Czaplejewicz przywołują nazwisko tej powieściopisarki na zasadzie wzmianki, a G. Herling-Grudziński miał o nich niezbyt przychylny zdanie:

<sup>36</sup> Zob. *ibidem*, s. 23.

<sup>37</sup> Przed wojną jej twórczość była wysoko notowana: „Leopold Staff powiedział: „gdyby nie było Pawlikowskiej, to Beata Obertyńska byłaby największą damą polskiej poezji” – E. Obertyński, *Zapomniana poetka*, [w:] *Zakłete przestrzenie: O twórczości Beaty Obertyńskiej*, red: Z. Andres, Z. Ożóg, Toruń 2005, s. 336.

<sup>38</sup> И. Сиротинская, *О Варламе Шаламове*, [w:] В. Шаламов, *Избранное*, Санкт-Петербург 2002, s. 10.

<sup>39</sup> Zob. W. Ligęza *Beaty Obertyńskiej świadectwa z domu niewoli*, [w:] *Świadectwa i powroty nieludzkiego czasu...*, op. cit.

<sup>40</sup> T. Terlecki, *Herminia Naglerowa (i „Wierność życiu)*, [w:] T. Terlecki, *Spożycia ze swoimi*, Wrocław 1999.

Naglerowa pisała nowelki, które moim zdaniem, były bardzo słabe, zbyt sentymentalne. [...] Najbardziej interesująca wydała mi się wówczas książka Beaty Obertyńskiej *Z domu niewoli*.<sup>41</sup>

Wbrew pozorom, w *Ludziach sponiewieranych* nie ma demonstracyjnego bohaterstwa, pochwały martyrologii, zwycięstwa lub porażki, glorii ani potępienia.

Zwycięstwo ludzkie nie jest u niej wcale gromkie i samochwalcze. Przeciwnie jest ściszone, jakby zawstydzone, że tyle kosztuje, że tak daleko mu do bohaterskiej zupełności. Każe ono myśleć: byłoby lepiej, żeby człowiek nie był wystawiony na taką próbę wierności człowieczeństwu, że nie potwierdzał się za taką cenę.<sup>42</sup>

W noweli *Śledztwo* komentarz odautorski ogranicza się do minimum. Nie wiadomo jak ocenia narratorka postępowanie śledczego, raz łagodnego aż do bólu, a to znowuż sięgającego po najokrutniejsze metody, by wymusić przyznanie się do winy. Jedynie zdanie „jej powieki zatrzepotały, bo nagle rozpoznała w nich – oprawców”<sup>43</sup> wyrażają stosunek do katów. Choć Henryka nie poddała się, aż do śmierci, nie jest otoczona ona glorią zwycięzcy:

krzyknęła: – „Nie”!!!, zabijając tym słowem także siebie. Iwanow doskoczył do niej: – „Ach ty suko, suko!” – A ją aż roznosił huczny śmiech – że nie jest już ani Wandą, ani Henryką, że już nic nie musi wiedzieć i pamiętać.<sup>44</sup>

Tego opisu nie zakwalifikujemy raczej do formy suchego sprawozdania. Z jednej strony obojętny, wydawałoby się obserwator, a z drugiej niezdecydowany i obarczony ostateczną oceną zachowań bohaterów, wcale nieobojętny tylko miotany mieszanymi uczuciami. Pozorna bezstronność obserwatora wynika z tego, że „przedział między nami a wywołaną rzeczywistością i poszczególnymi postaciami przestaje istnieć”.<sup>45</sup>

Technika pisarska, pozbawiona trybu wspomnieniowego należy do rzadkich w literaturze w gruncie rzeczy wspomnieniowej, narrator jednak wspomina, a nie tworzy tylko i wyłącznie w abstrakcyjnej, oderwanej od konkretnego wyobraźni. Jednak nie wszystkie „nowelki” z *Ludzi* są nowelkami, autorka niekiedy przyznaje się do obecności w tekście, wtedy wypowiada się w pierwszej osobie, pojawia się także autorefleksja oraz komentarz do opisywanej rzeczywistości. Przykładami takiego opowiadania jest *Chaplin w łagrze* i *Kazachstańskie noce*, technika „milczącej obserwacji” występuje tu także. Narratorka Naglerowej wprowadza w stan kontemplacji przyrody umożliwiające jej odzyskanie własnego człowieczeństwa, poczucia wolności – niezależności od szarzyzny łagrowego życia, ale wydaje

<sup>41</sup> G. Herling-Grudziński, *Rozmowy w Dragonei*, op. cit., s. 125.

<sup>42</sup> Jest to refleksja T. Terleckiego dotycząca *Wierności życia*, niemniej te słowa można także odnieść do *Ludzi sponiewieranych*, zob: T. Terlecki, op. cit., s. 233.

<sup>43</sup> H. Naglerowa, *Ludzie sponiewierani*, Rzym 1945, s. 26.

<sup>44</sup> Ibidem, s. 30.

<sup>45</sup> T. Terlecki, op. cit., s. 234.

się, że nie potrafi ona kontemplować innej osoby, jej wyglądu i psychiki. Opis zachowań, ujmowanie postaci w ruchu i dialogach nie jest kontemplacją. Przyroda daje jej wytchnienie, a człowiek wtargnął się i zakłócił wewnętrzny spokój odzyskany dzięki mocy natury.

Księżyc, nieodparty, straszliwy, pojawiał się za zarysem »sopków«, przesu- wając za każdym razem miejsce swoich wschodów. Wylaniał się prawie znie- nacka, czerwony i ogromny, bez względu na to, czy pełnił, czy też tylko ćwiart- kę, rogiem, sierpem wychodził na niebo. Tracąc czerwień, choćby był tylko rąb- kiem, rozjaśniał ziemię, odsłaniając daleko obszar stepu aż do jego zetknięcia się z ciemną ścianą.<sup>46</sup>

Ludzi nie było „w mojej wyobraźni i świat zdawał się ich nie po- trzebować”.<sup>47</sup> W samotności i egotyzmie „usiłuje człowiek pozbawiony wolności docierać do swojej istoty, aby biec jej na ratunek przed zgubą”.<sup>48</sup> „sowiecki łagiernik uporczywie walczy o swoje przebrzmiałe »jak«”.<sup>49</sup> Jednak inżynierka Natasza mieszkająca w osobnej izdebce „we- szła w bezludzie moich nocy, abym znowu ćwiczyła się w spostrzegaw- czości, w wysnuwaniu wniosków, w wiązaniu akcji”.<sup>50</sup> „Natasza zaludni- ła mój nocny, księżycowy, gwiazdny albo zaciemniony świat nie tylko sobą”,<sup>51</sup> ale jeszcze aktorką Szurą namiętnie deklamującą wiersze w iz- debce Nataszy. Spotkanie z Nataszą zaczęło się tak jak w *Innym świecie* od tajemniczego przecucia, kiedy Szura „wypadała” z domku Nataszy „zostawał po niej niepokój”.<sup>52</sup> Strzał rewolwerowy kazał spełnić się ta- jemnicy, w ogródku obozowym kogoś zabili – zapewne za kradzież ja- rzyn, to była Szura; „Przecież wiedziałam o tym wczoraj w nocy, wie- działam o tym już dawniej, już od tamtej chwili, kiedy pierwszy raz zo- baczyłam Szurę w białym fartuchu”.<sup>53</sup>

Czy Szura została potraktowana tu z pogardą, być może, jeżeli fragment, poprzedzający tragiczny finał opowieści uznamy za prze- śmiewczy:

Szura domierza wiersze do wiatru, do piorunów. Wstrząsnął mną śmiech czy dreszcz, bo ubranie moje przemokło. Ale naprawdę śmiałam się z Szury, która deklamowała tylko wtedy, kiedy była głodna.<sup>54</sup>

Nie ma w *Kazachstańskich nocach* pogardy dla bohaterów: „w sko- jarzeniach tłumaczyli się wyraźniej, a nabierając znajomych cech ludz-

<sup>46</sup> H. Naglerowa, *Kazachstańskie noce*, [w:] *Polacy w ZSRR 1939-1942. Antolo- gia*, oprac. i wstęp: M. Czapska, Warszawa 1981, s. 60.

<sup>47</sup> Ibidem.

<sup>48</sup> Ibidem, s. 63.

<sup>49</sup> Ibidem, [cyt. niedokładnie].

<sup>50</sup> Ibidem.

<sup>51</sup> Ibidem.

<sup>52</sup> Ibidem, s. 64.

<sup>53</sup> Ibidem, s. 69.

<sup>54</sup> Ibidem, s. 68.

kich, budzili współczucie”,<sup>55</sup> choć Szura to rodzaj herlingowej przekupki proponującej wiersze w zamian za marchewkę.

Beata Obertyńska również jest skłonna do „medytacji nad, po pierwsze, przedmiotem, po drugie pejzażem, po trzecie osobą”.<sup>56</sup> Napisała Dorota Heck

Człowiek obserwuje i kontempluje rzeczywistość empiryczną i świecką w taki sposób, że jej czysto świecki charakter staje się problematyczny, a naoczne, powierzchowne spostrzeżenia nabierają głębi, tajemniczości, opalizują wieloma znaczeniami. To, co martwe, ożywa. Coś, co żyje, staje się tylko rzeczą.<sup>57</sup>

Przykładem kontemplacji osoby może być opis Uzbeczki *W domu niewoli*.

Mam w oczach jej smukłą, dziecinnie drobną sylwetkę – obciążoną dwoma wiadrami ziemi. Oba chyba ważą więcej od niej samej. Toteż kręgosłup od tego napięcia i ciężaru zdaje się w niej dygotać jak struna. Z oczyma wbitymi z tą samą uwagą, z jaką linoskoczek patrzy w linę – po której idzie – biega zdyszana po bruzdach tam i z powrotem, tam i z powrotem, jak małe, zaczarowane czółenka. Kalosze człapią jej na zziębniętych nogach, wiatr nadyma perkalowe izory i czuje się, że jej po prostu ramiona wylażą ze stawów.<sup>58</sup>

Trzeba jednak pamiętać, że uroda tej postaci wpisuje się w urodę krajobrazu: otwartego nieba i nieograniczonej murami lub drutami przestrzeni. Wydaje się, że narratorka trudniej kontemplować osobę w zamkniętej przestrzeni; człowieka wśród ludzi, w celi, w pociągu, tam gdzie jest ścisk i tłok, gdzie brak przyrody. Tym można tłumaczyć zbyt pochopną, nietrafną i stereotypową opinię wystawioną obywatelom ZSRR.

Wzrok obserwatorki skupia się przede wszystkim na elementach negatywnych, postrzega „różne półdiotki, nieletnie prostytutki i inne pozornie tylko ludzkie stworzenia”; „Cała Rosja chodzi w kaloszach”; „Polek jest w tym transporcie tylko kilkanaście. Reszta – rosyjskie śmiecie [!!!]”.<sup>59</sup> Nie sądzę, aby w tej rzeszy Rosjanek, nie znalazła się jakaś bratnia dusza – dobry choć grzeszny człowiek, osoba z którą miło porozmawiać lub pomilczeć razem. Na marginesie chciałabym zaznaczyć, że Rosja obecna odbiega znacznie od tego obrazu Obertyńskiej, nie ma szarzyzny w wyglądzie ludzi, wszyscy prawie czytają w metrze, a na poczekalni nie dostanie się żaden lump, bo można tam wejść tylko z ważnym biletem. Niebezpieczny element czyha w każdym kraju. Ola Watowa miała inne doświadczenia z podróży i pobytu w ZSRR: To rodacy jej dokuczali, wtedy gdy znalazła się w stepie kazachskim

<sup>55</sup> Ibidem, s. 63.

<sup>56</sup> D. Heck, „*Homo meditans*” w *twórczości Beaty Obertyńskiej*, [w:] *Zakłete przestrzenie. O twórczości Beaty Obertyńskiej*, red: Z. Andres, Z. Ozóg, Toruń 2005, s. 62.

<sup>57</sup> Ibidem, s. 58-59.

<sup>58</sup> B. Obertyńska, *W domu niewoli*, Warszawa 1991, s. 301.

<sup>59</sup> Ibidem, s. 73.

po raz pierwszy w życiu owi domniemani barbarzyńcy ukazali się w pełnym blasku dobroci, współczucia, miłosierdzia w zestawieniu z „Europejczykami”, z którymi [odbywała Ola – I. M.] tę podróż.<sup>60</sup>

W utworze Beaty Obertyńskiej z biegiem mijającego czasu i przeszerzeni w podróży pojawia się inna Rosja, której współczuje narratorka, jest to kraj zniewolony i unieszczęśliwiający swój naród, przypomina on Rosję z *Innego świata*:

Jak Rosja długa i szeroka, nie ma rodziny, w której by ktoś nie siedział. [...] Wprzęgnięci w czarny kierat pracy dla Sojuszu, który przeważnie frazesami płaci za trud i pracę [...], karmieni objętościową paszą mityngów, a faszerowani propagandą w książkach, filmach, teatrach, afiszach, szkołach i gazetach, nie mają wprost przytomności – tchu – czasu na własną myśl [...] Czarnorobocze masy, proletariat, chłopci, całe bezimienne mrowie Rosji męczy się w tej hermetycznie zamkniętej kaźni, jak nie męczyło się chyba nigdy. [...] Biedny car Iwan Groźny. Jakże pobladł, jakże zniawiał jego krwawy cień w historii tego straszego kraju!<sup>61</sup>

Koszmarne świat więzień i wagonów stopniowo zaludniały kojące duszę osoby: pojawiła się Ninoczka z Odessy. Była ona

rzadko w turmie razem z nami sadzonym okazem ich inteligenta. Interesowała się literaturą i sztuką, pytała ostrożnie o stosunki panujące w Polsce, o to, czy lud naprawdę był przez panów celowo nie dopuszczany do szkół, czy to prawda, że był głód, brak wszystkiego.<sup>62</sup>

Spotkania z kobietami *W Domu niewoli* są naznaczone jakimś istotnym brakiem. Pojawiają się one i znikają w życiu bohaterki – narratorki, mówiąc niewiele lub wcale, pozostawiając wrażenia wzrokowe lub słuchowe a także odczucia wewnętrzne. Słowa z rozdziału *Kolchoz pod Bucharą* potwierdzają tę intuicję. Dla pracujących ciężko Uzbeków:

Całym ich sprzeciwem [wobec przymusowej pracy – I. M.] jest milczenie, są te uparcie ku ziemi spuszczone oczy i wyraz twarzy zakrzepły, tragiczny, a zaprzysięgły komuś, co gdyby śmiało być sobą, nazywałoby się chyba: zemsta i nienawiść.<sup>63</sup>

Postacie milczą a i narratorka obserwuje je w ciszy. „Umiejętności retoryczne nieprzeciętnej jednostki i jej monolog górują nad gotowością nawiązywania dialogu z drugim człowiekiem”<sup>64</sup>. Powiedziałyby o tej sytuacji Martin Buber, że

przytrafiaamy się sobie nawzajem, to rachunek się nie bilansuje, zostaje jakaś reszta – gdzieś, gdzie dusze kończą się, a świat się jeszcze nie zaczął – i ta reszta jest tym, co istotne. Ten stan rzeczy można odnaleźć nawet w najdrobniejszych, momentalnych, ledwie uchwytnych dla świadomości zjawiskach.<sup>65</sup>

<sup>60</sup> O. Watowa, *Wszystko co najważniejsze*, Warszawa 1990, s. 42.

<sup>61</sup> B. Obertyńska, op. cit., s. 95, 96, 97.

<sup>62</sup> Ibidem, s. 91.

<sup>63</sup> Ibidem, s. 301.

<sup>64</sup> D. Heck, op. cit., s. 61.

<sup>65</sup> M. Buber, *Problem człowieka*, przekład i wstęp, J. Doktor, Warszawa 1993, s. 92.

Obserwacja Beaty Obertyńskiej jest przede wszystkim obserwacją przyrody a nie kondycji człowieka. To przyroda *W domu niewoli* otwiera podmiot na tajemnicę istnienia. Kontemplując przyrodę, bohaterka odnajduje swoje człowieczeństwo. „Odzyskuje [ona – IM] zdolność otwarcia się na sacrum. Reakcja na piękno świata poszerzona zostaje o sferę doznań mistycznych”.<sup>66</sup> Spotkanie z człowiekiem *W domu niewoli* nie wywołuje takiej reakcji, dlatego uwaga Doroty Heck dotycząca podmiotu Beaty Obertyńskiej, który obserwuje kondycję ludzką, wymaga uzupełnienia.<sup>67</sup> Czy żywy człowiek zamieniający się w rzecz jest medytowany? Medytacja to zamyślenie, i pojawia się ona w opisie Uzbeków, a także przekłętęgo losu rosyjskiego. A jednak zamyślenie to nie prowadzi do doznań mistycznych.

Proza Oli Watowej jest rozmową zarówno z przyrodą jak i z człowiekiem, odkrywa tajemnicę w tych dwu różnych światach. Zachowała w pamięci

urodę wielkich przestrzeni, poszum traw, trzcin, porostów, zapalających się horyzontów o zachodzie słońca i tej nieprawdopodobnie pięknej palety barw, której nie zobaczy się pod Paryżem. [...] Nie mogłam się oprzeć urodzie, która mnie pochłaniała do tego stopnia, że zapomniałam na chwilę o naszych warunkach istnienia. [...] Poczułam, że ta noc w dalekim stepie, że niebo i księżyc, i trawy, i cisza, że to wszystko należy do nich, że to jest ich świat i że nie ja, a one wiedzą, są wtajemniczone, że przynależą do tego świata, że to ich królestwo. A ja tutaj jestem tylko przybłądą, słabszą od najbardziej kruchej trzcinki.<sup>68</sup>

To spotkanie człowieka z naturą także jest problematyczne: narratorka nagle odkrywa bezmiar swojej samotności, przyroda opowiedziała, a może tylko uświadomiła smutną prawdę o Oli i innych mieszkańcach stepu.

Trzy omówione utwory wspomnieniowe – Herminy Naglerowej, Beaty Obertyńskiej, Oli Watowej są pod pewnymi aspektami do siebie podobne. Czy to przypadek? Czy tę zbieżność można przypisać temu, że napisały je kobiety. *W domu niewoli* i *Wszystko co najważniejsze* są napisane w trybie wspomnieniowym, wbrew temu, co napisał Jan Zieliński na okładce książki Oli Watowej, że „nie jest [ona – I. M.] książką wspomnień – jest oryginalnym dziełem pisarki”. Jedno drugiemu nie zaprzecza – wspomnienie może być oryginalnym utworem literackim.

Podobieństwo prozy kobiecej nie tkwi jednak w technice, tylko w charakterze i postrzeganiu rzeczywistości narratorek – bohaterek. Wrażliwość na obce krajobrazy zatrzymuje je w zamyśleniu nad tajemnicą świata. Naglerowa i Obertyńska są przywiązane do pięknych przedmiotów, które pomagają wydostać się wzrokowo przynajmniej z obrzydliwego otoczenia. W opowiadaniu *Oblęd i polityka* Herminii Naglerowej wchodzimy do pokoju zastawionego secesyjnymi meblami, narratorce wszystko w nim

<sup>66</sup> W. Lięża op. cit., s. 165.

<sup>67</sup> D. Heck op. cit., s. 59.

<sup>68</sup> O. Watowa, op. cit., s. 49, 50.

się podobało i cieszyło oko, nawet portrety wodzów, gdyż odczuwała ona „głód przedmiotów”.<sup>69</sup> Uwagę Beaty Obertyńskiej zwracał wszelki piękny szczegół w strojach ludzi, nawet mężczyzn. Spotykamy egzotycznie ubranego Uzbeka: „Nad dostojną twarzą mędrca bąbli mu się turban ogromny, na staroświecką modłę widać namotane, z cudownie rezedowego tyflika”.<sup>70</sup> Na uzbecką osadę narzuciła strój Uzbeka:

wiatr szeroki, rozległy, nakrywający sobą całą oddal, ów uzbecki, szeleszczący, jedwabisty szamol o długim tęsknym podmuchu. Wicher ten ma na pewno ogromny, staroświecki turban, rozdęte poły jedwabnego, pooraną bruzdami twarz starego Uzbeka.<sup>71</sup>

Zdolność do kontemplacji świata natury nie jest wyłączną właściwością kobiet. W prozie Szałamowa i Krakowieckiego zetknijemy się z dziwnym krajobrazem zony, sprawiającym silne wrażenia zmysłowe wywołujące mieszane uczucia zdziwienia raczej niż zachwytu. Cedrowiec kołymski staje się bohaterem literatury w opowiadaniu *Kant* i *Cedrowcu* Szałamowa. Ciężko jednak wyłonić z pamięci takie utwory mężczyzn, które prezentowałyby obrazy z martwą naturą. Herling oprócz żywej natury kontempluje człowieka: jego twarz, gesty, psychikę. We wspomnieniach Obertyńskiej i Naglerowej brakuje tego rodzaju studiów, te autorki skupiają się bardziej na przedmiocie, lub człowieku najczęściej wtopionym w krajobraz, nie ma mowy o psychice postaci, ona prawie nic nie mówi o swoich uczuciach i odczuciach, o tym co jest w środku, pod powłoką ubrań (najczęściej łachmanów) i ciała. Wyjątkowa jest pod tym względem proza Oli Watowej, odnajdziemy w niej bogate portrety ludzi, ujmujące zarówno wygląd jak i psychikę, a także te fragmenty ulotnej rzeczywistości, które powstają w przestrzeni spotkania dwu lub kilku osób.<sup>72</sup>

Kobiety mogą być równie odważne i okrutne jak mężczyźni. Nieugięta była torturowana na śledztwie Henryka z noweli Naglerowej. Okrutne były więźniarki w kazachstańskim więzieniu, które Olę Watową miały biciem zmusić do przyjęcia sowieckiego obywatelstwa, złamały jej żebro, Aleksandrowi Watowi towarzysze z celi dali spokój, choć także mieli zlecone zadanie ze służby więziennej, by nakłonili go do przyjęcia radzieckiego obywatelstwa. Niemniej wydaje mi się, że są cechy charakteru, które występują częściej u kobiet. Przede wszystkim są one bardziej skłonne do przebaczenia i tępienia cudzych występków. Ola Watowa pragnęła „we wszystko uwierzyć, co mogłoby [...] w jakiejś mierze usprawiedliwić”<sup>73</sup> Daszewskiego, który odegrał „sataniczną rolę” w jej życiu i życiu Aleksandra. Sprowadził na nich długoletnie nieszczęście,

<sup>69</sup> H. Naglerowa, *Ludzie sponiewierani*, s. 38.

<sup>70</sup> B. Obertyńska, op. cit., s. 327.

<sup>71</sup> Ibidem.

<sup>72</sup> Zob. O. Watowa, op. cit., s. 90.

<sup>73</sup> Ibidem, s. 38.

które nie skończyło się po powrocie z Kazachstanu, lecz trwało długo w chorobie Wata spowodowanej prawdopodobnie urazami głowy. Na dodatek napisała Ola już po śmierci męża: „Ja nie żałuję swoich doświadczeń wojennych, swoich przeżyć. Odczuwałam te lata męki jako wielkie doświadczenie życiowe”.<sup>74</sup>

Próby odczytań kilku wymienionych utworów literatury łagrowej nie prowadzą do ostatecznych wniosków, pozwalają jednak dojść do wstępnego rozpoznania. Pewne jest to, że zachowanie pisarek wyrażone i utrwalone w literaturze jest inne niż zachowanie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, wybitnie męskie. To, co zostało przekazane o łagrach przez kobiety znacznie różni się do tego, co przekazał mężczyzna Herling. Nie wiem, czy *Inny świat* jest reprezentatywny dla męskiego punktu widzenia, w *Księżce o Kołymie* Anatola Krakowieckiego nie ma wstępu i odrzucenia słabości. Jest reporterski, sprawozdawczy opis. Można się domyślać, że przedwojenny dziennikarz z „IKC” pominął pewne zjawiska, takie jak prostytutka i gwałty. W *Księżce o Kołymie* pojawiają się przedstawiciele świata przestępczego, potraktowani jednak na zasadzie fenomenu, co się pojawia wymachuje nożem i znika. Nie wiadomo jaką rolę dogrywał Wania Czuma w tym obozie, w którym przebywał Krakowiecki. Niemniej książka Krakowieckiego jest cennym świadectwem. „Trudno jest określić, czym jest »męskość« lub »kobiecość« lub cóż to właściwie znaczy posiadać tożsamość płciową”.<sup>75</sup> Kwestia przekazywanego i nieprzekazywanego przez kobiety i mężczyzn stoi otwarta.

<sup>74</sup> Ibidem, s. 178.

<sup>75</sup> *Feminizm jest polityczny. Z Torii Moi rozmawia Małgorzata Walicka-Hueckel*, [w:] *Ciało i tekst. Feminizm w literaturoznawstwie – antologia szkiców*, red: A. Nasilowska, Biblioteka „Tekstów drugich” red: R. Nycz, Warszawa 2001, t. 2, s. 153.



**ZOFIA LECH**

**IGNACY CEYZIK –  
DOSKONAŁY FAŁSZERZ I RZEŹBIARZ**

Ignacy Ceyzik, Polak żyjący w XIX w., zasłynął, jako najlepszy fałszerz pieniędzy i przeróżnych papierów wartościowych, oraz jako wyjątkowo uzdolniony artysta rzeźbiarz. Nie dysponujemy jego pełnym biogramem, fragmenty jego burzliwego życia zachowały się w doniesieniach prasowych, protokółach sądowych i w legendzie. Był znany w Różanie, Wilnie, Słucku, Wiedniu, Bobrujsku, Tobolsku, Nerczyńsku, Wierchnieudińsku, Irkucku. Wszędzie, gdzie tylko się pojawiał, zwielokrotniał na rynku, ilość pieniędzy papierowych i papierów wartościowych. Ceyzik pracował z bratem Feliksem i szwagrem Tirkkiem. Wszyscy trzej Polacy hołdowali zasadzie, że w okresie niebytu państwa polskiego, należy szkodzić zaborcom na różne sposoby, czyli fałszerstwa traktowali jako formę walki o prawa narodu.

Prawdopodobnie urodził się w 1778 r. na ziemi litewskiej, w rodzinie szlacheckiej, ceniącej wykształcenie. Był człowiekiem zdolnym, inteligentnym i wszechstronnie uzdolnionym. Studia filozoficzne ukończył na Uniwersytecie Wileńskim. W okresie studiów dorabiał sobie jako kaligraf w kancelarii uniwersyteckiej, jego kaligrafia zachwycała studentów i profesorów. Niemal każdy absolwent marzył o dyplomie wykaligrafowanym przez Ceyzika. Po ukończeniu studiów miał się różnej pracy, najchętniej brał w dzierżawę małe folwarki, pracował w nich wraz z bratem Feliksem i szwagrem Tirkkiem. Przez pewien czas dzierżawił skromną posiadłość w dobrach hrabiów Sapiehów w Różanie, pozostając w doskonałych stosunkach z P. Przeclawskim, pełnomocnikiem Sapiehów. Obaj mężczyźni lubili swoje towarzystwo i wzajemnie świadczyli sobie różne usługi. Ceyzik obdarowywał dzieci Przeclawskich własnoręcznie wykonanymi zabawkami z gliny, drewna, bursztynu a nawet z kości słoniowej. Pani Przeclawska chwaliła się sąsiadkom cezyzikowymi wazami, tacami, wazonami, tańczącymi baletnicami, aniołkami, zwierzątkami itp. Wszystkie te wyroby posiadały finezyjne kształty, niepowtarzalne dekoracje, podobno pachniały kwiatami i czarowały ptasim śpiewem. Ceyzik cieszył się opinią człowieka z manierami, ubierał się „z pańska”. Był muzyczny, chętnie grał na różnych instrumentach, dobrze śpiewał, inicjował ciekawe dyskusje, miał duże poczucie humoru. Nic też dziwnego, że jako kawaler o takich walorach, stanowił pożądaną partię w oczach różańskich matron. Małe folwarki, leżące na uboczu, wśród ogrodów, sprzyjały realizacji rzeczywistych zainteresowań tajemniczej trójki trzech mężczyzn. Już w czasach różańskich produkowali oni lewe asygnaty,

które na rynek rosyjski wypuszczał (szwagier) Tirk, człowiek z ogromną fantazją, odważny i dowcipny. Przemierzał setki kilometrów, poszukiwał obszarów zamieszkałych przez ludzi, którzy mieli kłopoty z odróżnianiem pieniędzy od „kolorowych obrazków reklamowych” i ich w pierwszej kolejności uszczęśliwiał papierowymi „pieniędzmi”. Za fałszywe pieniądze kupował potrzebne materiały, niezbędne do produkcji „tajemnych wyrobów” i zaopatrywał „rodzinę” we wszelkie artykuły spożywcze.

Rosyjskie Ministerstwo Finansów, zaniepokojone ilościowym wzrostem papierów wartościowych na rynku, w latach 1817-1820 rozpoczęło poszukiwania sprawcy tego cudu gospodarczego. Skromny tryb życia Ceyzika oddalał od niego podejrzenia, ale do czasu... Stosunkowo szybko opanował sztukę ulatniania się z miejsc zagrożenia. Posiadłości różańskie opuścił bezszelestnie, nawet nie pożegnał przyjaciół. Dwaj fałszerze znaleźli się w nowym otoczeniu, w okolicach Słucka, i tam robili swoje, zwiększając wydajność produkcyjną! Podrabiane asygnaty i papierowe pieniądze były wykonane doskonale, od urzędowych odróżniały się wysoką jakością materiału oraz rysunku. W Słucku nie sprzyjało im szczęście. Policja nakryła producentów w trakcie pracy, nie było czasu na ucieczkę. Ceyzik i Tirk dostali się do więzienia w Mińsku Litewskim. Ceyzik, jak zwykle miły, taktowny, dowcipny szybko utorował sobie drogę do serc służby więziennej, która wyraźnie interesowała się sztuką fałszowania pieniędzy i chętnie poznałaby tajniki produkcji. Podobno Ceyzik był otoczony swoistym szacunkiem i korzystał z przywilejów innym więźniom niedostępnych i tak Ceyzik ze szwagrem, za pozwoleniem służby więziennej, wychodzili po zakupy do miasta. W więzieniu produkowali różne cudeńka, którymi obdarowywali służbę więzienną.

Po pewnym czasie z więzienia uciekli i dotarli do Wiednia, gdzie niemal natychmiast przystąpili do pracy. Wybuchła afera, policja wpadła na trop, fałszerze pospiesznie opuścili Wiedeń i znaleźli się na Podolu. Wydzierżawili jeden z hutorów, leżących w dobrach księcia Czartoryskiego, i zaszyli się pod Międzyborzem. Ceyzik nie wychylał nosa z siedliska ukrytego w zaniedbanym ogrodzie. Interesy na małą skalę prowadził szwagier – Tirk. Ceyzik nie potrafił próżnować, wkrótce zaniedbany ogród przeistoczył w czarodziejski ogród., znany na Podolu min. z uprawy gruszek sapieżanek. Po zadomowieniu się Ceyzik powrócił do procedury fałszerza. Pieniądze płynęły obfitym strumieniem. Do Ceyzika i Tirka dołączył brat Feliks.

Podobno wszyscy trzej fałszerze byli wyczuleni na biednych, chorych, opuszczonych ludzi, nieśli im bezimienną pomoc materialną. Szczególnie byli uwrażliwieni na polskie sieroty, których nigdzie nie brakowało. Zapewniali im „domy rodzinne,” przy szlachetnych rodzinach, klasztorach i kościołach. Ośrodki te wspomagali materialnie. Finansowo wspierali budowę dróg, mostów. Tirk(szwagier), rozwinął handel końmi, wołami, dywanami, jedwabiami i wszelkimi wonnościami. Był to doskonały kamuflaż dla rzeczywistej pracy fałszerzy. I znów zostali wykryci,

tym razem do więzienia trafili bracia Ceyzikowie. W więzieniu, jeszcze przed rozprawą sądową Ignacy Ceyzik wyrabiał artystyczne przedmioty, które natychmiast znajdowały nabywców. W tym więzieniu (na Podolu) powstało arcydzieło Ceyzika, była to pewnego rodzaju rzeźba, przedstawiająca grupę ludzi w ruchu, wykonana z kawałka szkła, fajansu, pręcików z miotły. Artysta wyczarował całą rzeźbę z pomocą igły i zaostrego gwoźdźca.

Tym razem miał pewność, że ich Sybir nie ominie. W czasie rozprawy sądowej, Ceyzik dowodził, że to system carski, zwalczający Polaków, jest odpowiedzialny za to, że on człowiek artystycznie uzdolniony, nie może zostać dyrektorem rosyjskiej mennicy, ani carskim medalierem, co dzieje się z krzywdą dla narodu rosyjskiego. Z ogromnym przekonaniem dowodził sądowi, że tylko on byłby w stanie rozprawić się z tandetą i wszelkimi podróbkami, wykonanymi z byle czego i byle jak, bezkarnie zaśmiecającymi Imperium Rosyjskie. Miał również powiedzieć, że jest dumny ze swego fałszowania, bo udało mu się podkopać zaufanie społeczne do państwowej produkcji pieniędzy i papierów wartościowych. Nie omieszkał na zakończenie podkreślić, że udoskonalił welin, niezawodny materiał do wyrabiania asygnat. Rzeczywiście, tym razem Ceyzikowie – Ignacy i Feliks, wyrokiem sądu, zostali zesłani na Syberię. Obaj trafili do Tobolska. Ewa Felińska we *Wspomnieniach* napisała:

W Tobolska w małym miasteczku, mieszka Ignacy Ceyzik zesłaniec, podobno najzdolniejszy artysta Syberii i najlepszy fałszerz pieniędzy. Wyroby Ceyzika mają wielką wziętość u Sybiraków. Podczas zwiedzania tej prowincji przez następcę tronu, carewicza Aleksandra, tameczni mieszkańcy zamówili u artysty glinianą tacę, którą złożyli w ofierze Dostojnemu Podróżnemu, jako owoc syberyjskich wyrobów.

Na wygnaniu, w Tobolsku i innych miejscach zesłania we Wschodniej Syberii, wyrabiał urny, fajki, naczynia, postumenty, popiersia; projektował ozdoby cmentarne i wiele innych przedmiotów. Jego wyroby miały piękny rysunek i niespotykaną delikatność. Artystą zachwycił się bogaty Piotr Moszyński i ufundował nawet dla niego stypendium zachęcając do podjęcia studiów artystycznych, artysta jednak nie miał zamiaru zrezygnować ze swego dotychczasowego sposobu życia. Nadal wyżywał się w fałszerstwach.

Jako niepoprawny przestępca wraz z bratem, w kajdanach, powędrował na katorgę nerczyńską. Katorga rozciągała się na obszarze kilkuset mil kwadratowych, w pobliżu granicy z Mongolią. Zesłańcy w straszliwych warunkach pracowali w Karze, Zerentuju Dolnym i Zerentuju Górnym, w Akatuju, w Ałgacze. Feliks, brat Ignacego, zmarł w drodze. Ignacy Ceyzik w zakuciu pracował w kopalni Akatuju. W glinie utrwalił fragment tej kopalni – Akatuj. Korespondent „Kraju”, pisma wydawanego w Petersburgu, tak opisał dzieło Ceyzika wykonane w tej kopalni:

Rozdół słynnego więzienia. W dali widać gęsto zaludnioną wioskę. Kilka chmurek. Sztolnia, obok niej zesłańcy wiozący srebrną rudę, obok Ceyzik przy-

---

kuty do taczki, wypełnionej kruszywem. Odzież na nich szara, poszarpana, upstrzona łatami. Wyraźne powrozy pętające ludzi.

Z okresu akatujskiego pochodziły dzieła świadczące o zbliżeniu Ceyzika do Boga. Zesłańcy nosili ceyzikowie krzyże, medaliki, medaliony, Modlili się do „Wizerunku św. Barbary”, „Chrystusa Błogosławiącego dzieci.” Buriaci kupowali u Ceyzika posążki Buddy, niezbędne do domowych ołtarzyków.

Wspaniały polski artysta został wreszcie uwolniony, ale bez prawa powrotu do Kraju, został skierowany do Wierchnieudyńska, gdzie ludzie tracili zmysły, popełniali samobójstwa. Sztuka pozwoliła mu przeżyć to piekło. W 1857 r. został przeniesiony, w drodze łaski, do Irkucka, gdzie dokonał żywota. Do końca życia był artystą i fałszerzem.

W 1884 r. gazeta polska „Kraj” wezwała Polaków do zebrania do robku artystycznego Ignacego Ceyzika, jako majątku narodowego – polskiego. Jego dzieła znajdują się w muzeach rosyjskich. Ceyzik został uznany za najwybitniejszego syberyjskiego artystę rzeźbiarza.

**OLEG N. SZULBAJEW**

## **ZESŁAŃCY POLITYCZNI W OKRĘGU MINUSIŃSKIM – UCZESTNICY POWSTANIA 1863 ROKU W POLSCE**

Jednym z mało zbadanych problemów społeczno-politycznych w okręgu minusińskim w XIX wieku jest zagadnienie polskich zesłańców politycznych od drugiej połowy lat 60. do połowy lat 70. XIX wieku. W pracach historyków i krajoznawców, takich jak N.P. Mitina, A. Godlewski, T.M. Kikiłowa, S. Leończyk, B.S. Szostakowicz oraz O.N. Szulbajew poruszano tylko niektóre problemy dotyczące zesłań Polaków do tego okręgu. W związku z tym ważne wydaje się przedstawienie różnych aspektów dotyczących pobytu w okręgu minusińskim uczestników powstania styczniowego, ponieważ byli oni najliczniejszą grupą zesłańców i przyczynili się do ukształtowania polskiej diaspory na terytorium Chakasji. Celem tego artykułu jest więc przeanalizowanie – na podstawie materiałów z Archiwum Państwowego Obwodu Irkuckiego (GAIO), Archiwum Państwowego Kraju Krasnojarskiego (GAKK) i Minusińskiego Miejskiego Archiwum Państwowego – składu społecznego, działalności gospodarczej i aktywności politycznej polskich zesłańców politycznych i stosunku władz gubernialnych do nich.

Najliczniejszą grupą zesłańców na Syberii w drugiej połowie XIX stulecia byli uczestnicy powstania styczniowego. Tylko na Wschodnią Syberię zesłano wówczas na katorgę i osiedlenie 8199 osób, między innymi do guberni jeniisejskiej – do Aczyńska, Kańska, Minusińska, Jenisejska, Turuchańska. W okręgach tych przebywało 3719 polskich zesłańców, z czego w okręgach kańskim i minusińskim odpowiednio 1457 i 1026 osób.<sup>1</sup> Do okręgu minusińskiego polscy zesłańcy polityczni przybywali od 1864 roku, ale najintensywniej proces ten przebiegał w latach 1866-1871. Zostali oni rozmieszczeni głównie w gminie tiesińskiej i szuszeńskiej. Niewielka część została odesłana do gminy abakańskiej i do miasta Minusińsk. Jeśli chodzi o skład społeczny tej grupy w drugiej połowie XIX wieku, to z ogólnej liczby zesłańców 36 proc. stanowiła szlachta, chłopci – 12 proc., mieszczenie – 10 proc., wojskowi (oficerowie i żołnierze) – 5 proc. Pozostali zesłańcy pochodzili z różnych środowisk społecznych, wykonywali różne zawody, byli różnych narodowości i byli obywatelami różnych krajów. Byli to między innymi dawniejsi właściciele ziemscy, osoby stanu duchownego, szlachta zagrodowa, aptekarze, felczerzy, rymparze, studenci pochodzący z ziem polskich zawładniętych po rozbiorach przez Austrię i Prusy.

<sup>1</sup> N.P. Mitina, *Wo głubinie sibirskich rud*, Moskwa 1966, s. 14.

Warto zauważyć, że w okręgu minusińskim przebywały na zesłaniu osoby, które wzięły aktywny udział w powstaniu 1863 roku. Na przykład odbywał tu karę L. Frirard – pracownik kancelarii Sądu Warszawskiego, skazany za przynależność do warszawskiej nieprawomyślnej organizacji „Złość ludowa”. W akcie oskarżenia został nazwany głównym autorem „podburzających utworów”, dzięki któremu do organizacji przystępowali nowi członkowie. Kolejny z nich był Olgierd Napierkowski oskarżony o:

czynne pomaganie przestępcom w rozpowszechnianiu podburzających utworów, za udostępnianie swoich mieszkań w celu produkowania podburzających litografii i roznoszenie wydrukowanych utworów.

Natomiast J. Wróblewski, zgodnie z aktem oskarżenia został zesłany za:

wydrukowanie bez zezwolenia cenzury 2 tysięcy egzemplarzy broszury z apelem zawierającym wezwanie do powstania, oraz za to, że wydał osobie zamawiającej tę pracę 1200 egzemplarzy broszury i że upórzywie ukrywał osobę, która tę broszurę zamówiła.<sup>2</sup>

Do kolporterów patriotycznej, a więc zakazanej literatury należy zaliczyć również M. Gadzińskiego, zesłanego na Syberię za to, że:

wiedział o istnieniu w Warszawie tajnego rewolucyjnego stowarzyszenia dążącego do wywołania powstania narodowego, utrzymywał bezpośrednie kontakty z jednym z członków tego stowarzyszenia i podjął się udzielenia pomocy w rozpowszechnianiu rewolucyjnych utworów.<sup>3</sup>

Ta część zesłańców była więc oskarżana o ukrywanie informacji o istnieniu nieprawomyślnych stowarzyszeń, o współpracę z nimi i rozpowszechnianie wśród ludności ich idei. Inni zesłańcy byli bezpośrednimi uczestnikami powstania styczniowego. W okręgu minusińskim byli wśród nich szlachcic K. Kozicki, skazany za „pełnienie funkcji organizatora szajki i zawłaszczenie kasy miejskiej”,<sup>4</sup> A. Walewski i S. Honoratowicz-Milewski, skazani za „utworzenie buntowniczej organizacji w powiecie dubieńskim i sprzyjanie zbrojnemu powstaniu Polaków w celu obalenia legalnego rządu oraz objęcie funkcji cywilnego naczelnika”; A. Ruszkowski skazany za „udział w buncie i przewodzenie szajce, którą dowodził Drownowski”.<sup>5</sup>

Z archiwalnych zapisów wiadomo, że I. Frankowski skazany został za „udział w werbowaniu powstańców i za utworzenie buntowniczej organizacji w powiecie dubieńskim” a bliżej nieznany M. Jankowski „był jednym przywódców buntowniczych band”,<sup>6</sup> jak określano oddziały powstańcze. Wielu z tych zesłańców w okresie powstania było dowódcami pododdziałów zbuntowanych wojsk. Na przykład B. Iwanow-Narodzki w

<sup>2</sup> GAKK, f. 595, op. 63, d. 23, l. 22v-23v.

<sup>3</sup> Ibidem, l. 50.

<sup>4</sup> Ibidem, l. 91.

<sup>5</sup> Ibidem, d. 13, l. 18v, 21.

<sup>6</sup> Ibidem, d. 23, l. 199v, 227.

spisie postawionych mu zarzutów został nazwany „rewolucyjnym naczelnikiem”,<sup>7</sup> W Ławecki był oskarżony o to, że „przyjął funkcję podsóltysa i pełnił jego obowiązki w buntowniczej organizacji”,<sup>8</sup> O. Kazerski natomiast został skazany za „członkostwo w tajnym stowarzyszeniu i pełnienie funkcji setnika w kształtującym się rewolucyjnym wojsku”.<sup>9</sup> Większość zesłańców była jednak członkami różnych tajnych towarzystw i organizacji na terenie Królestwa Polskiego i w zachodnich guberniach Rosji, uczestnikami działań wojennych przeciwko rosyjskim wojskom lub sympatyzowała z powstańcami i udzielała im pomocy. Wśród nich można wymienić L. Krajewskiego, M. Żebrowską, Z. Lipnickiego, S. Krężenińskiego i K. Stanowskiego. Zarzut postawiony tej grupie zesłańców brzmiał: „za osobisty udział w buntowniczej szajce, w której byli uczestnikami powstania [...], długotrwałe ukrywanie się po opuszczeniu szajki”<sup>10</sup> lub za „kontakty z buntownikami, dostarczanie im żywności”,<sup>11</sup> lub też „za zmuszanie różnymi groźbami cywilnych obywateli do udzielania im schronienia i dawania żywności”.<sup>12</sup>

Inni polscy zesłańcy byli karani za udział w konkretnych wydarzeniach i akcjach powstańczych. Archiwalne zapisy informują np., że I. Paszkowski został zesłany na podstawie oskarżenia o „powieszenie burmistrza powiatu łukomskiego Franciszka Dąbińskiego”, a W. Ławcewicz „za udział [...] w buntowniczym oddziale, za dopuszczanie się gwałtów i znęcanie się nad mieszkańcami i za powieszenie żołnierza Gieda i Żyda Politektowskiego”.<sup>13</sup> Tak więc skład polskich zesłańców politycznych w okręgu minusińskim wskazuje na to, że przebywali tutaj aktywni uczestnicy powstania styczniowego.

W celu zapewnienia bytu materialnego polskich zesłańców rząd carski udzielał im pomocy w postaci zasiłków i pieniędzy wypłacanych na utrzymanie. Środki te nie były jednak wystarczające do zapewnienia godnego życia zesłańcom. Z korespondencji minusińskiego okręgowego naczelnika policji z Irkucką Izbą Kontroli z 1866 roku wynika, że w ciągu maja i czerwca 1866 roku wydano 334 ruble na zasiłki na utrzymanie, a we wrześniu 83 ruble.<sup>14</sup> Jak widać kwota zasiłków otrzymywanych co miesiąc przez polskich zesłańców nie była stała. Na przykład w rejestrach wypłaconych zasiłków dla zesłańców politycznych w gminie tiesińskiej od 27 września 1866 roku podana jest kwota 3 ruble, a w raporcie z października 1866 roku z Minusińska – 1,5 rubla.<sup>15</sup> Była to stosun-

<sup>7</sup> Ibidem, d. 13, l. 24.

<sup>8</sup> Ibidem, d. 23, l. 108v.

<sup>9</sup> Ibidem, d. 13, l. 24v.

<sup>10</sup> Ibidem, d. 23, l. 13v, 23–24, l. 26.

<sup>11</sup> Ibidem, d. 13, l. 26.

<sup>12</sup> Ibidem, d. 23, l. 152v.

<sup>13</sup> Ibidem, l. 26v, 112v.

<sup>14</sup> Ibidem, d. 77, l. 53v, 58v.

<sup>15</sup> MGAA, f. 36, op. 1, d. 2, l. 11.

kowo niewielka suma, która nie wystarczała na najpotrzebniejsze rzeczy. Jedną z form pomocy dla zesłańców było wypłacanie zasiłków i pożyczek na wyposażenie domu i rozwój rolnictwa. W doniesieniu minusińskiego okręgowego naczelnika policji z 20 września 1881 roku przedstawiona jest lista osób, znajdujących się pod nadzorem policji w okręgu minusińskim na podstawie oskarżenia o udział w ostatnim polskim bun- cie (powstaniu 1863 roku – przyp. autora). Figuruje na niej 86 osób, które otrzymały zasiłki w kwocie 55 rubli na urządzenie domów w okresie od 1866 do 1873 roku, a także wymienieni są zesłani Polacy, którzy otrzymywali renty w wysokości 24 rubli z tytułu kalectwa, choroby lub starości.<sup>16</sup> Z powodu niezadowalających warunków i trudnej adaptacji do miejscowego klimatu wśród Polaków panowała duża śmiertelność. Cho- cież władze gubernialne przeznaczały środki na utrzymanie i leczenie chorych, na zasiłki pogrzebowe dla zesłańców, to jednak często były one niewystarczające. Wskutek tego biuro minusińskiego szpitala miejskiego było zmuszone wysyłać zapytania do urzędów miejscowych gmin w sprawie stanu majątkowego chorych oraz zmarłych zesłańców, aby w ja- kiś sposób zrekompensować wydatki szpitala poniesione na utrzymanie, leczenie czy pogrzeby. W większości przypadków otrzymywano odpow- iedź, że w miejscu pobytu zesłańca nie stwierdzono faktu posiadania środków na utrzymanie, jak również nie stwierdzono posiadania majątku umożliwiającego ściągnięcie pieniędzy od danej osoby. Z raportów szpi- tala wynika, że wyzdrowieć udawało się tylko jednej trzeciej chorych, pozostali umierali.<sup>17</sup>

Głównymi dziedzinami działalności zesłanych Polaków były usłu- gi, rolnictwo, praca zarobkowa. Byli wśród nich również kowale, cieśle, masarze, krawcy, ślusarze, cyrulicy itp. Szczególnie ciekawe jest pozna- nie faktów dotyczących wykorzystania ich jako siły roboczej przy różne- go rodzaju inwestycjach. Wiadomo, że w roku 1865 przy budowie huty żelaza i odlewni żeliwa w Abakanie pracowali polscy zesłańcy politycz- ni. Kiedy jednak 10 grudnia 1867 roku obiekt ten został oddany do eks- ploatacji kierujący nim kupiec A. Szyriajew wyraził zamiar zwolnienia pracujących tam Polaków. W związku z tym okręgowy naczelnik policji, rotmistrz K. Szelasznikow w raporcie do generał-gubernatora Wschod- niej Syberii pisał, że:

spowodowałyoby to bardzo trudną sytuację Polaków i lokalnych władz, ponieważ 90 osób pozostałoby bez pracy i bez środków na utrzymanie, a ta okoliczność mogłaby doprowadzić do niezadowolenia w ich środowisku. Jednak w czasie spotkania z A.M. Szyriajewem władze okręgowe przekonały go, że w fabryce trzeba zostawić co najmniej 60 osób i Szyriajew się na to zgodził.<sup>18</sup>

<sup>16</sup> GAKK, f. 595, op. 63, d. 1431, l. 42-103.

<sup>17</sup> Ibidem, d. 799, l. 46, 48, 50, 89, 98, 114.

<sup>18</sup> GAIO, f. 24, op. 3, jed. 70, k. 1766, l. 86v-87.



Działalność okręgowego naczelnika policji rotmistrza K. N. Szełasznikowa w okręgu minusińskim pozwala wyciągnąć wniosek, że władze Wschodniej Syberii stosowały różne środki o charakterze administracyjnym w celu utrzymania porządku wśród zesłanych Polaków. Znalazło to odbicie w trakcie pertraktacji tego naczelnika policji z kupcem A. Szyriajewem w sprawie pozostawienia w pracy polskich zesłańców, gdyż ich zwolnienie mogłoby doprowadzić do zamieszek. Omówiono również warunki wzmocnienia ochrony fabryki. Postanowiono, że w razie konieczności jako siła zbrojna zostaną wykorzystani kozacy ze stancyi tasztypskiej i forpoczty arbackiej.<sup>19</sup>

Wielu zesłanych Polaków pracowało w Aleksandrowskiej Fabryce Win kupca A. Daniłowa, w fabryce M. Gusiewej (była to prawdopodobnie wytwórnia kasz lub huta szkła nad rzeką Ługawką, zbudowana w 1869 roku przez właściciela kopalni złota W. Gusiewa). Kierownikiem tego zakładu był między innymi Narcyz Wojciechowski.<sup>20</sup> Ponadto polscy zesłańcy pracowali w fabrykach Okułowa, Siemionowej, Frankowskiego, Chomutnikowa, w zakładach Riepiłowych i wielu innych. Zesłańcy byli również najmowani jako robotnicy przez wielkich chakaskich hodowców bydła.

Niektórzy zesłańcy zakładali różne punkty usługowe. Na przykład handlem we wsi Karatuzskoje zajmowali się: W. Mańkowski, J. Łysiak i J. Chłopik, a we wsiach Wostocznoje i Tigrickoje – A. Gorun i T. Chmielewski. W Minusińsku produkcją kiełbas zajmowało się czterech polskich zesłańców: P. Białobrzyński, A. Bandurow, J. Drewnik i A. Rajcakiewicz.<sup>21</sup> Trzeba podkreślić, że najwięcej rzemieślników spośród polskich zesłańców przebywało w Minusińsku, we wsiach Ługawskoja, Karatuzskoje, Szuszenskoje i Tiesinskoje.

Ogólnie rzecz biorąc jak wynika z raportów urzędów gminnych zachowanie polskich zesłańców było oceniane pozytywnie. Na przykład z informacji naczelnika tiesińskiego urzędu gminy „o zachowaniu i sposobie życia przestępców politycznych” wynika, że

F. Zajkowski zajmował się malarstwem, K. Romanowski przepisywaniem pism u wiejskiego starosty, S. Cyński kamieniarsstwem i budowaniem pieców [...], pozostali [...] przestępcy polityczni nie zajmowali się prawie niczym, pomijając uprawianie niewielkich ilości tabaki.<sup>22</sup>

Widać z tego, że zesłani Polacy często nie mogli wykorzystywać swojej wiedzy, doświadczenia i umiejętności w warunkach zesłania, ponieważ było to ograniczone przez istniejące prawa i przepisy. Naszym zdaniem takim zesłańcom jak W. Dunin-Borkowski, który znał język rosyjski, polski, francuski i niemiecki, uczył się w Warszawie, Zurychu i we Francji, czy też jak F. Kazimirow, doktor matematyki i fizyki Uni-

<sup>19</sup> Ibidem, l. 86v-87.

<sup>20</sup> GAKK, f. 595, op. 63, d. 1432, l. 5.

<sup>21</sup> Ibidem, l. 1-234.

<sup>22</sup> Ibidem, d. 19, l. 5v.

wersytetu Moskiewskiego, było trudno realizować swoje możliwości w czasie pobytu w okręgu minusińskim. Dlatego też wielu z nich próbowało przenieść się do stolicy guberni, podając przy tym różne przyczyny. Na przykład W. Leszczyński w swojej prośbie pisał, że on jako architekt chciałby zajmować się architekturą w Krasnojarsku; I. Milewski również podkreślał, że „zna się na felczerce i chciałby się nią zajmować w Krasnojarsku”. Wielu zesłańców po prostu oświadczało, że „nie mogą zajmować się rolnictwem z braku sił fizycznych, lecz chcą pracować w swoim zawodzie”,<sup>23</sup> to znaczy zgodnie ze swoją specjalnością. Zdarzały się przypadki, że władze gubernialne wyrażały zgodę na to, by zesłańcy polityczni wykonywali zawód, który chcieli wykonywać. Świadczy o tym prośba B. Gorczyńskiego o wyrażenie zgody na zajęcie się poszukiwaniami złota we Wschodniej Syberii. Zdarzenie to miało jednak miejsce w 1875 roku, kiedy polskich zesłańców politycznych zaczęto traktować znacznie pobłażliwiej i zniesiono niektóre ograniczenia, podczas gdy w drugiej połowie lat 60. XIX wieku ich sytuacja była jeszcze dość ciężka.

Duży wpływ na zesłańców we Wschodniej Syberii miało powstanie, które wywołali polscy zesłańcy w nocy z 24 na 25 czerwca 1866 roku na budowie drogi wokół jeziora Bajkał. Pogłoski o zamieszkach spowodowały ożywienie wśród polskich zesłańców, między innymi w takich miastach jak Usolje, Kańsk i Bałagańsk. Władze zaczęły zwracać szczególną uwagę na takie miejsca osiedlenia zesłańców jak okręgi kański i minusiński. Dlatego w piśmie z 14 grudnia 1866 roku polecono rewizorowi osiedli radcy kolegialnemu Kuźmińskiemu, by „udał się na teren okręgu kańskiego i minusińskiego i po zebraniu potrzebnych informacji powrócił do Irkucka”<sup>24</sup>. Celem tego wyjazdu było sprawdzenie, na ile możliwy jest wybuch zamieszek w tych okręgach. Powodem stało się doniesienie dowódcy szóstej sotni Pułku Jenisejskiego do dowódcy Jenisejskiego Kozackiego Pułku Konnego z 26 listopada 1866 roku, w którym stwierdzano, że „przestępcy polityczni z Królestwa Polskiego, osiedleni w okręgu minusińskim w gminie tiesińskiej, w okolicach stancyi Karatuzskiej planują na lato następnego roku utworzenie legionu zbuntowanej szajki, tak jak stało się to w okolicach drogi wokół Bajkału”. W doniesieniu podkreślano również, że „Polacy w ogóle pozwalają sobie czasami na wyrażanie ryzykownych myśli”<sup>25</sup>.

Jednymi z głównych organizatorów nielojalnych polskich zesłańców byli – zdaniem władz – W. Skorociński, B. Paprocki, F. Radzicki, jego matka A. Radzicka, W. Sarnecki, A. Szczawiński. L. Krajewski, K. Izbicki. Postawiono im następujące zarzuty: W. Skorociński, przebywający w gminie tiesińskiej razem z zesłańcem politycznym Izbickim, spędzał czas na pijaństwie, narobił sobie długów i dał się poznać „jako człowiek o gwałtownym i grubiańskim charakterze”. B. Paprocki, który był

<sup>23</sup> Ibidem, l. 3, 11, 53, 79.

<sup>24</sup> GAIO, f. 24, op. 3, d. 70, k. 1776, l. 7.

<sup>25</sup> Ibidem, l. 12-12v.

guwernerem, mieszkał w domu właściciela kopalni złota Podsosowa, potępiał administrację i wyrażał „jawną wrogość wobec rządu [...], poza tym [...] swobodnie odwiedzał szlacheckie towarzystwo w Minusińsku i odgrywał w tamtejszym środowisku widoczną i wpływową rolę”. F. Radzicki „bywał razem z Paprockim w szlacheckim towarzystwie i razem z nim odgrywał w nim ważną rolę”. A. Radzicka mimo zakazu władz gubernialnych zajmowała się udzielaniem lekcji muzyki. W. Sarnecki, zdaniem aserora kolegiального Kuźmińskiego:

zdołał sobie zaufanie tamtejszego naczelnika policji Wachruszewa, został wybrany na starostę, pod pretekstem urządzania domu pożyczył 80 rubli, ale [...] okazał się człowiekiem chytrym, wrogim i niepewnym.

O dwóch innych Polakach, I. Podgórskim i F. Woszczuchowskim, pisano tak: „obaj nieprzyzwoicie się zachowują, popadają w pijaństwo, mają grubiańskie i gwałtowne charaktery”. Takie same informacje były również o A. Szczawińskim, który „został przyłapany na ostrych wypowiedziach przeciwko rządowi, awanturował się i stawiał opór miejscowemu urzędowi gminnemu”. Władze zauważały przy tym, że rozpowszechnianie różnych pogłosek, nowinek itp. w okręgu minusińskim jest dziełem samych polskich zesłańców, między innymi wymieniano nazwisko „przestępcy politycznego” L. Krajewskiego.<sup>26</sup> Naszym zdaniem chodzi tu o Ludwika Krajewskiego, członka jednego z tajnych stowarzyszeń w guberni lubelskiej od 1862 roku, skierowanego na osiedlenie do gminy szuszeńskiej 16 kwietnia 1866 roku i przebywającego tu do 1871 roku. Trzeba zauważyć, że wspomniani wyżej polscy zesłańcy polityczni pochodzili ze szlachty, brali aktywny udział w powstaniu 1863 roku i w bezpośrednich działaniach wojennych przeciwko wojskom rosyjskim. W czasie pobytu na Syberii nadal występowali przeciwko carskiemu rządowi i jedną z form oporu były przygotowania do zorganizowania powstania zbrojnego i rozpowszechnianie wśród ludności i zesłańców podburzających pogłosek.

W związku z tym generał-gubernator Wschodniej Syberii podjął szereg środków zmierzających do zapobieżenia zamieszkom, do których mogło dojść w okręgu kańskim i minusińskim. Po pierwsze na jego polecenie sformowano z regularnego wojska lokalną minusińską jednostkę, a oddział kozacki znajdujący się w Minusińsku podporządkowano naczelnikowi owej lokalnej jednostki. Po drugie polecono jenijskiemu gubernialnemu dowódcy wojskowemu oraz dowódcy Jenisejskiego Kozackiego Pułku Konnego, aby wszyscy niżsi rangą żołnierze regularnego wojska i kozacy byli dobrze uzbrojeni i wyposażeni w odpowiednią ilość amunicji. Po trzecie niezwłocznie wysłano do Minusińska transport broni wyekspediowany z Irkucka do Krasnojarska. Po czwarte zwrócono szczególną uwagę na ochronę rezerw broni i amunicji. Ponadto w grudniu 1866 roku wydano dyspozycję w sprawie zwiększenia o 20 osób od-

<sup>26</sup> Ibidem, l. 20v-22.

działu kozackiego w Minusińsku i wymianę niepewnych kozaków.<sup>27</sup> W ten sposób generał-gubernator znacznie zwiększył obecność wojskową kozaków w okręgu minusińskim i umocnił minusińską jednostkę dostawami prowiantu i broni. Jednocześnie Urząd Nadzoru nad Zesłańcami Politycznymi Wschodniej Syberii w lutym 1867 roku przeprowadził analizę sytuacji gospodarczej i bytowej zesłańców i doszedł do wniosku, że: „jedną z przyczyn niezadowolającej adaptacji w miejscach osiedlenia zesłańców politycznych, chcących zająć się rolnictwem, było [...] nieterminowe wypłacanie im zasiłków i pożyczek, określonych w paragrafach 14-19 ustaw z 8 stycznia 1866 roku w sprawie organizacji warunków życia zesłańców politycznych.”

Wychodząc z tego założenia zalecano miejscowym władzom zawczasu i bez przeszkód wypłacać zasiłki i pożyczki wszystkim potrzebującym ich zesłańcom politycznym. Odpowiedzialność za to mieli ponosić gminni naczelnicy policji.<sup>28</sup> Kroki te miały na celu również zapobieganie zamieszkom wśród polskich zesłańców politycznych w okręgu minusińskim. W kwietniu 1867 roku z Irkucka do Minusińska w charakterze tymczasowego naczelnika wojskowego okręgu skierowano rotmistrza Szelaśnikowa, który objął dowództwo nad regularnymi i nieregularnymi oddziałami wojskowymi. Wszystkie wymienione wyżej środki zmierzały do ustabilizowania sytuacji w okręgu minusińskim.

Rotmistrz Szelaśnikow objechał wraz z naczelnikiem policji gminy szuszeńską, tiesińską, abakańską i doszedł do wniosku, że „w okręgu minusińskim wszystko układa się pomyślnie”.<sup>29</sup> Wymienił poza tym kilka przyczyn, które powodowały spadek aktywności politycznej wśród polskich zesłańców. Było to jego zdaniem „wydalenie 11 szkodliwych osób do Kraju Turuchańskiego i obwodu jakuckiego” i strach, jaki ta akcja wywołała wśród Polaków. By uniknąć takich karnych przemieszczeń chcąc nie chcąc podporządkowywali się wszystkim wymaganiom i bez zarzutu wykonywali polecenia zwierzchnictwa. Oprócz tego wymienił on w sprawozdaniu z tej inspekcyjnej podróży „kilka osób o niespokojnym charakterze, wyznających idee o niewłaściwym ukierunkowaniu”, ale zrobił przy tym zastrzeżenie, że „takie osoby są tak dokładnie nadzorowane, że mimo największych chęci podjęcia jakichś działań są pozbawieni takiej możliwości”.<sup>30</sup> Generał-gubernatorowi udało się więc zapobiec zamieszkom wśród zesłanych Polaków w okręgu minusińskim w końcu 1866 i na początku 1867 roku. Potem nastąpiło zaostrzenie rygorów obowiązujących na zesłaniu, które wyrażało się w następujących działaniach: na przykład w gminie nazarowskiej w okręgu minusińskim stanowisko pisarza gminnego piastował Polak, podobnie jak w innych okręgach obowiązki wiejskich pisarzy pełnili zesłańcy polityczni. W związku z tym do generał-gubernatora Wschodniej Syberii skierowano prośbę o niezwłocz-

<sup>27</sup> Ibidem, l. 10v-11, 13-13v.

<sup>28</sup> Ibidem, l. 15v.

<sup>29</sup> Ibidem, l. 86.

<sup>30</sup> Ibidem, 86v.

ne wydanie dyspozycji w sprawie zastąpienia Polaków pełniących funkcje pisarzy innymi osobami i o niedopuszczanie do takich sytuacji w przyszłości. Ponadto wskazywano na konieczność podjęcia „zdecydowanych i surowych środków zapobiegających pobłażaniu zesłańcom”. Dlatego szczególną uwagę zwrócono na funkcjonowanie administracji okręgowej w okręgu minusińskim i w samym Minusińsku, gdzie dochodziło do znacznego osłabienia rygoru zesłańców politycznych. Proponowano uprzedzić miejskich i wiejskich naczelników policji, między innymi honorowego Minusińska, podpułkownika Felknera, że jeśli powtórzą się przypadki pobłażania zesłańcom, to zostanie zwolniony z zajmowanego stanowiska i pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Jednocześnie wprowadzono tajny nadzór nad osobami, które kontaktowały się z najbardziej aktywnymi polskimi zesłańcami, na przykład nad „żoną Podsośowa i nad nim samym”.<sup>31</sup>

W opisywanym okresie w okręgu minusińskim nie było szczególnych buntów i zamieszek wywołanych przez Polaków, poza kilkoma przypadkami odnotowanymi w dokumentach minusińskiego okręgowego naczelnika policji. Przedstawione fakty pozwalają na wyciągnięcie wniosku, że polscy zesłańcy polityczni, byli uczestnicy powstania 1863 roku, w opisywanym okresie nie prowadzili działalności politycznej, mimo że oprócz szeregowych uczestników tamtych wydarzeń przebywali tu również przywódcy rozmaitych buntowniczych ugrupowań. Naszym zdaniem było to związane z tym, że okręg minusiński leżał dość daleko od Krasnojarska i Irkucka – miast będących ośrodkami gubernialnymi, oraz od głównego syberyjskiego szlaku. Ta ostatnia okoliczność powodowała izolację i ograniczała kontakty z innymi skupiskami zesłańców politycznych, co utrudniało nawiązanie stałych kontaktów.<sup>32</sup>

*Z języka rosyjskiego tłumaczyła Ewa Rybarska*

<sup>31</sup> Ibidem, l. 37v-38v.

<sup>32</sup> Przedruk z: „Więstnik Chakasskogo Gosudarstwiennogo Uniwersitieta im. N.F. Katanowa”, 2002, t. 2.

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Roman Wojtyło – *W tajgach Sybiru i na stepach Ukrainy***

Roman Wojtyło – urodzony 21.10.1932 roku w miejscowości Kuropatniki, pow. Brzeżany ; woj. tarnopolskie w rodzinie chłopskiej. 10 lutego 1940 roku został wywieziony wraz z rodzicami – Franciszkiem i Marią oraz siostrą Władysławą na Sybir do miejscowości Borzowo w Krasnojarskim Kraju. Do Polski powrócił z rodziną w styczniu 1946 roku (wszyscy zamieszkali w Ulesiu w powiecie legnickim). W Legnicy ukończył w 1948 r. szkołę podstawową, a następnie w 1952 liceum ogólnokształcące. W latach 1952-1957 studiował na Wydziale Budownictwa Politechniki Wrocławskiej i uzyskał dyplom inżyniera budownictwa lądowego (specjalność konstrukcji budowlanych). Pracę zawodową rozpoczął w 1957 roku na stanowisku kierownika budowy. W kolejnych latach pracował jako inspektor nadzoru budowlanego oraz zastępca dyrektora ds. technicznych w różnych firmach budowlanych. Jednocześnie przez kilka lat nauczał w wieczorowym Technikum Budowlanym w Legnicy. Odznaczony, między innymi, Srebrnym Krzyżem Zasługi za wkład w rozwój budownictwa, Złotą Odznaką Zasłużony dla Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Za budowę Domu Harcerza w Legnicy otrzymał w 1989 roku Honorową Odznakę Przyjaciół Harcerstwa. 21 października 1992 roku przeszedł na emeryturę. W 1999 roku wstąpił do Związku Sybiraków. 21 września 2005 roku został odznaczony przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Krzyżem Zesłańców Sybiru. W 1958 roku zawarł związek małżeński z Marią z domu

Szelemiej. Zamieszkali oboje w Legnicy, gdzie żyją do tej pory. Mają dwie córki i syna. Wszyscy troje są absolwentami wyższych uczelni Wrocławia.

\*

Boże, ile to dni, ile lat minęło od 1 września 1939 roku, gdy po raz pierwszy w życiu miałem pójść do szkoły w mojej rodzinnej wsi, Seńkowie Kuropatnickim (powiat Brzeżany, województwo tarnopolskie). Dzień wstał jasny, słoneczny, na niebie nie było ani jednej chmurki, na trawy i drzewa opadła rosa i skrzyła się w słońcu jak iskierki ognia. Wstałem wcześniej niż było konieczne, nie mogłem spać podniecony moim szkolnym początkiem. Wyszędłem na podwórko, popatrzyłem na gołębniki umocowane pod okapem stajni. Na szerokiej desce biegnącej przez całą długość stajni, pod gołębnikami siedziały gołębie różnych ras i kolorów. Drzwi do stajni były otwarte, gdyż ojciec i mama wstali wcześniej, by nakarmić zwierzęta i wydoić krowy. Przy żłobach przypięte na łańcuchach stały dwie krowy wiśniowe i jałówka także wiśniowa, oraz dwa gniade konie. Sierść na nich lśniła, były dobrze utrzymane i wyczyszczone jak co dnia przez ojca. Popatrzyłem szczególnie na konie, które były i są miłością mojego życia. Klacz oderwała głowę od żłobu i cicho zarżała, po czym znowu schyliła się nad żłobem z obrokiem. Opuściłem stajnię w momencie, gdy mama wyszła z komory z dużym blaszanym garnkiem wypełnionym ziarnem. Sypnęła przed stajnią kilka garści zboża. Ze wszystkich kątów podwórza zaczęły się zbiegać kury i kaczki, gołębie zaś zrywały się z deski, siadały na ziemię i dziobały rozrzuconą karmę. Samce gruchały, kręcąc się w koło i strosząc pióra, a samiczki – zapobiegliwsze skutecznie napełniały swoje wola.

Mama wysypała resztki ziarna między jedzące ptactwo i zabrała mnie do kuchni na śniadanie. Przy drewnianym stole siedziała już moja starsza o półtora roku siostra Władzia, jadła chleb z masłem, popijając przegotowanym mlekiem. Ona też miała iść do szkoły, ale już do drugiej klasy. Zjadłem kromkę chleba, gdy do kuchni pospiesznie wszedł ojciec. Twarz jego, zawsze pogodna, była blada i zaszępiła. Stał przez chwilę na środku pomieszczenia po czym spokojnym, ale przytłumionym głosem powiedział: „Wyjdźcie wszyscy na dwór” i ruszył ku drzwiom. Wyszliśmy na podwórze i usłyszeliśmy jakiś szum i buczenie dochodzące z góry. Słońce było jeszcze nisko nad horyzontem, a więc nas nie oślepiało. Wpatrzeni w niebo zobaczyliśmy bardzo wysoko kilkanaście świetlistych punktów, poruszających się stosunkowo szybko. Były to samoloty lecące w uformowanym szyku trójkowym. Za chwilę, dużo niżej niż lecące bombowce, zaczęły wybuchać pociski artylerii przeciwlotniczej wystrzeliwane z Brzeżan, gdzie stacjonował 51 Pułk Wojska Polskiego. Po kilku minutach strzelanie ustało, artylerzyści zorientowali się, że ostrzał jest nieskuteczny. Samoloty zaś w zwartym szyku leciały dalej w kierunku Tarnopola.

Ojciec stał jeszcze dłuższą chwilę, a my wpatrzeni w niego czekaliśmy, co powie. Wreszcie ojciec wypowiedział jedno słowo – WOJNA! Od strony Kuropatnik dało się słyszeć bicie dzwonów kościoła parafialnego. Po jakimś czasie mieszkańcy wsi zaczęli wychodzić na wiejską drogę i gromadami szli w kierunku szkoły, gdzie było jedyne we wsi radio głośnikowe. Wreszcie Warszawa nadała komunikat, że rano Niemcy napadły na Polskę jednocześnie z kilku stron. Ludzie dyskutowali, przekomarzali się, czy wojna długo potrwa, kto wy-

gra, jakie czekają nas zdarzenia. Wreszcie zaczęli się rozchodzić do codziennych zajęć, których we wrześniu nie brakowało. Z chwilą wybuchu wojny ogłoszono powszechną mobilizację, co znaczyło, że mężczyźni zdolni do służby wojskowej mieli się niezwłocznie stawić w swoich jednostkach wojskowych. Z mojej rodziny dotyczyło to wujka Michała Białoskórskiego i wujka Józefa Zielonki. Pułk 51 z Brzeżan także wyruszył na front zachodni. Koszary opustoszały. Pozostała tylko część kompanii wartowniczej i niezbędna obsługa obiektów wojskowych. Odchodzące wojsko pozostawiło kilkanaście sztuk karabinów maszynowych ciężkich i lekkich oraz kilkadziesiąt zwykłych karabinów. Pozostawiono też znaczną ilość amunicji do tej broni. Zaczęły krążyć pogłoski, że z chwilą odejścia wojska, ukraińskie grupy mają organizować napady na polskich mieszkańców Galicji Wschodniej. Na rzeczywiste zagrożenie nie trzeba było długo czekać.

W pierwszych dniach września tu i ówdzie dochodziło do napadów, rabunków, pożarów i mordów. Na Kresach mieszkało około 50% Ukraińców, a więc zagrożenie było realne i bliskie. W naszych stronach do takich zdarzeń dochodziło coraz częściej, a poszczególne wsie nie mogły się skutecznie bronić. O konieczności opuszczenia wsi zawiadomił nas sąsiad – Ukrainiec Dymytr Kuciel, działacz organizacji ukraińskich. Był studentem Politechniki Lwowskiej, miał około 22 lat. Dwóch jego młodszych braci uczyło się w średniej szkole w Brzeżanach. Znał mojego ojca od jego przyjazdu z województwa krakowskiego, polubił go i zawsze mu sprzyjał. Napady na Polaków zdarzały się już każdej nocy i nie mogliśmy zwlekać z ucieczką do Brzeżan. Wszystkie polskie rodziny 8-go września przygotowały drabiniaste wozy, załadowały na nie wiązki siana, worki owsa dla koni, żywność dla ludzi, poduszki, pierzyny, ubrania, naczynia kuchenne itp. i wyruszyły konwojem kilkunastu wozów. Mężczyźni zabrali co kto miał z broni, a więc rewolwery, strzelby myśliwskie, szable i bagnety. Przywiązane do wozów krowy szły razem z nami. Podróż przebiegła spokojnie. Do Brzeżan było około 10 km, na miejsce dotarliśmy koło południa. Każdy szukał miejsca u znajomych gospodarzy rozsianych na obrzeżach miasta. Naszą rodzinę i Wojciecha Zielonki przygarnął Stanisław Skrzypek, zapewnił naszemu bydłu miejsce i pożywienie. Ludziom pożywienie zagwarantował sąsiad Skrzypka Żyd – aptekarz Szymon Podoszyn. Tam po raz pierwszy w życiu jadłem rosół wołowy z makaronem.

Rozboje na wsiach stały się powszechne. Ukraińcy stosowali przemoc pod hasłem „Polaków wyreżem, Mazurów wydusim, swoją Ukrainę wybudować musim.” Mazurami nazywali ludzi takich jak moi rodzice – przybyszów z centralnej Polski. Jak się później okazało, w Seńkowie pozostała jedna staruszka, Polka z rodziny Skotnickich. Uważała, że jest za stara, aby uciekać. Rozboje wciąż trwały, a nawet zauważono, że w nocy grupy „rezunów” podchodzą do obrzeży Brzeżan, gromadząc środki do zasadniczego szturm na miasto. Ale jego mieszkańcy również nie pozostawali bezczynni. W miejscach najbardziej narażonych na atak rozmieszczono karabiny maszynowe, wyznaczono posterunki. Pozostałym żołnierzom i młodzieży męskiej skupionej w organizacji „Strzelec”, oraz mężczyznom, którzy nie musieli się zgłosić do wojska rozdano posiadaną broń i amunicję. 10 września nocą nastąpiło pierwsze uderzenie na Brzeżany. Uzbrojeni w strzelby, pistolety, szable i siekiery „rezuny” uderzyli na przedmieścia, ale spotkał ich zmasowany ostrzał z karabinów maszynowych i



innej broni, tak że po dłuższej wymianie ognia musieli się wycofać na całym froncie. W ciągu dnia nie było żadnej strzelaniny. Polskie patrole przeczesywały pola i zagajniki na obrzeżach miasta, znalazły kilku zabitych Ukraińców i kilka martwych koni. Po naszej stronie było tylko dwóch rannych.

Następna noc była w zasadzie spokojna, tylko w miejscach oddalonych od miasta widać było łuny pożarów i słychać było chaotyczne wystrzały. Kolejnej nocy tylko małe grupy banderowców atakowały przedmieścia, ale nigdzie nie osiągnęły zamierzonego celu. Nadszedł wreszcie dzień 13 września. Pod wieczór na polach i zagajnikach niedaleko od miasta pojawiły się zrazu nieliczne, później większe i liczniejsze oddziały piesze i konne. O zmroku dało się zauważyć ruchy grup napastniczych. Jedni czołgali się w rzędach ziemniaków, inni, kryjąc się w zaroślach i polach kukurydzy, podchodzili coraz bliżej miasta. Gdy się już całkiem ściemniło, oddziały ukraińskie z ogromnym wrzaskiem uderzyły ze wszystkich stron na miasto. Był to ich fatalny błąd. Gdyby wielkimi siłami natarli w jednym wybranym miejscu, mogliby przełamać opór obrońców. A tak karabiny maszynowe zrobiły swoje i napastnicy tym razem ponieśli sromotną klęskę, mając wielu zabitych i rannych. Około północy bitwa się zakończyła. Dzień był znowu spokojny. Ukraińcy zbierali z pola zabitych i rannych. Polacy im w tym nie przeszkadzali. Do miasta dochodziły słuchy, że Ukraińcy dopuszczają się straszliwych zbrodni na żołnierzach, którzy wracali do domów z rozbitych przez Niemców oddziałów polskich. Kopali ogromne jamy w ziemi i złapanych żołnierzy poddawali swoistemu egzaminowi. Kazali żołnierzom klękać nad wykopem i odmawiać „Ojcze nasz” po ukraińsku. Ci, co długo mieszkali na Kresach lub pochodzili z mieszanych rodzin polsko-ukraińskich, przeważnie umieli odmawiać pacierz po ukraińsku. Byli wtedy zwalniani i szli do swoich domów. Ci zaś, którzy nie umieli, byli zabijani strzałami w tył głowy i upadali do jam. Po napełnieniu jam wrzucano do nich gałęzie i przysypywano 30 cm warstwą ziemi. Z dołów wydobywały się jeszcze jęki, a gałęzie się ruszały. Taki egzamin przeszedł mój wuj Michał Białoskórski. Na szczęście jako urodzony na wschodzie umiał się „właściwie” modlić.

Trzeci i ostatni szturm Ukraińców nastąpił w nocy z 15 na 16 września. Został również krwawo odparty. 17 września rozeszła się wiadomość, że Związek Radziecki bez wypowiedzenia wojny uderzył od wschodu na Polskę. W dniu 18 września okazało się to rzeczywistością potwierdzoną faktem zbliżania się do Brzeżan kolumny czołgów. Za nimi szła konnica, słynne taczanki<sup>1</sup> oraz piechota. Zmasowane natarcie nie napotkało większego oporu z polskiej strony. Naczelne dowództwo Wojska Polskiego wydało rozkaz niestawiania wobec Rosjan oporu, chyba że nastąpi bezpośredni atak. Ukraińcy też wiedzieli, że zbliżają się „ruskie” wojska. Postanowili je uroczyście przywitać, licząc na to, że pomogą im w stworzeniu „Samoistnej Ukrainy” i rozprawią się z Polakami. Za miastem na tarnopolskiej szosie wybudowali z drewna tryumfalną bramę ozdobioną gałęziami świerków, brzoź oraz jesiennymi kwiatami. Wysoko na bramie umieścili ukraińską żółto-niebieską flagę. Przy bramie zgromadziło się wielu Ukraińców, był komitet powitalny, prawie wszyscy mieli na sobie ukraińskie wyszywane koszule. Widocznej broni nikt nie posiadał, jedynie członkowie ko-

<sup>1</sup> Taczanka – rosyjski lekki, 2. albo 4-kołowy wózek z karabinem maszynowym, używany dawniej w kawalerii (w Rosji w czasie wojny domowej 1918-20, w Polsce w okresie międzywojennym).

mitetu nosili przypasane krzywe szable. Pierwszy czołg podjechał prawie pod bramę i zatrzymał się. Pozostałe czołgi, a było ich około 30, też stanęły. Z wieżyczek czołgów wychylili się oficerowie rosyjscy. Ludność polska zaczęła nieśmiało zbliżać się do miejsca powitania. Do wszystkich dotarły już wieści, że wojska sowieckie kategorycznie zabraniają napadać, mordować i palić polskich mieszkańców. W skrajnych wypadkach wymierzają kary, do rozstrzelania włącznie. Rozpoczęła się część powitalna. Dowódcy pierwszego czołgu wręczono kwiaty, podano do ucałowania bochen chleba, potem rozpoczęły się przemówienia, chwalaące Armię Czerwoną, wyzwolicielkę ludu ukraińskiego. Lejt-nant wyszedł na wieżyczkę czołgu, popatrzył na flagę i zapytał: „A eto chto?” Zaczęto mu tłumaczyć, co oznacza wywieszona flaga i czym ona jest dla Ukraińców. Oficer stał chwilę, chwycił za drzewce flagi, złamał je, a płótno rzucił na ziemię. Schylił się nad włazem, coś zawołał do środka i w jego ręce znalazł się czerwony sztandar z sierpem i młotem. Umocował go na bramie i dał komendę do odmarszu. Czołgi ruszyły, rozwijając coraz większą prędkość. Ukraińcy stali zdumieni z otwartymi gębami. Tak zakończył się na długo ich sen o „Samoistno-j Ukrainie”. Z chwilą wkroczenia oddziałów sowieckich, na terenie wschodniej Polski ustały napady na ludność polską. Czas było wracać do swoich wsi. Jedni mieli do czego wracać, gdyż domy nie uległy spaleni. Zrabowano z nich co bardziej wartościowe rzeczy, wykradzono nawet świnię, gęsi, kury i inny drobny inwentarz. W innych wsiach spalono pojedyncze zagrody lub wszystko co dało się spalić.

Uciekinierzy do Brzeżan powoli wracali do swoich wsi, wioząc ze sobą ocalone rzeczy, prowadząc bydło uwiązane do wozów. My z Seńkowa całą gromadą ruszyliśmy też w drogę powrotną. Cały sznur wozów ciągnął powoli, zatrzymał się tylko w środku wsi przy zabudowaniach rodziny Skotnickich. Ci, którzy wyprzedzili całą kolumnę, dali znać że stało się coś strasznego. Na podwórzu przewieszane przez dyszel kieratu leżały zwłoki staruszki, która została we wsi. Odcięta kosą głowa spoczywała na pniaku ściętego drzewa, patrząc martwymi oczyma na coraz liczniejszą grupę zbiegających się ludzi. Rozległy się krzyki, płacz kobiet i dzieci. Po jakimś czasie ludzie zaczęli się rozchodzić. Wozy ruszyły, bydło ryczało, konie rżały czując z daleka przytulność swoich stajni. W naszym gospodarstwie podobnie jak w innych pozostało parę kur i kaczek, których nie zdołano schwytać i gołębie trudne do złapania. Życie zaczęło wracać do stanu poprzedniego. Ludzie kopali ziemniaki, młócili cepami zboże, orali pod jesienne zasiewy. Po kilku dniach zaczęła się nauka w szkole i wtedy właśnie rozpoczął się mój rok szkolny.

Mijały dni i tygodnie, skończyła się jesień, nadchodziła w tym roku bardzo mroźna zima. Święta Bożego Narodzenia minęły spokojnie. Śniegu napadało około pół metra. Mróz trzymał ciągle, osiągając w niektóre noce minus 40°C. Tak dotrwaliśmy do 10 lutego 1940 roku. Nad ranem około godziny piątej rozległy się na podwórzu krzyki w języku ukraińskim i rosyjskim, walenie do drzwi i groźby, że drzwi zostaną rozwalone jeśli nie otworzymy. Ojciec i matka zerwali się z łóżka, ojciec drżącymi rękami odemknął zamek. Do izby wpadło kilka osób cywilnych oraz dwóch ruskich żołnierzy w szarych szynelach, spiczastych czapkach, z długimi karabinami z osadzonymi na nich bagnietami. Rozległy się chaotyczne wrzaski, jedni rewidowali ojca, inni przeszukiwali wszystkie pomieszczenia. Kazali ojcu i matce szybko się ubrać, przywieźć dzieci i pakować do worków chleb, kawałki wiszącej w komorze słoniny, mąkę i ziemniaki. Kazali też zabierać pierzyny, poduszki i dodatkową ciepłą odzież i

buty. Na podwórzu też rozlegały się krzyki, wyciągnięto ze stodoły sanie, wrzucono do nich dużo słomy i zaprzęgano wyprowadzone ze stajni konie. Konie się szarpały w obcych rękach, zmuszono więc ojca do ich zaprzęgnięcia. Nakazano umieścić na saniach spakowane zapasy, zawinięte w pierzyny dzieci, mróz był bowiem siarczysty, około minus 30°C. W otoczeniu eskorty sanie wyjechały na drogę, gdzie widać już było inne zaprzęgi. Sanie ustawiono w kolumnę i poleciono jechać do Kozowy. Ze wsi wywieziono wszystkie polskie rodziny zostawiając jedynie Ukraińców – Bunię, Ostapa i Drogosza, ale zabierając Kuciela z rodziną za to, że jego synowie sprzyjali Polakom i nie włączali się do zbrojnych napaści. Z Seńkowa wywieziono rodziny: Saczyńskich, Mikosiów, Stefanowiczów, Więckiewiczów, dwie rodziny Łazów, kilka rodzin Skotnickich – Ignaca, Adolfa i Henryka, rodziny Kudłów, Zielonków i innych Polaków, których już nie pamiętam.

Kolumna ruszyła, ja i siostra okutani pierzynami jechaliśmy w saniach, rodzice tak jak wszyscy dorośli szli piechotą przy saniach. Konwój otaczali Ukraińcy, a przy każdym saniach po obu stronach kroczyli sowieccy żołnierze. W takim szyku konwój dotarł do Kozowy na stację kolejową. Na bocznym torze stał pociąg, składający się z kilkudziesięciu wagonów bydłowych z zakratowanymi drutem kolczastym okienkami. W wagonie na kawałku blachy ustawiony był żelazny piecyk, tzw. „koza” z rurą blaszaną wyprowadzoną ponad dach. W kącie przy drzwiach wagonu wycięto w podłodze okrągłą dziurę, która miała służyć jako ubikacja. Przy piecyku leżały dwa podkłady kolejowe z wbitą w nie siekierą, niewielka ilość kawałków węgla kamiennego i szufelka. W każdym wagonie po obu stronach wykonano z grubych nieheblowanych desek po dwa pomosty.

Sanie z wygnańcami podjeżdżały do wagonów, wrzucano do środka słomę z sań, następnie wpędzono do środka ludzi, wrzucono zapasy żywności, pościel i odzież. Drzwi wagonu zasunięto i od zewnątrz zamknięto. Drzwi po drugiej stronie wagonu były zamknięte na stałe. Przed zamknięciem wagonu konwojenci rosyjscy (Ukraińców już nie było) pozwolili do posiadanych wiader i innych naczyń nabrać śniegu. Pierwszą czynnością mężczyzn w wagonie było narąbanie drewna z podkładów i zapalenie w piecyku dla ogrzania wagonu i zmarzniętych „na kość” ludzi. Następnie ugotowano z roztopionego śniegu herbaty dla wszystkich w wagonie. Rozścielono na pomostach słomę, ułożono pościel i otulono nią małe jak my dzieci. Do naszego wagonu wtłoczono, oprócz naszej, rodziny: Wojciecha Zielonki, Jana Kudły, Michała Więckiewicza, Stanisława Rokosza; razem 25 osób. Na podłodze ze względu na zimno spać się nie dało. Ulokowano tam wszystkie bagaże, a ludzie kładli się spać na czterech pomostach. Tłok był niemiłosierny, ale miało to tę zaletę, że ściśniętym ludziom było cieplej. Na ścianach wagonu i oknach osiadła gruba warstwa szronu. Późnym wieczorem podstawiono do składu lokomotywę parową, wagony zadrżały i rozpoczęła się podróż w nieznane. Wagony stukały monotonna na stykach szyn, ludzie w wagonach płakali, odmawiali na głos modlitwy lub śpiewali płaczącym głosem pobożne pieśni. Na drugi dzień otwarto na chwilę drzwi wagonu i pozwolono dwóm mężczyznom zabrać do naczyń śniegu, po czym wagony zamknięto aż do następnego dnia. Rodziny kolejno gotowały posiłki, gdyż na piecyku mieściły się z trudem trzy garnki. Mimo palenia w piecyku w wagonie było bardzo zimno, gdyż między deskami ścian były szpary. Obtykano je kawałkami koca lub zniszczonych ubrań. Przy otworze w podłodze zrobiono

zasłonę z koców, by umożliwić nieskrępowane wypróżnianie. Otwór zatykano wiechciem skręconym ze słomy. Żołnierze – konwojenci jechali w wagonie osobowym przyczepionym na końcu pociągu i grzali się przy takich samych piecykach. Z chwilą zatrzymania się pociągu wybiegali z wagonu, ustawiali się przy drzwiach, każda dwójka przy swoim wagonie i czekali na dalsze rozkazy. Bez rozkazu nie zrobili nic, nie chcieli słuchać próśb o otwarcie drzwi, by nabrać śniegu czy wody. Tam gdzie parowóz musiał uzupełniać wodę, dowódca pociągu zezwalał nabrać wody z pompy. Dwóch ludzi z każdego wagonu mogło wlać wody do czterech naczyń. Co kilka dni żołnierze wrzucali do wagonu jeden lub dwa zużyte podkłady kolejowe, kilka kawałków węgla, parę bochenków razowego chleba. Był to jedyny pokarm, jaki nam dawano przez cały czas podróży.

Pewnego dnia, gdy pociąg stanął na jakiejś większej stacji, konwojenci otworzyli drzwi i kazali dwóm mężczyznom wziąć naczynia i pod konwojem udać się do budynku stacyjnego po „czaj”. Ci, którzy cokolwiek umieli po rosyjsku twierdzili, że dają gorącą herbatę. Mój ojciec Franciszek i Karol Więtekiewicz, przedwojenny maszynista parowozu, chwycili dwa wiadra i dwa większe garnki i ruszyli do wskazanego domu. Kucharz nalał im z kotła jakiegoś płynu. Kolejka do kotła była długa, nie było czasu na zastanawianie się, co to jest. Wyszli więc z budynku i zaczęli sprawdzać, co im nalano. Okazało się, że jest to jedynie gorąca czysta woda. Postanowili złożyć reklamację. Byli przekonani, że nalano im z niewłaściwego kotła. Gdy podeszli do wydającego napój i powiedzieli, o co im chodzi, oficer stojący przy kotle rzucił im w twarz przekleństwa z użyciem „twoja mać” i kopniakami wyrzucił ich na dwór. W ten sposób nauczył ich, co po rosyjsku oznaczało wtedy słowo „czaj”.

W dniach kiedy otwierano wagony na postojach poza osiedlami, konwojenci krzykliwie pytająco: „Miortwyje jest?” (czy są martwi?). Z wagonów, które zgłaszały taki fakt, wyciągano zmarłych i zagrzebywano w zaspach śniegu przy torach. Zmarłych było niemało, przeważnie dzieci, starcy i kobiety. Z naszego wagonu zmarła Katarzyna Dobosz i została „pochowana” tak jak wszyscy inni. Wzdłuż całej trasy pociągu biegnącej przez radziecką Ukrainę, do wagonów w czasie ich postoju dążyły ukraińskie dzieci niesamowicie obdarte, okutane w łańchmany, z owiniętymi szmatami nogami, z butelką lub dwiema zamrożonego mleka w rączkach. Próbowaly dostawać się do wagonów, by wymienić mleko na kromkę chleba. Twarze ich były wynędzniałe, często spuchnięte od głodu, w oczach widać było gorączkę i strach. Konwojenci nie dopuszczali dzieci, grozili strzelaniem. Taki obraz sowieckiego „dobrobytu” uświadamiał Polakom, do jakiego „raju” nas wieziono.

Przez Kijów, Charków, Omsk, Nowosybirsk, Krasnojarsk dojechaliśmy do Komska w środkowej Syberii. Tu kończyła się podróż koleją, a trwała trzy tygodnie. Z pociągu wypędzono około trzystu osób i zagnano wraz z tobołkami do poczekalni dworcowej oraz innych pomieszczeń. Tłok był niesamowity, trzy duże żelazne piece rozgrzane do czerwoności dawały ogromne ilości ciepła. Przy tak dużym zatłoczeniu zapanowało straszne gorąco i zaduch. Przy jednej ze ścian przebiegała rura wodociągowa zakończona kranem. Zawór był chyba specjalnie uszkodzony, gdyż nie było pokrętła, a woda jedynie bardzo cienką stróżką ciekła do zardzewiałego zlewu. Natychmiast przy kranie zebrały się dziesiątki osób z naczyniami chcąc nabrać wody do picia. Powstały targi, krzy-

ki, przekleństwa i przepychanki, bo każdy chciał być pierwszy, a woda ciekła tak wolno, że na napełnienie szklanki trzeba było czekać kilka minut. Stojący na końcu kolejki w pewnym momencie rzucili się do drzwi wejściowych. Wyrwali je z zawiasów i rzucili się z naczyniami do zasy sniegu. Konwojenci zaczęli pędzić ludzi do wnętrza poczekalni kolbami, nie żałując razów. Rozległy się strzały ostrzegawcze. Zanosilo się na strzelanie do „uciekierów” ostrą amunicją. Wszystkich spędzono do środka. Jedni nabrali sniegu, innym się to nie udało. Do następnego dnia nie wszyscy dożyli. Zmarło kilkanaście osób z pragnienia i gorąca. Zmarłych wywlekano za nogi na zewnątrz. Co się z nimi dalej działo, już nikt się nie dowiedział.

Następnego dnia wcześniej rano podjechała pod dworzec kolumna samochodów ciężarowych ZIS-5 i zaczęło się ładowanie ludzi. Na skrzyniach aut było trochę ośnieżonej słomy, na którą rzucono tobołki z pościelą, worki z resztkami żywności i naczyniami kuchennymi. Mniej więcej za godzinę kolumna ruszyła przetartą wcześniej drogą. Tuż za miastem kończyła się otwarta przestrzeń, a zaczynała się tajga. Po obu stronach drogi rosły w nieładzie ogromne sosny, modrzewie i brzozy. Pogoda była fatalna, wiał silny wiatr, co w tajdze jest rzadkością. Unosiły się w powietrzu chmury ziarnistego sniegu. Ludzie zasłaniali się czym mogli. Dzieci owinięte w pierzyny i położone na poduszkach marzły mniej od starszych, których kilkoro zamarzło. O zmroku samochody dotarły do celu, jakim była duża osada, siedziba rejonu Aban. Samochody przejechały około stu kilometrów. Konwojenci mieli następnego dnia wrócić do Kanska, a straż nad zesłańcami przejął miejscowy oddział NKWD – rodzaj żandarmerii wojskowej. Żandarmi upychali przywiezionych do zamieszkałych domów, szkoły i innych ogrzewanych budynków, umożliwiając w ten sposób przetrwanie do rana. Ci, którzy mieli jeszcze coś do jedzenia, spożyli kolację, inni położyli się spać o głodzie, gdyż tubylcy sami nie mieli co jeść. Mogli tylko poczęstować gorącym „czajem”. Tak przetrwaliśmy do rana. O świcie w osadzie słychać było wielki ruch, rżenie koni, skrzypienie sań i przekleństwa woźniców. Wzdłuż ulicy przejeżdżały sanie z umieszczoną na nich skrzynią wyładowaną bochenkami razowego chleba. Każda polska rodzina otrzymała na śniadanie jeden bochenek, niezależnie od jej liczebności. Pod każdy dom, gdzie nocowali zesłańcy, podjeżdżały sanie zaprzężone w jednego konia. Na saniach była położona wiązka słomy. Zaczęło się ładowanie zesłańców na sanie po pięć, sześć osób. Słomą wyścielono sanie, ułożono poduszki i pierzyny, okutano w co się dało dzieci i starców.

Po upływie pół godziny konwój był gotów do drogi. Każdy woźnica kierował trzema saniami, to znaczy na pierwszych sadowił się sam, a za pierwszym zaprzęgiem szły kolejne dwa bez woźniców. Konie syberyjskie były tak wyszkolone, że idąc luzem nie zostawały dalej za poprzedzającym zaprzęgiem niż 3-4 metry. Nie było mowy o tym, żeby koń zboczył z drogi lub pozostał z tyłu. W zimie ewentualne zjechanie z trasy było zagrożone niezwłocznym atakiem wilków, a rzadziej nawet tygrysa lub niedźwiedzia. Konie doskonale to wyczuwały i biegły aż do upadłego. Na dany sygnał zaprzęgi ustawiły się w długim szeregu. Wozacy zaczęli strzelać z batów i konwój ruszył. Sań było około trzydziestu pięciu, zesłańców w sumie około sto dziewięćdziesiąt osób. Po wyjechaniu z osady po obu stronach drogi rozpościerała się tajga. Ogromne sosny, brzozy, modrzewie i cedry rosły na samej krawędzi drogi, poszycia leśnego nie było widać spod sniegu. Grubość pokrywy śnieżnej sięgała od jedne-

go do dwóch metrów. Dzięki Bogu wiatru nie było wcale, a śnieg iskrzył się w promieniach słońca. Temperatura wynosiła około minus 30°C. Jazda trwała aż do zmroku. Dojechaliśmy do Tanskiego Mostu. Był to kolchoz, gdzie na polanach leśnych uprawiano żyto, pszenicę, jęczmień i ziemniaki. Osada była stosunkowo duża, odległa od Abanu około 55 km. Sanie podjeżdżały do kolejnych domów i zesłańców kierowano do nich po kilka osób. Tubylcy podali na rozgrzewkę „czaju” oraz gotowanych w łupinach ziemniaków. Tak więc tej nocy nikt nie był głodny. Następnego ranka ceremoniał załadunku przeprowadzono sprawnie, na każde sanie załadowano wiązkę siana dla koni wiozących nas w dalszą drogę. I znowu jazda w kopnym śniegu, drogą wrytą wśród tajgi zaprzęgami konnymi, które wozily w zimie zboże do Abanu, bo w innej porze roku było to niemożliwe ze względu na podmokłe i bagniste tereny.

Podróż przebiegała sprawnie i spokojnie, chociaż mróz był -30°C i dmuchał niezbyt silny wiatr. Przed zmrokiem raptownie urwała się tajga i sanie wyjechały na ogromną zamrożoną rzekę. Była to rzeka Ana, dopływ Czumy. Czuma jest dopływem Angary, a ta z kolei dopływem Jeniseju, wpadającego do Oceanu Lodowatego. Ostatnim portem na Jeniseju jest Igarka, do którego spławia się drewno ze środkowej Syberii. Rzeką jechaliśmy kilka kilometrów aż do momentu, gdy na prawym brzegu ukazały się zabudowania obozu Borzowo. Było to miejsce docelowe naszego pobytu odległe od Tanskiego Mostu około 35 kilometrów. Był 6 marca 1940 roku.

Stromym podjazdem kolumna san wjechała do osady. Obóz składał się z kilkunastu już zamieszkałych baraków, piekarni, budynku służbowego dla straży, gdzie urzędowali i mieszkali wartownicy, oraz innych zabudowań pomocniczych, jak sklep, łaźnia itp. Rozpoczęło się wyładowanie skazańców. Rozmieszczano nas w barakach już zasiedlonych przez wcześniejszych zesłańców z Ukrainy i innych części ZSSR, co stwarzało niebywałe zagęszczenie ludzi i przedmiotów. Raptem przy jednych saniach rozległy się krzyki, płacz i zawożenia, okazało się bowiem, że w drodze zmarzło troje dzieci i jedna staruszka. Zmarłych ułożono pod ścianą baraku z zamiarem pochowania nazajutrz. Konie wyprzęgnięto i uwiązano u san, na których były wiązki siana. Dotychczasowi mieszkańcy (zwani przeze mnie „tubylcami”) przyjęli nas nie bez pewnego zniecierpliwienia, gdyż powstał w pomieszczeniach niesamowity tłok i zaduch. Zesłańcom wydano po 1-2 bochenków razowego chleba (przez cały pobyt na zsyłce nie widziałem żadnego białego chleba), a mieszkańcy ugotowali „herbatę”, tym razem z dodatkiem mrożonych jagód brusznicy. Następnego dnia rano wszystkie zaprzęgi pojechały do swoich macierzystych kolchozów.

Obóz był usytuowany wzdłuż brzegu w odległości 150-200 metrów od rzeki. Tylną ścianę osady stanowiła tajga. Wszystkie domy były drewniane z okrągłych bali, uszczelnione mchem i gliną zarówno od zewnątrz jak i od środka, dachy pokryte były gontem. Od strony tajgi stało ogrodzenie z drągów. Stanowiło to raczej symboliczne zabezpieczenie niż rzeczywistą ochronę. Od rana dwóch tubylców zostało wyznaczonych do zbijania trumien dla zamrożonych zesłańców. Do wykonania trumien użyto „dranic” (desek łupanych z kłoców drewna). Z takich dranic wykonane były wszystkie prcye, stoły, taborety itp. Kopanie grobów w zamrożonej ziemi nie było możliwe przed rozmrożeniem jej poprzez zapalenie ogniska z bali sosnowych. Pogrzeb odbył się według polskiego obyczaju, trumny niesiono na ramionach, śpiewano polskie pieśni żałobne, słyhać było

placz i lamenty żałobników. Nawet dzisiaj , gdy wspominam Sybir słyszę w uszach dźwięk pieśni żałobnych. Dozór strażników NKWD był raczej symboliczny. Było ich dziesięciu –dowódca i dziewięciu szeregowych. Uzbrojeni byli w karabiny oraz rewolwery typu „colt”. Mieli ostrą amunicję i bagnety.

Wyżywienie dla nowych zesłańców i tubylców wydawano codziennie na kartki według norm: 0,5 kg chleba na osobę pracującą, 0,3 kg na starców i dzieci. Przez kilka tygodni można było dostać 0,20 kg słoniny dziennie dla jednej rodziny. Po upływie tego czasu słoniny nie dawano aż do opuszczenia obozu w styczniu 1942 roku. Po trzech dniach wolnych przeznaczonych na przygotowanie pryczy, stołów, ławek itp. wypędzono wszystkich dorosłych zdolnych do pracy do wyřębu lasu. Na dwie osoby wydano piłę długą na 2 metry, po dwie siekiery, młot i trzy żelazne kliny do łupania pociętego drewna. Wydano też pół litra nafty, gdyż drewno było tak smolne, że po kilku pociągnięciach nie dało się wyciągnąć piły i należało ją posmarować naftą. Norma wynosiła 2 m<sup>3</sup> na każdą parę. Ścięte i połupane drewno należało ułożyć w sągi. Do cięcia i łupania drewna przeznaczone były tylko kobiety. Mężczyźni ścinali drzewa o średnicy powyżej 80 cm (tylko sosny i modrzewie).Obcinali gałęzie i przycinali ścięte bale na długość 20 metrów. Kloce te leżały w lesie do kwietnia kiedy to ściągano je na brzeg rzeki końmi przysłanymi z kołchozów. Korowano specjalnymi żelaznymi łopatkami i układano w sztaple.<sup>2</sup> W czerwcu, lipcu i sierpniu spławiano tratwami do portu w Igarce. Gałęzie drzew należało spalić , co było bardzo istotne, gdyż można było wtedy się ogrzać. Polacy wykonywali pracę we własnych posiadanych ubraniach i obuwiu. Przy temperaturze minus 40°C musieli pracować, gdy temperatura spadała jeszcze niżej można było pozostać w domu. Takie traktowanie ludzi prowadziło nieuchronnie do odmrożeń, zapalenia płuc itp. Opiekę lekarską sprawował w obozie doktor Henryk Niepokulczycki, Polak, wcześniejszy zesłaniec. Litował się nad ludźmi, dawał zwolnienia w razie przeziębienia czy odmrożeń. Trwało to jednak niedługo, bo nasz sąsiad z Seńkowa zgłosił się do strażników z NKWD i oświadczył, że otrzymał zwolnienie, mimo że jest całkowicie zdrowy. Takie stwierdzenie doprowadziło do tego, że doktora zesłano na Sachalin do kopalni soli, gdzie po trzech miesiącach zmarł. Dowiedzieliśmy się o tym, gdy świadectwo zgonu przysłano do obozu. Na jego miejsce został przysłany felczer Aleksiej Zajcew, który zwolnień nie dawał, lecz leczył chorych tabletkami chininy i aspiryny. Doprowadziło to do tego, że na skutek odmrożeń i chorób umarło w ciągu zimy około 60 dorosłych osób. Zmarło też z głodu dwadzieścioro dzieci i starców. Z naszych sąsiadów zmarli: Jan Kudła – ojciec, jego żona Zofia, Stefan i Maria Saczyńscy, Rokosz (imienia nie pamiętam), Zygmunt Kisielewicz, jego trójka małych dzieci i żona. Co trzeci, czy co czwarty dzień odbywał się „polski” pogrzeb. Dozorcy obozowi zezwalali na śpiewanie polskich pieśni kościelnych, starali się na pogrzebach zachowywać dyskretnie i spokojnie. Rodziny, w których było dużo dzieci, skazane były (przy takim wyżywieniu) na śmierć głodową. Dotyczyło to również starców i ludzi niezdolnych do pracy. Do zwiększenia śmiertelności przyczyniała się również plaga robactwa w barakach. Niezliczona ilość pluskiew, pcheł, wszy, karaluchów itp. powodowała zachorowania na dur brzuszny, gruźlicę i inne choroby. Nikt jednak z dozoru nie zwracał na to uwagi – było to planowe podejście do zesłańców.

<sup>2</sup> Sztapeł – stos desek, worków, skrzyń itp. ułożonych na przekładkach warstwami jedne na drugich.

W obliczu tych męczarni i zgonów poniższe wydarzenie wydawać się może zdarzeniem jednym z wielu. Jeżeli jednak spojrzeć się na jego przyczyny, staje się to czymś strasznym. Rodzina Stefana Kukli składała się z dziewięciu osób: ojca, matki i siedmiorga dzieci od dwóch do piętnastu lat. Wszyscy dojechali do Borzowa, co było wydarzeniem nadzwyczajnym. Tu jednak znikome przydziały czarnego chleba, wszy i pluskwy doprowadziły do choroby – tyfusu. Żadnych lekarstw nie było. Wszystkie dzieci i matka zmarli na tę straszną chorobę w przeciągu jednego miesiąca. Zrozpaczony ojciec powiesił się na pasku od spodni na drzewie tuż obok wartowni.

Jedyną dobrą rzeczą, jaka nas spotykała, była kąpiel w syberyjskiej „bani” – łaźni.<sup>3</sup> Był tu taki obyczaj, że przy każdym prawie domu mieszkalnym była zbudowana taka „bania”. Robiono je, tak jak inne pomieszczenia, z kłóców drewna. Wewnątrz było palenisko zbudowane z polnych kamieni. Palono drewnem do czasu, aż kamienie były białe od gorąca, wtedy lano na nie wodę. Gorąca para nappełniała pomieszczenie. Były tam ławki w układzie schodkowym z brzozonego drewna. Dlatego z drewna brzozonego, że sęki nie są smolne, nie parzą kąpiących. Do kąpieli stosowano miotłki z wysuszonych, wraz liśćmi, gałęzi brzozowych. Mężczyźni kąpali się razem z chłopcami, a kobiety z dziewczynkami. W zimie po zażyciu kąpieli parowej kąpiący wybiegali na zewnątrz, tarzali się w śniegu.

Gdzieś na początku marca 1940 roku zdarzył się w obozie niesamowity wypadek. W biały dzień na końcu osady rozległy się jęki mordowanego łosia. Łoś biegł wzdłuż baraków, dźwigając na grzbiecie ogromnego niedźwiedzia, który wżerał się w jego grzbiet i ryczał zajadle. Chwile życia łosia dobiegały końca. Zwierzę w pewnym momencie, wraz z niedźwiedziem runęło na ziemię. Drogą osiedlową przechodziło w tym czasie dwóch strażników z karabinami na ramionach. Zerwali natychmiast karabiny i oddali kilka strzałów w rzucające się zwierzęta. Strzały okazały się bardzo skuteczne. Zarówno niedźwiedź jak i łoś padły martwe. Wezwano niezwłocznie dowódcę ochrony, który przedarł się przez otaczający zwierzęta tłum i polecił wartownikowi niedźwiedzia obedrzeć ze skóry, skóry dostarczyć do biura, a mięso rozdać ludziom. Zaczęły się spory i przepychanki. W końcu mięso zostało rozdane po odpowiednim zaopatrzeniu strażników, a szkielety wyrzucono na zamarznąłą rzekę, gdzie zleciały się natychmiast stada wron i srok. Był to dzień sytości dla tych, co mięso dostali (bo nie dla wszystkich wystarczyło).

Pewnego dnia w marcu 1940 roku ludzi, którzy pracowali w lesie, skierowano do roboty na rzece. Polecono usunąć drewnianymi łopatami śnieg na długości około 500 metrów i szerokości około 50 m. Miało to być lotnisko dla lądowania samolotu dwupłatowego („kukuruźnika”). W rogach lotniska ułożono duże sterty suchego drewna. Samolot miał lądować w dzień, ale na wszelki wypadek

<sup>3</sup> Bania – rosyjska odmiana sauny. Najważniejszą częścią bani jest pariłka (łaźnia parowa), w której bywa o wiele goręcej niż w fińskiej saunie. Rozgrzewa się tu kamienie w palenisku i chochlą z długą rączką wylewa na nie wodę. Często do wody dodaje się kilka kropli olejku eukaliptusowego lub sosnowego (czasem nawet piwa), a wrząca para roznosi zapach po całym pomieszczeniu. Do rytuału bani należy chłóście się brzozowymi gałązkami. Może wydawać się to dziwne i z pewnością jest bolesne, ale w skutkach przyjemne i oczyszczające. Po „chłóście” brzozowymi wtkami następuje kąpiel w basenie z lodowatą wodą, przed powtórny seans. Stali bywalcy bani odbywają od 5 do dziesięciu takich cykli w czasie 2 godzin.



zorganizowano duże ogniska, mogące naprowadzić samolot na pas w godzinach nocnych. Na drugi dzień samolot spokojnie wylądował. Przywiózł pocztę, sól, cukier, zapalki i inne drobne towary. W tym samym dniu odleciał. Taka dostawa odbywała się co kilka tygodni, gdy warunki atmosferyczne na to pozwalały.

Mróz panował dotkliwy od minus 20 do minus 40°C, ale wyczuwało się, że nadchodzi wiosna. Pod koniec marca zakończono wyrąb drewna przeznaczonego do spławu i wysyłki. Ścinano sosny i modrzewie o średnicy 25-35 cm; przeznaczono je do budowy dalszych baraków obozowych. Wśród zesłańców było kilkunastu mężczyzn, którzy już wcześniej budowali drewniane domy. Pod koniec kwietnia zbudowano 3 baraki. W każdym baraku było 10 pomieszczeń o powierzchni 15 do 25 m<sup>2</sup>. Jedno pomieszczenie służyło jednej rodzinie. Zakwaterowano w nich rodziny zesłańców, którzy przeżyli najcięższe mrozy. Do ogrzewania pomieszczeń zastosowano prostokątne piecyki żeliwne, takie jakie były w istniejących barakach. Wodę noszono z przerębli wykutych w lodzie rzeki lub otrzymywano z topnienia śniegu. Wydawało się, że warunki pobytu ulegną znacznej poprawie. Tak by było, gdyby nie to, że w nowych barakach pojawiła się niezliczona ilość pcheł, pluskiew i wszy.

W pierwszych dniach maja lód na rzece Anie zaczął pękać, kry się ruszyły, nacierały na siebie, piętrzyły się, wydając przy tym hałas jakby strzelano z dział lub zrzucano bomby. Trwało to przez cały dzień i noc. W zakolu rzeki utworzył się zator lodowy, który woda pchała na stromy brzeg tak, że zwalę lodu sięgały 4-5 metrów wysokości. Wraz z lodem na brzegu znalazła się wielka ilość dużych, długości powyżej jednego metra, i mniejszych ryb różnego gatunku, a mianowicie, szczupaków, bielug, sumów i sarog. Ludność zabierała ryby do domów. Stanowiło to pożywienie inne niż polewka z rozgotowanego chleba, ale trwało zaledwie 2-3 dni.

Nadchodziła długo oczekiwana wiosna, choć grubość lodu na rzece wciąż wynosiła 1,5 metra. Syberyjska wiosna i lato są bardzo ciepłe, a niekiedy nawet upalne. Okres wegetacji roślin jest bardzo krótki, a więc musi być intensywny. Polany i zarośla szybko się zazieleniły, temperatura wzrastała każdego dnia, mrozy poszły w zapomnienie. Wraz z nadejściem ciepła przysłała nowa plaga, tj. komary i drobniotkie muszki. Ataki tych owadów były tak gęste i natarczywe, że nie dało się wyjść na dwór bez ochrony twarzy siatką plecioną z końskiego włosia i dodatkowego smarowania siatki „dziegciem” – rzadką smołą wytapianą z kory brzozej. Na rękach noszono płócienne rękawice. Ataki muszek następowały w dni pochmurne i o zmroku, komarów przez całą dobę. W pogodny dzień wybrał się do tajgi na grzyby jeden z zesłańców – Stanisław Piszczak i zapomniał siatki. Po niedługim czasie pogoda się zmieniła, niebo zasłały ciemne deszczowe chmury oraz miliardy muszek i komarów. Człowiek nie mógł się opędzić od nalotu owadów, więc uciekał co sił do obozu. Mimo wszystko muszki wygryzły mu prawe oko i prawe ucho, pozostawiając jedynie chrząstkę. Daje to obraz, jaka groźną sytuację stwarzają chmury muszek i komarów.

Z nastaniem ciepłych dni wystąpiły zachorowania na malarię. Lekarstwem była chinina, której nie brakowało, ale wycieńczone organizmy ludzkie były mało odporne. Nastąpiło znowu kilka zgonów, szczególnie wśród dzieci i osób starszych. Nędzne wyżywienie i wszy wywoływały tyfus. Lekarstw nie było żadnych, więc ludzie umierali „jak muchy”. Z około 200 przywiezionych osób, w marcu pozostało żywych około 110. Zmiana pory roku pociągnęła za

sobą zmianę w pracach leśnych. Kobiety skierowano do „kręcenia łozy”, tj. skręcania uprzednio naporzanej w „bani” wikliny. Po skręcaniu powstawały elastyczne „sznury” służące do wiązania bali drewnianych w tratwy. Długość formowanych tratw wynosiła do 120 m, a szerokość około 20 m. Na przodzie tratwy mocowano dwa potężne wiosła do utrzymania kierunku spływu. Tył tratwy był wyposażony w podobne wiosła. Na środku tratwy stawiano „chatkę” z drewna dla załogi. Na balach przybijano podłogę z dranic i wysypywano 15cm warstwę piasku. Na tak przygotowanym podłożu palono ognisko i gotowano „czaj” i posiłki. Na wszystkich rogach tratwy umocowane były cztery grube liny konopne służące do cumowania tratwy na noc (spływ odbywał się tylko w dzień). Załogę tratwy stanowiło 4 flisaków, jeden z nich był dowódcą. Bale, na których była zbudowana chatka, powiązane były konopnymi linami po to, by w razie burzy załoga mogła się ratować. Mój ojciec Franciszek Wojtyła i wujek (brat mamy) Wojciech Zielonka uczestniczyli w spławie dwa razy. Gdy tratwa na noc przybijała do brzegu, załoga łowiła ryby niedużą siatką. Ryb we wszystkich rzekach było zatrzesienie. Powrót ze spławu odbywał się kutrami motorowymi. Można by więc wyciągnąć wniosek, że narzekanie na wyżywienie było mocno przesadzone – przynajmniej w lecie. Jest to pogląd całkowicie błędny. Polscy zesłańcy nie mogli się nawet zbliżyć do wody z wyjątkiem jej pobierania. Pewnego razu i ja próbowałem łowić ryby na wędkę podobnie jak chłopcy wcześniejszych zesłańców. Po chwili nad wodą znalazł się wartownik, połamał wędkę i wyrzucił do wody. „Nie Izia Polakam” pogroził mi i wygnał do baraku. Tak postępowano ze wszystkimi wędkarzami Polakami.

Od połowy czerwca do jesieni, kiedy ojciec był na spływie, matka pracowała jak inni zesłańcy przy pracach polowych w kolchozie Tanskij Most. Pieszko musieli iść pod konwojem na miejsce pracy, mieszkali w barakach wcześniej wybudowanych. Co dwa tygodnie mogli wrócić do dzieci w Borzowie. Dzieci przez ten czas pozostawały same. Same gotowały polewkę, same sprzątały, same rąbały i znosiły drewno itp. Codziennie do baraku przychodził wartownik sprawdzić, czy podłoga jest zamieciona i myta, czy prycze są pościelone itp. Przybycie rodziców z Tanskiego Mostu było dla dzieci świętem, bo przynosili nie wiadomo jak zaoszczędzone porcje chleba. Nie zawsze jednak tak było. W rodzinie Zielonków zaszło wydarzenie, które tkwi w mej pamięci do dnia dzisiejszego. Gdy przebywaliśmy sami, gotowaliśmy z chleba rodzaj barszczu. Tak samo postępowwała najstarsza wśród dzieci Zielonków 16-letnia Marysia, a młodsi bracia 14-letni Edek i 12-letni Władek czuwali przy garnku aż „zupa” się ugotuje. Zanim się ten „barszcz” zagotował czerpali drewnianymi łyżkami tak, że na koniec nic nie zostawało tego jedzenia. Marysia nie odpędzała braci od garnka, wiedziała, że są bardzo głodni, poświęcała się dla nich. Wychudła, była coraz słabsza. Wreszcie pewnego dnia, kiedy przyszli rodzice, nie wstała już z pryczy. Konała z głodu. Kiedy ojciec podał jej kromkę przyniesionego chleba, wzięła do ręki, ale jeść już nie mogła, jedynie wyszeptwała: „Tatuś, nie mogę” i skonała.

Po zakończeniu prac polowych w kolchozie i prac spławiania drewna rodzice wracali do obozu macierzystego i podejmowali prace przy wyрубie drewna. W lecie można było chodzić na jagody (czarne borówki), borówki brusznice (czerwone i kwaśne) i na grzyby. W żadnym wypadku nie można było zapomniać siatek i rękawic, o czym pisałem wcześniej. Borówki brusznice wsypywano do beczek i zamrażało. Stanowiły potem sałatkę do obiadu.

Jeszcze parę słów na temat łowienia ryb w rzece. „Tubylcy” mogli łowić dowolnym sposobem, tj. na wędkę, ościeniem, wężyczkami itp. Dużymi niewodami mogli łowić jedynie rybacy zawodowi zrzeszeni w spółdzielniach. Mieli oni kutry motorowe, niewody, łódki drewniane, sznury z haczykami itp. W czasie mego pobytu w Borzowie łowiono ryby dwa razy. Dwa kutry wyrzucały niewod, potem ściągały jego końce do brzegu. Końce sieci przymocowywano do drewnianych kołowrotów i ściągano do brzegu. Kołowroty napędzano siłą ludzkich ramion. Skrzypiały, ale ciągnęły sieć. W sieci było mnóstwo ryb różnej wielkości. Były tam sumy długości 3 metrów, bielugi o wadze 50 kg i więcej, 10 kilogramowe szczupaki, sarogi, jesiotry i inne gatunki. Ryby ładowano do ogromnych koszy wiklinowych i dostarczano na kutry. Drobnicę chwyтали chłopcy i dziewczęta i uciekali do swoich baraków. Inny sposób połowu zastosowali „tubylcy”. Wieczorem już o zmroku wypłynęli na rzekę łodzią drewnianą, zabierając mnie ze sobą jako „palacza”. Sposób połowu polegał na tym, że do dziobu łodzi na wysuniętym pręcie stalowym umocowany był kosz metalowy, w którym rozpalano ognisko ze smolnych szczap. Palące się ognisko dawało tyle światła, że widać było ryby – szczupaki stojące w płytkiej wodzie łbami do brzegu. Łódź spływała z prądem sterowana przez jednego z mężczyzn, a stojący w łodzi drugi mężczyzna uderzał trójzębnym ościeniem w grzbiet ryby, ściągał z ostrza i wrzucał do łodzi. Złowił w ten sposób kilka szczupaków powyżej 5 kg. Jednego dał mi za to, że utrzymywałem dobrze ogień w koszu. Ukradkiem dostałem się do baraku. Dwa dni mieliśmy z siostrą wspaniałe jedzenie. Z opowiadań tubylców usłyszeliśmy o zdarzeniu, które miało miejsce w poprzednim roku. Starszy, doświadczony człowiek wybrał się sam na połów sumów ościeniem (było to niespotykane, gdyż zawsze jechało co najmniej dwóch rybaków). Wypłynął przed nastaniem zmroku w górę rzeki, a następnie spływał w dół. Do ościenia miał przymocowaną żyłkę konopną, nową i bardzo mocną, o długości około 15 metrów. Zazwyczaj linka leżała luźno w łodzi aż do czasu, gdy rybak namierzył i skłuł sum ościeniem. Przy dobrym nakłuciu sum nie miał praktycznie możliwości uwolnienia się od ościenia. Ciągnął więc łódkę z rybakim do momentu, gdy opadł z sił i dał się wciągnąć do łodzi. Tym razem upolowany sum był bardzo duży, nawet jak na tutejsze warunki. Mierzył bowiem około 3 metrów i ważył ponad 200 kg. Zazwyczaj łowca trzymał linkę w rękach i gdy widział, że nie da rybie rady, puszczał linkę tracąc ją wraz ze zdobyczą i ościeniem. Tym razem było inaczej. Linka zaplątała się na nogach rybaka. Mimo wysiłków nie zdołał się od niej uwolnić. Sum wyciągnął go z łodzi i ciągnął nadal, aż zmęczony zatrzymał się blisko mielizny, wyciągając na nią martwego już rybaka. Przed wyjazdem mężczyzna powiedział żonie, gdzie się udaje. Rano, gdy nie pojawił się w domu, kobieta powiadomiła komendanta obozu, prosząc o pomoc. Wysłał on czterech ludzi dwiema łodziami na poszukiwania. W godzinach popołudniowych znaleziono martwego rybaka i uwięzianego na linie suma.

Milowymi krokami zbliżała się syberyjska zima. Oczekiwanie na nią nie budziło wielkiego strachu, gdyż zaopatrzone dorosłych w filcowe buty (walonki) oraz watowane spodnie i kufajki. Dano też po dwie pary ocieplanych rękawic. Około 15 października spadł pierwszy śnieg i już nie stopniał do wiosny. Zima była jednak mniej dotkliwa, gdyż temperatura wynosiła minus 25 do minus 35°C. Tylko kilka dni było bardziej mroźnych z temperaturą minus 40°C. Wyżywienie było praktycznie niezmiennione. Wydano jednak po 50 kg ziemia-

ków na jeden miesiąc oraz 5 kg cebuli. Urozmaiciło to znacznie żywność, co z kolei wpływało dodatnio na zdrowie ludzi. Było znacznie mniej zgonów spowodowanych głodem i chorobami. Nie można również pominąć faktu, że poprzedniej zimy i lata umarli przeważnie starcy i dzieci – osoby najslabsze, a ci, którzy przeżyli byli jakby wyselekcjonowani. W opał na zimę każdy mieszkaniec miał się zaopatrzyć sam zwożąc na sankach drewno z lasu i składając je w sztaplach przed wejściem do baraku. Zima przechodziła w miarę spokojnie, dorośli pracowali, a dzieci siedziały w barakach. Szkoły w obozie nie było. Na wiosnę potwarzał się ten sam sposób bytowania – praca w tajdze, przygotowanie drewna do spławiania itd.

22 czerwca 1941 roku o godzinie 4<sup>00</sup> hitlerowskie Niemcy napadły na ZSSR bez wypowiedzenia wojny. Załogę dozorującą nasz obóz zmniejszono do 6 wartowników i 1 dowódcy. Pozostali natychmiast zostali powołani do wojska – na front. Powołano do wojska również zdolnych do służby „tubylców”. W drugiej połowie 1941 roku, z chwilą gdy generał W. Sikorski podpisał z J. Stalinem porozumienie w sprawie utworzenia w Związku Radzieckim armii polskiej pod dowództwem generała Władysława Andersa, umożliwiono Polakom wstępowanie do Wojska Polskiego. Do miejsca formowania polskich jednostek była daleka droga. Skorzystało z tej okazji niewiele osób. Z naszej wsi, z Seńkowa dostały się tam tylko trzy osoby – Karol Więckiewicz, Henryk Więckiewicz i Stanisław Saczyński. Ze zrozumiałych względów wszyscy ludzie chcieli wiedzieć, jak przedstawia się sytuacja na froncie. Jeden starsuszek w Tanskim Moście miał radio detektorowe na słuchawki i wiedział, co się dzieje. Pytany o postępy w wojnie odpowiadał: „Naszi idut w pieriod, a Niemcy za nimi”. Nie mógł przecież powiedzieć, że wojska rosyjskie panicznie uciekały, tracąc w walkach setki tysięcy rannych, zabitych i wziętych do niewoli. Odpryski wojny dotarły i do naszego obozu. Z wojny wróciło dwóch rannych tubylców i nie wiadomo jakim sposobem przeszmyglowali oni dwa granaty przeciwczołgowe. Postanowili za ich pomocą ogłuszyć ryby w rzece. Wybrali się więc z kilkoma kolegami w górę rzeki, około 2 km od obozu. Tutaj do rzeki Any wpadała wąska – około 10 m szerokości, lecz głęboka na 4m rzeczka o nazwie Moskowka. W miejscu, gdzie wpadała do głównej rzeki, wrzucili związane ze sobą granaty. Po kilku sekundach rozległ się straszliwy wybuch. Słysząc go było nawet w obozie, więc dzieci i parę osób dorosłych oraz trzech strażników pobiegło wzdłuż brzegu do miejsca wybuchu. Blisko brzegu płynęły setki ogłuszonych ryb. Sprawcy wybuchu, strażnicy, dorośli i dzieci, każdy według swoich możliwości, rzucili się do wyławiania ryb. Były tam szczupaki, jesiotry, białugi, itp. o wadze kilku kilogramów każda oraz niezliczona ilość „drobnicy” o ciężarze do 2 kg. Te małe ryby wyławiałały dzieci, gromadząc na brzegu znaczne ich ilości. Ogłuszone ryby płynęły z prądem aż do obozu. Większe sztuki dochodziły do siebie i uciekały, małe można było łowić i w obozie. Całe zdarzenie utrzymano w ścisłej tajemnicy, gdyż sprawcom wybuchu groziła kara więzienia. Tak duże rezultaty wybuchu świadczyły o tym, jakie zasoby posiadała rzeka.

W początkach grudnia 1941 roku dotarła do obozu informacja, że Polacy przywiezieni do łagru mogą opuścić obóz i zamieszkać w kolchozach położonych nie dalej jak 100 km od miejsca dotychczasowego pobytu. Przenieść się można było tylko własnym staraniem i na własne ryzyko. Osoby mające rodziny udawały się do kolchozów z prośbą o przyjęcie do pracy i zapewnienie zakwaterowania. Mój ojciec w połowie grudnia udał się pieszo, samotnie w po-

szukiwaniu takiego miejsca. Otrzymał na drogę cztery bochenki chleba i nic więcej. Po kilku dniach dotarł do wsi Turowo położonej 30 km od Abanu. Był tu duży kołchoz, a wieś zaliczana była do tych, gdzie znajdowały się siedziba gminy, komisariat NKWD i duża siedmioklasowa szkoła. Przewodniczący kołchozu Pietro Burin oraz sekretarz partii Wasilij Wołkow wyrazili zgodę na przyjęcie do kołchozu naszej rodziny, głównie dlatego, że ojciec przed wojną nauczył się rymarstwa, tj. szycia uprzęży dla koni, od swego brata Alojzego. Kołchoz miał około 80 sztuk koni. Dla przywiezienia rodziny z Borzowa do Turowa dano do dyspozycji ojca zaprzęg, tj. konia i sanie. Konia przydzielono jednego z najlepszych. Było to zwierzę stosunkowo młode, duże i mniej wychudzone od większości koni kołchozowych. Ojcu dano zaliczkowo 5 bochenków chleba, odpowiednią ilość siana i słomy do wyścielenia sań. W dniu wyjazdu z Turowa pogoda była znakomita, świeciło słońce, temperatura w dzień wynosiła minus 12°C. W ciągu dwóch dni dotarł do Borzowa. Załatwił w kierownictwie obozu formalności związane z wyjazdem. Następnego dnia załadowaliśmy do sań tobołki z pościelą i garnkami, rakiety śnieżne i ruszyliśmy do nowego miejsca pobytu. Niebo było pogodne, temperatura minus 13°C. Podróż przebiegała pomyślnie, droga nie była zawiana. Jednak pod wieczór warunki pogodowe uległy całkowitej zmianie. Zerwał się wiatr, początkowo słaby, lecz jego siła wzrastała w szybkim tempie. Zaczęło kurzyć śniegiem, na drodze tworzyły się zaspasy, przede wszystkim tam, gdzie droga wiodła wśród leśnych polan. Zapadał wczesny zmierzch, robiło się ciemno, koń uparcie parł do przodu, bo był tak nauczony. Jednak po pewnym czasie okazało się, że zasób jego sił się wyczerpuje. Rodzice szli tuż przy saniach, ja i siostra zawinięci w pierzyny jechaliśmy. Wiatr dał coraz silniej, porwany śnieg wznosił się w powietrzu, ciął po twarzy, jakby tysiące igieł wbijało się w skórę. Ciemność nastąpiła zupełna. Koń słabł coraz bardziej, zaczął przystawać, był cały spocony, para buchała z niego, zdawało się, że niedługo padnie i już nie wstanie. W pewnym momencie po wjechaniu na polanę stanął i dyszał ciężko.

Po dłuższym postoju ojciec prosił go, by ruszył dalej, lecz koń stanowczo odmawiał, szarpał się, charczał, lecz dalej iść nie chciał. Okazało się, że koń zboczył z drogi i jesteśmy w otwartym polu. Ojciec rzucił koniowi trochę siana, okrył go kocem i zaczął się naradzać z mamą, co robić dalej. Nocowanie skończyłoby się zamarznięciem lub pożarciem przez wilki. Po chwili rodzice postanowili, że ojciec pójdzie szukać pomocy, a matka z nami pozostanie przy zaprzęgu. Było to jedyne rozsądne wyjście, choć szanse jego powodzenia wynosiły w najlepszym przypadku jak 1:10. Ojciec owinał rękami głowę i twarz, założył rakiety śnieżne na nogi, krzyknął coś na pożegnanie i zniknął w ciemnościach. Minęło około 1,5 godziny gdy w ciemności rozległy się przytłumione wołania i krzyki. Matka i my zaczęliśmy z całej siły wołać pomocy. Po kilkunastu chwilach koło sań stanęło trzech mężczyzn – ojciec i dwaj tubylcy – kołchozowi myśliwi, mieszkający na stałe w chacie na skraju polany. Koń nieco odpoczął, przegryzł i doszedł widać do wniosku, że przy pomocy ludzi potrafi dociągnąć sanie do osady. Myśliwi przymocowali sznurami przyniesione drągi, umożliwiające pchanie sań, jeden krzyknął na konia, który bez zwłoki pociągnął sanie. Przebijaliśmy się przez zwały śniegu, stawali, aby odpocząć i po dwóch godzinach dobiliśmy do osady. Po przybyciu na podwórze natychmiast przeniesiono mnie i siostrę do mieszkania. Byliśmy tak zziębnięci, że o wła-

snych siłach nie mogliśmy się poruszać. W mieszkaniu obok nas – przybyszów – znalazło się natychmiast kilka osób – mieszkańców drugiej części domu. Była szczęśliwa dla nas pora kolacji. Poczęstowano nas mięsem z dziczyzny, ziemniakami w łupinach i nieodłącznym „czajem”. Syci i ogrzani natychmiast zasnęliśmy. Przy budynku – obu jego częściach – wybudowane były dwie stajnie dla krów i świń. Do jednej, tej większej, bo mogły się tam zmieścić nawet dwie krowy, z których jedną sprzedano na rzeź po wezwaniu władzy radzieckiej – „wsio dla fronta” – wprowadzono naszego konia, gdzie mógł się ogrzać i najeść do woli koniczyny. Jak ojciec znalazł naszych wybawców w ciemną, wietrzną noc? W domu, w którym mieszkali myśliwi, w kominku paliło się rześiste ognisko, a światło z niego przenikało przez dwa nieduże okna...

Do świtu burza śnieżna ustała, nadszedł ranek pogodny i jasny, temperatura wzrosła do minus 12°C. Po śniadaniu niespotykanym dotychczas, bo składającym się z chleba, smalcu i gorącego mleka, byliśmy gotowi do dalszej drogi. Myśliwi wyprowadzili nas do zawianej drogi, ale mieliśmy jeszcze do pokonania 25 km. Wczesnym zmercem dotarliśmy do Turowa. W Gminnej radzie dano nam skierowanie do jednego z „tubylców” – wcześniejszego zesłańca, Ukraińca Artymona Mielnikowa, który na przysiółku Turowa mieszkał wraz z synem Mikołajem w dwuizbowym domu. W jednej izbie był zbudowany z cegły glinianej piec piekarski do pieczenia chleba, a jednocześnie do gotowania posiłków. Służyły do tego żeliwne garnki, które wstawiano do pieca przy użyciu specjalnych wideł. Na piecu można było spać – mieściły się tam swobodnie dwie dorosłe osoby. Leżało na nim dużo słomy nakrytej płachtą, było ciepło i miękko. Po kolacji poszliśmy z siostrą spać na piecu za zgodą dziadka Artymona, który z pieca przeniósł się na prycze. Mikołaj, matka i ojciec mieli też prycze z siennikami. Drewniana ścianka oddzielająca pomieszczenie z piecem od drugiej izby nie sięgała do sufitu, a więc ciepło z pieca ogrzewało oba pomieszczenia. Do tego samego komina dobudowany był niewielki kominek, na którym paliło się ognisko oświetlające pomieszczenie. Takie kominki miał każdy dom mieszkalny i biurowy. W porównaniu z barakami w obozie warunki zamieszkania były doskonale, tym bardziej, że nie było tu pcheł i pluskiew. Drugi dzień w Turowie był przeznaczony na urządzenie się i załatwienie formalności związanych z pobytem. Dowiedzieliśmy się, że w kolchozie już przebywają rodziny Fijałkowskich: Stanisław, jego żona Zofia, synowie Franciszek, Jan i Benon „Bimko” oraz córka Helena; rodzina Skotnickich z Seńkowa: Ignacy, żona Zofia, córki Wiktoria i Władysława i syn Zygmunt; rodzina Szymańskich: Wojciech, żona Agnieszka, syn Kazimierz i córka Olga.

W trzecim dniu rodzice poszli do pracy. Matkę skierowano do czyszczenia zboża przy użyciu młynka na korbę. Zboże natychmiast wywożono saniami do Kanska „dla fronta”. Furmani powożący saniami oprócz ubrań watowanych i walonek mieli szuby (kożuchy) z dwóch warstw psich skór, szyte jedną warstwą włosem na zewnątrz, drugą włosem do środka. Szuby były dłuższe od wzrostu noszącego, co przy siedzeniu na saniach skutecznie chroniło nogi przed mrozem. Ojciec zajął się naprawą uprzęży dla koni w budynku „Koniuszni” – obiekcie przeznaczonym do przetrzymywania koni. Na tym terenie oprócz budynków gospodarczych były zbudowane nowe stajnie dla koni.

Stajnie z nieznanych względów stały puste, a konie przebywały na ogrodzonym placu. W stajni trzymano tylko parę zarodową „orłowskiej porody”.

Klacz i ogiera karmiono czystym owsem i dobrym sianem, wyglądały więc jak rasowe konie wyścigowe. Były to konie karej maści, sierść na nich aż lśniła. Pozostałym koniom dawano tylko siano, były chude i smutne. Młodych źrebiąt (do 2 lat) nie zaprzęgano, więc były w dużo lepszym stanie. Pod budynkiem były piwnice dla przechowywania ziemniaków sadzeniaków oraz ziemniaków do spożycia. Przebywanie w „Koniuszni” umożliwiło zabranie paru ziemniaków do kieszeni i przyniesienie do domu na obiad. W marcu 1942 roku zapas ziemniaków wyczerpał się i spowodował w naszej rodzinie prawie głód, gdyż przydział na chleb wynosił tak jak w Borzowie 0,5 kg na osobę dorosłą i 0,3 kg na dziecko.

W niedalekiej odległości 10 km, był kołchoz Słapce, w którym osiedlił się nasz sąsiad z Seńkowa Jan Kudła „młodszy” wraz z żoną Emilią oraz synami Antonim i Marianem (Jan Kudła „starszy” i jego żona Anna zmarli w Borzowie). Pewnego dnia otrzymaliśmy wiadomość od Kudłów, że dostali z kołchozu 3 worki ziemniaków i chcą nam jeden worek podarować, pod warunkiem, że sami go odbierzemy. Mama uzyskała z Rady Gminy zezwolenie na udanie się do Słapiec. Dzień wypadł ciepły minus 7°C i pogodny. Pożyczyliśmy sanki z metalowym koszem do palenia ognia w razie ataku wilków. Oprócz smolnego i suchego drewna zabraliśmy ze sobą dwa worki oraz dwa koce dla zabezpieczenia ziemniaków przed mrozem. Rano wybraliśmy się z matką w tę trudną podróż. Do Słapiec doszliśmy w godzinach popołudniowych, gdyż droga była częściowo zawiana. Po krótkim odpoczynku, wypiciu „czaju” wsypaliśmy ziemniaki do podwójnego worka, owinęli w koce i ułożyli na ściółce ze słomy. Ruszyliśmy w drogę powrotną z trwogą w sercu, że złapie nas noc. O zmroku mieliśmy do pokonania jeszcze około 3 km. Już wydawało się, że dotrzemy bez przygód do domu, gdy w ciemności matka zauważyła świecące ogniki. Były to watahy wilków. Natychmiast rozpaliliśmy ognisko w metalowym koszu. Stado jednak podążało za nami, zbliżając się do nas coraz bardziej. Myśmy z całych sił biegli, a wilki biegły za nami. Gdy zbliżały się na niebezpieczną odległość, rzucałem w nie płonące szczapy. Na chwilę się zatrzymywały, lecz znowu się przybliżały. W ten sposób dotarliśmy do miejsca, z którego było widać światła naszej wsi. W tym momencie wilki zrezygnowały z ataku na nas i już spokojnie dotarliśmy na miejsce.

Nadchodziła wiosna, śnieg topniał gwałtownie, spod śniegu wyrastały kępy traw i syberyjskich kwiatów, drzewa pokrywały pierwsze liście. W kołchozie rozpoczęły się przygotowania do siewów. Naprawiano pługi, brony, wozy. Na częściach pól zaoranych na zimę przystąpiono do siewu zbóż jarych, tj. pszenicy, owsa i jęczmienia. Z Polaków ojciec i Szymański jako byli rolnicy zostali skierowani do tych prac. Pewnego dnia, gdy mieli już iść do domu, zostawili w workach, ojciec około 1,5 kg, a Szymański około 4 kg pszenicy. Z tym zbożem przyszedli do domów. Matka natychmiast wsypała zboże do garnka i wstawiła do pieca, by ugotować. Kilkanaście minut później przed dom zajechała bryczka sekretarza partii i naczelnika NKWD. Rozpoczęła się szczegółowa rewizja. Znalezione oczywiście pszenicę w piecu. Ojca zabrano do siedziby kołchozu, gdzie był już doprowadzony Szymański. Przesłuchiwano ich kilka godzin. Na drugi dzień zebrał się „sąd” i orzekł, że za kradzież mienia państwowego ojca skazuje się na naganę z ostrzeżeniem, a Szymańskiego na rok więzienia. Po trzech miesiącach przyszło zawiadomienie, że Szymański zmarł na wrzody żołądka w kopalni soli na Sachalinie.

Ojciec mój był człowiekiem światłym i odcytanym. Przed wojną był działaczem ludowym. Uczestniczył w zjeździe ludowców raz w Warszawie,

dwa razy we Lwowie. Dlatego też doceniał posiadanie wykształcenia. Niezwłocznie po przybyciu do Turowa zapisał mnie do pierwszej klasy rosyjskiej szkoły podstawowej wiedząc, że każde wykształcenie jest korzystne dla człowieka. Od stycznia 1942 roku uczęszczałem do szkoły i uzyskałem promocję do drugiej klasy, mimo że rozpocząłem naukę cztery miesiące później niż inni uczniowie. Kierownikiem szkoły była Elizawieta Biriukowa, żona sławnego bajanisty<sup>4</sup> Zespołu Pieśni i Tańca Aleksandrowa imienia Armii Czerwonej. Przed wojną Biriukowie mieszkali w Leningradzie. W połowie roku 1942 Aleksander Biriukow był ranny na froncie, nadepnął na minę i urwało mu prawą nogę w kostce. Po zaleczeniu rany został zwolniony z wojska i przybył do żony w Turowie. Uczył w szkole muzyki i śpiewu. Był jedynym artystą w okolicy, brał udział w różnych występach w całej gminie. Cechowała go prostota, miłość do ludzi, a szczególnie do dzieci. Poproszony żeby zagrał na bajanie, nikomu nie odmówił. Grał wszędzie, w szkole, na placu itp., choć był wielkim artystą występującym w zespole Aleksandrowa jeszcze długo po wojnie.

Cały czas mieszkaliśmy u Mielnikowa. Stary Artymon ze względu na wiek nie pracował w kolchozie. Mikołaj – „Kola” musiał pracować, mimo że jeszcze nie ukończył 18 lat. „Dziadzia” Artymon, człowiek bywały w świecie, mimo podeszłego wieku był wesoły i rozmowny. Urodził się i wychował nad Donem w kozackiej stancy. Za zatargi kozaków z władzą radziecką został skazany na zesłanie na Sybir na czas nieokreślony. Opowiadał nam o życiu w stancy, o tym, jak służył w wojsku kozackim. Nauczył mnie śpiewać dumki kozackie. Jedną z nich cytuję:

*Hej tam na polu zińcy żnut*

Hej tam na polu zińcy żnut  
A popid horoju, popid zelenoju kozaki idut

*Hej, a w peredi czereszeńko*

Hej, a w peredi czereszeńko  
Wide swoje wijsko, wijsko zaporiza choroszeńko

*Hej, a za nymi sachajdacznij*

Hej, a za nymi sachajdacznij  
Wide swoje wijsko, wijsko zaporiza neobacznyj  
Hej, hej, hej, kozaki idut

Żona Artymona umarła dawno, zaraz po zesłaniu. Kolę wychowywał sam ojciec. Wpoił mu przekonanie, że Bóg istnieje i kieruje ludzkimi losami. Artymon, mimo że nie chorował, nagle zmarł w maju 1942 roku. Zwłoki do chwili pochówku spoczywały w trumnie na ławie w jego domu. Wieczorem nad trumną modliło się parę kobiet „tubylców”, przeważnie osoby w podeszłym wieku, które jeszcze pamiętały z dzieciństwa modlitwy. Zgromadzili się też Polacy mieszkający w Turowie. Rozległy się polskie pieśni żałobne, odmawiano modlitwy za zmarłych. Pamiętam taki moment, gdy Kola stojąc obok trumny mówił: „Molię Polaki za mojego otca. Ja sowiecki człowiek, nie umiemu molit-sia, no wieriu, czto waszi mołytwy dojdut do Boga”. Mniej więcej za miesiąc od pogrzebu ojca Kola ukończył osiemnaście lat i dostał powołanie do wojska. Jechał w nieznaną, nigdy jeszcze nie jechał pociągiem, ani nie widział lokomotywy. Pożegnał się z nami jak z rodziną, odwiedził sąsiadów; udał się na front i

<sup>4</sup> Bajan – ros., muz. udoskonalona harmonia ręczna (odmiana akordeonu) z klawiaturami guzikowymi dla obu rąk.



ślad po nim zaginął. Dla nas wyjazd Koli na wojnę też miał przykre następstwa. Kazano nam opuścić dom. Przesiedlono nas do domu Nataszy (nazwiska nie pamiętam). Dom był duży, piętrowy, co w tych okolicach było bardzo rzadkie. Mieszkały w nim oprócz gospodyni dwie nauczycielki z tutejszej szkoły. Nam przydzielono pokój na parterze z piecem piekarskim i kominkiem. Pomieszczenie na górze, gdzie mieszkała gospodyni, ogrzewał piecyk żeliwny. Z wyżywieniem było coraz gorzej, chleb wydawano w ilości jak wcześniej, ziemniaków Polacy już nie dostawali, bo wszystkie zostały użyte do sadzenia. Marzeniem nas wszystkich było, by kiedyś najeść się chleba do syta. Były to jednak tylko marzenia... Za poradą „tubylców” zaczęliśmy jeść to, co można było znaleźć w lesie. Na polanach rosły rośliny, które nazywano „saranki”. Miały one stosunkowo wysoką łodygę (około 50 cm), a w ziemi wyrastała bulwa wielkości dużej główki czosnku. Ta bulwa składająca się z ząbków tak jak czosnek, była jadalna. Po ugotowaniu smak był podobny do ziemniaków, lecz nieco słodkawy. Zbierano również szypułki czerwonej koniczyny, suszono, tłuczono w stępie<sup>5</sup> na mąkę, dodawano soli i mieszano z ugotowanymi sarankami. Otrzymaną gęstą masę formowano w placki, takie jak ziemniaczane, i pieczono na patelni w piecu piekarskim. Bardzo „dobrym” dodatkiem były łupiny ziemniaczane. Placki te smakowały nie bardzo, lecz niestety innej możliwości nie było. „Dobra psu mucha jak nie ma chleba okrucza”.

Kołchozowe konie dostawały w lecie tylko trawę. Koszono ją na polanach leśnych i dowożono na „Koniusznię”. Wykonywały to przeważnie kobiety, bo mężczyzn coraz więcej było na wojnie. Młode konie, jeszcze nie zaprzęgane, wypasano na polanach leśnych lub bezpośrednio w tajdze, głównie w nocy. Do pasienia typowano przede wszystkim starców i wyrostków. Konie pędzono w stadzie, potem je pętano powrozami konopnymi. Niektóre konie miały na szyi zawieszony dzwonek „botała”. Pastuchów było zwykle kilku, w tym paru ochotników – powyżej 9 lat. Aby uchronić się od komarów, rozpalano nietypowe ogniska. Bale drewna układano w krąg, pastuchowie sadowali się w środku, a dym ochraniał ich lepiej niż gdyby siedzieli na zewnątrz kręgu. W takich wyprawach za zgodą ojca w pogodne noce brałem udział i ja. Spętane konie nie oddalały się zbyt daleko od ogniska. Pewnego razu jeden młody ogier zaplątał się pętem w korzeń ściętego drzewa i upadł tak niefortunnie, że złamał przednią nogę. Wczesnym rankiem, gdy szykowaliśmy się do pędzenia koni z powrotem do wsi, stwierdziliśmy, że koń ma złamaną nogę. Jeden ze starszych pastuchów osiodłał ujeżdżonego konia i galopem popędził do kołchozu odległego około 2,5 km. Po godzinie wrócił z Burinem – przewodniczącym kołchozu i stajennym brygadzystą. Po obejrzeniu konia stwierdzili, że noga jest złamana w dwóch miejscach. Decyzja była krótka – konia trzeba dobić. Nie namyślając się Burin wyjął z pochwy rewolwer typu „colt” i wystrzelił dwa razy. Koń się rzucał, ale natychmiast skonał. Przewodniczący wyjął długi składany nóż, wyciął szynkę, mięso schował do parcianej torby i odjechał. Wcześniej polecił starszemu pastuchowi, by wraz z jednym z ochotników pilnowali mięsa do czasu przybycia z kołchozu ludzi wyznaczonych do zabrania konia.

<sup>5</sup> Stępa – prymitywne urządzenie służące dawniej do obłuskiwania i kruszenia ziarna na kaszę, składające się z drewnianej lub kamiennej misy oraz drewnianego ubijaka.

W warunkach wojny zapotrzebowanie na różne surowce było ogromne. Zalecono, by kto może (starcy, dzieci) zbierał to, co do zbierania się nadawało, między innymi korę z młodych wierzb, kminek, skórki z drobnych zwierząt futerkowych żyjących dziko w lesie. Dotyczyło to w szczególności burunduków<sup>6</sup> – zwierzątek o wielkości świnki morskiej. Były to gryzonie o popielatym ubarwieniu. Na grzbiecie każdego (samca i samiczki) przebiegało podłużnie pięć czarnych pasków. Futerka tych zwierząt były sprzedawane do Ameryki i innych krajów. Były bardzo drogie i futro z tych skórek stanowiło majątek. Gryzonie te nie liniały na wiosnę, można więc było na nie „polować” przez cały rok. Zajmowały się tym przeważnie dzieci. Kilkoro z kijami w ręku obstawiało leżące w lesie drzewo, jedno czekało, aż po pniu zaczną biegać burunduki. A zaczynały biegać, gdy ktoś zaczynał świstać tak jak czynią to zwierzęta, szczególnie w okresie rui. Myśliwi z kijami rzucali się do ataku i jak dobrze szło, kilka sztuk zostawało zabitych. Działanie to powtarzano wielokrotnie. W ciągu dnia zdarzało się zdobyć kilkanaście i więcej sztuk. Ściąganie skórek mogło być wykonywane tylko przez specjalistów. Natomiast pozyskiwanie kory z młodych wierzb wynikało stąd, że kora niezbędna była przy wyprawianiu wszelkiego rodzaju skór zwierzęcych. Korę ściągano się z drzew rosnących czyli żywych. Drzewo po takiej operacji usychało, lecz cel uświęca środki... Dzieci zbierały także kminek. Duża ilość tych roślin rosła przy polnych drogach. Za wszystkie tego rodzaju zdobycze w punkcie skupu można było otrzymać pieniądze, proch strzelniczy lub garnki żeliwne do gotowania czy kamienne na wodę lub mleko.

W połowie czerwca rozpoczęła się bardzo ważna akcja – sianokosy. Wyżywienie koni wymagało zgromadzenia na zimę ogromnej ilości siana. Koszono je na leśnych polanach, na których nie uprawiano zbóż. Siano kosili wszyscy, którzy umieli kosić kosą – mężczyźni, kobiety i dorastająca młodzież. Skoszone trawy należało przewracać, aby szybko schły i układać w stogi na polanie. Najpierw siano grabiono grabiami, układano w kopki, aby je dokładnie wysuszyć. Później gromadzono w stogach. Do stogów siano dowożono za pomocą „wołokuszy”. Wołokusza jak z samej nazwy wynika jest to coś, co włóczy się po ziemi. Są to dwa drzewka brzozy o średnicy w dłuższym końcu 10 do 12 centymetrów. Układa się je równolegle do siebie w odstępach 1,3 m. Do tych brzózek przywiązuje się w odległości 2,8 do 3 m poprzeczkę grubości około 10 cm. Do tej poprzeczki mocuje się cieńsze i krótsze brzócki. Konia (albo woła) zaprzęga się między dwa dyszle utworzone przez grubsze brzozy. Takim zaprzęgiem kierował „jeździec” (posadzony na koniu 10-letni chłopiec). Podjeżdżał on pod kopkę siana, pracownicy przewracali kopkę na ciągnące się gałęzie brzozy, przywiązywali siano sznurem i można było wlec kopkę pod stóg. Przy stogu odwiązywano sznur, siano przytrzymywano widłami, koń ruszał i siano pozostawało przy stogu. Robotnicy widłami podawali na stóg przywleczone siano. Do budowy stogu potrzeba było od 50 do 80 transportów wołokuszy. Zgromadzone

---

<sup>6</sup> Burunduk (*Eutamias sibiricus*) – ssak z rodziny wiewiórkowatych zamieszkujący lasy północno-wschodniej Europy, wschodniej Azji, Syberii, Mongolii, północnych Chin i Japonii. Długość ciała do 27 cm, ogona do 18 cm. Ubarwienie brunatnoszare, na grzbiecie i bokach podłużne, ciemne pasy z jasnymi obwódkami. Ogon długi, puszysty. Dobrze wspina się na drzewa, jednak przebywa głównie na ziemi, gniazdo buduje w wykopanej przez siebie norze i gromadzi w nim znaczne zapasy pokarmu na okres zimy. Bywa przedmiotem polowań dla pozyskania futra

w stogach siano dowożono do obór i koniuszni – w zimie robiono to saniami. Taki sposób magazynowania siana był dobry, gdy kołchoz posiadał dwa spychacze o mocy 100 koni mechanicznych „Staliniec”. Te spychacze torowały w śniegu drogę do stogów. Konne zaprzęgi mogły wtedy swobodnie dojechać po siano. Tragedia kołchozu polegała na tym, że gdy trwała wojna, części zamiennych do spychaczy nie można było otrzymać. Siano w stogach leżało, spychacze stały, a gruba warstwa śniegu 1,5-2 m nie pozwalała dojechać do stogów. Próbowano przebić się do stogów końmi zarodowymi. Do sań zaprzęgnięto klacz i ogiera i pojechano do stogów. Do kilku udało się dojechać, lecz tam, gdzie śnieg zalegał w zaspach, nie było mowy o przebiciu się. W połowie zimy siana zabrakło. Połowa koni z 80 sztuk padła i została zjedzona przez kołchozników. Inaczej wyglądała sprawa wyżywienia krów, które należały do osób prywatnych. Każdy z posiadaczy kosił siano na małych polankach, układał w kopki, a wieczorami nosił do magazynku przydomowego. Paszy więc wystarczało na całą zimę. W połowie lata dojrzewały już w tajdze orzechy cedrowe.<sup>7</sup> Wspólnie z innymi chłopcami wybieraliśmy się kilkakrotnie po orzechy. Cedry rosły na terenach podmokłych i mocno porośniętych mchami. Jak się po mchach chodziło, to nogi grzęzły do połowy łydki. Orzech cedrowy to szyszka o wielkości dwóch pięści. Łuski szyszki są bardzo duże. Pod każdą łuską znajduje się orzeszek wielkości małego orzeszka laskowego. Całość obłana jest żywicą, tak że wyjęcie orzeszków jest bardzo trudne. Łuski otwierają się jednak, gdy włożymy szyszki do ogniska lub przechowujemy szyszkę w ciepłe aż do zimy. Szyszki cedrowe rosną na drzewie tylko na samym czubku i na gałęziach ostatniego piętra gałęzi. Na jednej końcówce gałęzi wyrasta 3-5 szyszek. Przy zrywaniu szyszek łamało się gałęzie i zrzucało na dół. Jest to niszczycielski sposób pozyskiwania szyszek, bo w następnych latach na tych drzewach szyszki nie urosną.

Wojna toczyła się nadal, z frontu przychodziły coraz częściej powiadomienia o śmierci powołanych do wojska. Co kilka dni na wsi rozlegały się szloch i narzekania żon, dzieci, sąsiadów poległych na froncie. Wracali także z wojny ranni i kalecy. Wujek Nataszy – naszej gospodyni też wrócił okaleczony. Prawą rękę miał przestrzeloną w nadgarstku, krzywo zrośniętą i nie mógł się nią swobodnie posługiwać. Przed wojną był, jak większość tubylców, wytrawnym myśliwym. Miał sztucer na kule, który podczas jego nieobecności wisiał na kilimku przybitym nad jego łóżkiem. Po powrocie z wojny „dziadzia Wania” pieścił swoją ukochaną strzelbę i dążył z całych sił, by mimo kalectwa móc jej używać.

Nadeszła wreszcie pora żniw. Posiane w jesieni żyto, pszenica, owies i jęczmień dojrzewały w oczach. Zboża, z uwagi na lichą uprawę ziemi i brak nawozów, urosły mizernie. Przed wojną koszenie zbóż odbywało się przy użyciu prymitywnych kombajnów i kos. Teraz w kołchozie na 10 kombajnów udało się uruchomić tylko jeden. Do pozostałych brak było części. Ten jeden kombajn kosił powoli i często się psuł. Zaszła więc konieczność powrotu do starych narzędzi żniwnych – kos, a przede wszystkim sierpów. Praca żniwiarzy była bar-

<sup>7</sup> Limba syberyjska, sosna syberyjska (*Pinus cembra subsp. sibirica*, *Pinus sibirica*) – blisko spokrewniona z naszą limbą, sosna występująca na ogromnych połaciach tajgi syberyjskiej. Nazywana niekiedy błędnie cedrem syberyjskim, co wynika z bezpośredniego tłumaczenia nazwy rosyjskiej. Drewno miękkie, cenione w stolarstwie i budownictwie. Nasiona, tzw. orzeszki cedrowe, są masowo zbierane i spożywane na Syberii, produkuje się z nich również olej

dzo ciężka, wykonywały ją kobiety i dorastająca młodzież. Należało się bardzo spieszyć, gdyż jesień zbliżała się milowymi krokami, był to przecież Sybir. Młócenie zboża wykonywano maszynami do młocki napędzanymi lokomotywami. Zboże gromadzono w magazynach („ambarach”), by w zimie, gdy bagna zamarznięte, dostarczyć je saniami do Abanu. Zabieranie zboża w kieszeniach do domu było kategorycznie zakazane, a kary za taką kradzież były bardzo surowe. Przekonał się o tym mój ojciec i Szymański w czasie siewów. Inaczej postępowano przy gromadzeniu na zimę siana i słomy. Zwożono je wozami przy pierwszych przymrozkach w pobliże kołchozu i gromadzono w stogach. Była więc szansa, że przetrwają do wiosny. Tam, gdzie zboża koszone kombajnem, na nawrotach powstawały nieskoshzone kępy. Wraz z matką chodziliśmy wieczorami na pole, zbieraliśmy kłosa, „wycierali” zboże (żyto i pszenicę), przynosiliśmy do domu i chowaliśmy naiwnie w pierzynie między wsepem a poszwą. Zgromadziliśmy w ten sposób około 15 kg ziarna licząc, że w zimie uda się je rozdrobnić w stepie na kasze. Stało się jednak inaczej, bo ktoś powiadomił władzę o tym, że zbieramy kłosa. Pewnego dnia już po zmierzchu zajechała pod nasz dom bryczka z przewodniczącym kołchozu Burinem, szefem NKWD i dwoma milicjantami. Rozpoczęła się rewizja. Bardzo szybko sięgnięto po pierzynę, rozpruto poszwę nożem i wysypano zboże na podłogę. Milicjanci zebrali zboże, rewizję zakończono. Na rodziców padł blady strach. Liczyli się z możliwością „dalszego” zesłania. Jednak Bóg czuwa nad biedakami. Matkę wezwano na posterunek i udzielono nagany z ostrzeżeniem, podobnie jak wcześniej ojcu. Okazuje się, że oprawcy też czasem myślą, gdyż wzięli pod uwagę fakt, że zebrane zboże i tak by uległo zniszczeniu. Udzielona kara miała jednak odstraszyć innych. Po żniwach przysłała pora na wykopki ziemniaków, zbiór kapusty, marchwi i cebuli. Nikt nie odważył się cokolwiek zabierać do domu. Tym, co nie mieli działek przyzagrodowych, przydzielono część zbiorów, przeznaczając je na przetrwanie zimy. Tubylcy mieli pobudowane przy każdej zagrodzie małe chlewiki, gdzie trzymali krowy, świny i kury, oraz niewielkie stodołki na słomę, siano i drewno opałowe. Mieli też przydzielone działki przyzagrodowe (30 arów), na których uprawiali ziemniaki i warzywa. Zboża na tych działkach siać nie było wolno pod karą więzienia. Ziemniaki, jarzyny i kiszoną kapustę przechowywano w piwnicach usytuowanych pod domami mieszkalnymi. Wejście do piwnicy było od środka budynku.

Gdzieś pod koniec roku spotkała nas bardzo miła niespodzianka, podobnie jak inne polskie rodziny zamieszkałe w Turowie. Amerykańskie towarzystwo pomocy UNRA przysłało dla każdej rodziny po dwie paczki. Jedna paczka zawierała części garderoby, jak marynarki, spodnie, płaszcze i bieliznę. Druga paczka była żywnościowa. Była w niej pytlowana (biała) mąka, konserwy z zagęszczonym słodkim mlekiem, rybami (tuńczykami), naturalną kawą z mlekiem. Były też pierniki, ciastka suche i kielbasa salami. Fakt nadejścia paczek rozszedł się lotem błyskawicy. Przychodzili do nas mieszkańcy całej wsi, by zobaczyć, jak wyglądają ubrania robione w fabrykach, ale najbardziej interesował ich smak i wygląd przysłanych darów żywnościowych. Nie można było nikomu odmówić i niewiele nam z tych darów zostało.

W połowie września 1942 roku zaszedł w Turowie nadzwyczajny wypadek, który na długo utkwiał w pamięci mieszkańców. Nikt się nie spodziewał, że do tajgi syberyjskiej przedostaną się zbiegowie z frontu. Wydawało się to wręcz nieprawdopodobne, lecz jak się okazało, było prawdziwe. Pewnego dnia dwaj

oficerowie NKWD przyprowadzili na nocleg do naszego domu rannego w nogę zbiega, czyli dezertera. Był to człowiek w średnim wieku, wysoki, dobrze zbudowany. Czarne włosy miał przyprószone siwizną. W momencie pojmania, zraniono go w nogę. Rana nie była groźna, lecz zbieg wyraźnie kulął na lewą nogę. Oficerowie, którzy go konwojowali, obchodzili się z nim w sposób należyty, a nawet przyjazny. Niedługo przed zmrokiem zbieg poprosił konwojentów, by umożliwili mu wyjście „za potrzebą”. Jeden z oficerów wyprowadził go za stajnię, gdyż ubikacji w podwórzu nie było. Cofnął się na szczyt stajni i czekał. W pewnym momencie uznał, że potrzebny czas minął i poszedł za stajenkę. Zbiega nie było. Natychmiast wezwał swojego kolegę, starszego stopniem oficera. Uzgodnili, że jeden ruszy niezwłocznie w pościg, a drugi powiadomił miejscowy posterunek NKWD i naczelnika kołchozu dla zorganizowania obławy. Dezertter uciekł do tajgi, leżącej tuż za ogrodami. Obława składająca się z oficerów NKWDzistów, kobiet, mężczyzn i dzieci ruszyła natychmiast do lasu. Szanse zbiega były minimalne, las przeczesywało kilkadziesiąt osób, a do nocy było jeszcze co najmniej 1,5 godziny. W pewnym momencie ktoś zauważył leżącego człowieka, który rwał trawę i mech i nakrywał się nimi. Złapali uciekiniera, skuli go w kajdanki i prowadzili do wsi, przeklinając bez przerwy. Kopalni go i bili kolbami karabinów. Kobiety zaczęły protestować na takie zachowanie, krzycząc i wygrażać konwojentom. Przestali go bić, przyprowadzili do domu i położyli na pryczy. Musiał tam leżeć do rana. Z nastaniem dnia przyjechała pod dom furmanka, zabrano jeńca i wywieziono do Abanu. Bardzo nieludzkie obchodzenie się ze zbiegiem po jego ucieczce wynikało stąd, że gdyby nie udało się go pojmać, obaj oficerowie byłiby bez sądu rozstrzelani. Taki obyczaj panował w całej sowieckiej armii.

Wczesną wiosną wrócił z wojny syn przewodniczącego kołchozu Burina, Aleksiej. Na froncie stracił lewą rękę, był jednak ogólnie zdrowy. Wysoki, przystojny, wzbudzał, szczególnie wśród kobiet zachwyt i podziw. Mianowano go na kołchozowego brygadziestę. Do niego należało kierowanie wszystkich pracowników rano do pracy. Dosiadał zarodowego ogiera i jeździł od zagrody do zagrody wołając, że już czas do pracy. W ciągu dnia wizytował poszczególne brygady i w razie potrzeby pędził do roboty. Wszyscy się go bali bardziej niż Burina – ojca. Jego meldunki o złej pracy powodowały kary dyscyplinarne, a nawet więzienie. Upodobał sobie jedną z nauczycielek zamieszkałych w naszym domu. Przebywał u nas wieczorami, prywatnie był miły i wesoły. Opowiadał o pobycie na froncie i w szpitalu, gdy został ranny. A z frontu w dalszym ciągu nadchodziły powiadomienia o śmierci mieszkańców naszej wsi oraz o odniesionych ranach. Za każdym razem wywoływało to płacz krewnych i znajomych.

Jesień to pora siania zbóż zimowych odmian, a w szczególności żyta. W normalnych czasach siewy poprzedzane są orką. Teraz jednak nie było czym orać, a traktory ChTZ na żelaznych kołach sprawne były tylko dwa. Postanowiono wzruszyć ziemię pod zasiewy tylko kultywatorami, co z góry przesądzało o bardzo marnych zbiorach w przyszłe żniwa. W siewach brał również udział mój ojciec, ale nie przyszło mu już do głowy zabieranie ziarna siewnego do domu. Kołchozy syberyjskie były wyposażone w prymitywne narzędzia i sprzęt rolniczy. Na przykład wozy miały koła wykonane z jednego kawałka brzozonego drewna, giętego po naporzaniu w gorącej wodzie. Koła nie miały żelaznych obręczy, osie były z drewna. Całe wozy były drewniane i prymitywne, nietrwałe i często ulegały awariom. Nasz przedwojenny sąsiad, Ignacy Skotnicki był z

zawodu kowalem, a jego brat Władysław kołodziejem. Postanowili oni wraz z miejscowym kołodziejem wykonać wóz taki, jakie były w użytku w Polsce. Ignacy wykonał żelazne osie, obręcze kół i inne okucia. Władysław zrobił wraz pomocnikiem drewniane części wozu. Przez kilka miesięcy pracowali nad swoją konstrukcją. Efekt ich pracy był nadzwyczajny. Wóz pomalowany na czarno dziegiem prezentował się znakomicie. Do wozu z jednym dyszlem (tutejsze wozy miały dwa dyszle) zaprzężono konie zarodowe i przeprowadzono próbną jazdę. Tubylcy nie mogli się nadziwić, że coś takiego potrafili zrobić kowal i kołodziej.

Zima nadeszła szybko jak zwykle. W połowie października spadł pierwszy śnieg, który nie stopniał do wiosny. Tak było każdego roku. Śniegu przez całą zimę tylko przybywało. Ojciec powrócił do swego poprzedniego zajęcia, tj. naprawy uprzęży, matka pracowała przy czyszczeniu zboża, ja wróciłem do szkoły, a siostra, mizerna i chorowita, przebywała w domu. Zmieniło się też miejsce naszego zamieszkania. Z nieznanym nam powodów musieliśmy opuścić dom Nataszy i zamieszkać u „Jegorychy”, wdowy, mieszkającej wraz z córką Lenką w domu o dwóch izbach. Dom był urządzony jak większość tutajszych, z piecem piekarskim, kominkiem i pryzami. Znajdował się na przysiółku gdzie nie było studni. Wodę w lecie i zimie dowoził woziwoda. Nasza gospodyni była kobietą w podeszłym wieku, miłą, czynną i życzliwą. Miała krowę i parę kurek. Mleka po udoju zawsze dawała mojej chorej siostrze. Pewnego dnia dostała list od swojej starszej córki, która mieszkała w mieście Chabrowsk na dalekim wschodzie. Ta pisała w liście, że w mieście panuje niesamowity głód i że przyjedzie niedługo do domu. Przyjechała wkrótce, a matka zamiast się cieszyć, płakała nad nią, bo była spuchnięta z głodu. Sprawdziło się powiedzenie, że „nie ma jak u mamy”.

Zima mijala spokojnie, z frontu nadchodziły lepsze wieści, Armia Czerwona powstrzymała niemieckie wojska i przeszła do ofensywy. Mniej nadchodziło wieści o śmierci bliskich, więcej wracało teraz rannych i chorych. Pod koniec kwietnia 1943 roku „wybuchła” jak co roku syberyjska wiosna. Brzozy, wierzby i czeremcha okryły się wiosennymi liśćmi. Modrzewie okryły się świeżym igliwem. Nie wspominam tu o drzewach owocowych, one na Syberii nie rosną, z uwagi na niskie temperatury. Rozpoczęły się w kolchozie wiosenne prace polowe. Niespodziewanie NKWD podało do wiadomości, że w Sielcach nad Oką generał Zygmunt Berling wraz z Wandą Wasilewską przystąpili do tworzenia Armii Polskiej. Ci, którzy byli zdolni do wojska, a nie poszli do Armii Andersa, dostali powołanie do armii. Mowa, że byli to tylko ochotnicy, jest ordynarnym kłamstwem. Prawie wszyscy posiadali rodziny, żony i dzieci. Nikt nie chciał w tych trudnych czasach opuścić najbliższych, ale każdy już wie, jakie kary groziły opornym. Z naszego kolchozu do wojska powołano: Ignaca Skotnickiego, Henryka Skotnickiego, Adolfa Skotnickiego, Stanisława Fijałkowskiego i jego syna Franciszka. Z kolchozu Słapce poszedł Jan Kudła, a z kolchozu Puszkino – Wojciech Zielonka i Michał Więckiewicz. Mojego ojca do wojska nie powołano, gdyż w 1920 roku w wojnie z bolszewikami został ranny pod Wapniarką (już po bitwie warszawskiej) i od tej pory miał słaby wzrok. „Sławna” bitwa pod Lenino (12-13 października 1943 r.) przyniosła i nam satysfakcję. Nasz sąsiad z Seńkowa, Adolf Skotnicki, mimo że potrójnie ranny, nie opuścił stanowiska bojowego, za co został odznaczony pośmiertnie Orde-

rem Bohatera ZSRR ze złotą gwiazdą. O tym wyczynie pisała cała prasa radziecka. Pod Lenino zginęli też bracia Adolfa Skotnickiego – Ignacy i Henryk oraz Fijałkowsy – Stanisław (ojciec) i Franciszek. Nie wiodło się rodzinie Skotnickich, bo mniej więcej w tym samym czasie zmarła żona Ignacego Zofia. Pozostało, bez opieki dorosłych, troje dzieci – Wisia, Władzia i Zygmunt.

Zimą na przełomie 1943 i 1944 roku zaszło w kolchozie nieznanie Polakom zdarzenie. Jak wcześniej pisałem, stogi siana i słomy stawiano blisko wsi, co ułatwiało karmienie koni. Zresztą tych, uchronionych od śmierci głodowej, było niewiele. Pewnego dnia posiadacze krów wypuścili je jak zwykle na pole. Dwanaście krów oraz jednoroczna jałówka zgromadziły się przy jednym stogu, wydzierając z niego przygarstki siana. W pewnym momencie blisko stogów ukazała się wataha 11 wilków. Próbowaly zaatakować krowy, lecz te widocznie już przeżyły takie ataki. Ustawily się w kręgu rogami na zewnątrz, jałówka schroniła się wewnątrz kręgu. Była tam względnie bezpieczna. Nie wytrzymała jednak nerwowo i przerwawszy krąg wybiegła na zewnątrz. Natychmiast jeden z wilków chwycił ją za ogon. Jałówka zaczęła się obracać w kółko, chcąc pozbyć się wilka, lecz ten wiedział co robi. Gdy zwierzę wykonało kilka obrotów, wilk szarpnął ją w drugą stronę i jałówka upadła. Wilki błyskawicznie rzuciły się na nią. Dwa chwyciły za gardło, pozostałe za nogi i grzbiet. Szanse zwierzęcia na wyrwanie się wilkom zmały do zera. We wsi wszyscy mężczyźni, którzy mieli broń i amunicję (tej często brakowało), pobiegli do stogu. Było już jednak za późno, zwierzę nie żyło i już nie miało wnętrzości. Jednego wilka zastrzelono. Jałówkę przywieziono do wsi. Mięso podzielono „sprawiedliwie”, to znaczy najpierw „naczalstwo”, potem reszta.

I wreszcie przyszedł ten upragniony, wymarzony dzień 20 sierpnia 1944 roku. Wracamy z Sybiru! Front już dotarł na teren Polski. Niemcy stawiali jeszcze opór, ale ogólna ocena była taka, że klęska ich nie minie, tym bardziej, że został utworzony drugi front. Na Niemców nacierali teraz nie tylko Rosjanie, ale Amerykanie, Anglicy, Kanadyjczycy, Francuzi, Polacy i inne pomniejsze państwa. Wojsko polskie to II Korpus generała Andersa, Dywizja Pancerna generała Maczka, Lotnictwo i Marynarka. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że tereny skąd nas wywieziono na Sybir zostaną włączone do ZSSR. Byliśmy przekonani, że wracamy do domu. Wyjazd Polaków na zachód był tak zorganizowany, że miejscowe władze z tych miejscowości, gdzie przebywali zesłańcy, były zobowiązane zapewnić podwozy<sup>8</sup>, by przewieźć ludzi do Abanu. Miały również dać żywność. Jazdę tak zsynchronizowano, by wszyscy, wieczorem 20.08.1944 r. byli gotowi do podróży. Ruszyliśmy rano 21 sierpnia 1944 roku. Cała kolumna samochodów ZIS-5 i MK dotarła do Kanska wieczorem. Samochody podjeżdżały pod wagony, wyładowywano tobołki, skrzynki i ludzi. Powracających było oczywiście dużo mniej od przywiezionych. Z tych, co znaleźliśmy, wracały z nami rodziny: Fijałkowsy, Skotniccy (tylko dzieci), rodzina Gutów, Jasińskich, Kudłów, Kucielów i Wienckowiczów. Nie wiem ile osób wróciło później, nasz bowiem transport był pierwszy, wiozący Polaków z Sybiru. Wagony były towarowe, miały prycze, otwór sanitarny i żelazny piecyk, służący tym razem tylko do gotowania. Drzwi nie były zamknięte! Zagęszczenie podróżnych było mniej-

<sup>8</sup> Podwoda: a) obowiązek dostarczenia przez ludność środka transportu do dyspozycji organu administracji państwowej, także wojska; b) także taki środek transportu wraz z obsługą.

sze niż przy wywóźce. Władze nie interesowały się opałem do piecyków, każdy musiał się o to postarać własnym „pomyślunkiem”. Codziennie dawano chleb według ustalonej normy, w zaokrągleniu do jednego bochenka. Dano też po kilka kilogramów pęczaku na każdą rodzinę, można więc było ugotować kaszy. Na piecyku mieścił się jeden większy garnek lub trzy mniejsze, gotowano więc (gdy pociąg stał) na ogniskach. Nigdy nie było wiadomo, kiedy pociąg ruszy. Często trzeba było wsiadać z surową jeszcze strawą. Gdy pociąg stawał na stacji, a nie w polu (co często się zdarzało), można było nabrać wody lub coś kupić do jedzenia od przekupek, na przykład ziemniaków, cebuli, mleka itp. Zapas gotówki posiadanej przez zesłańców był bardzo mizerny, więc zakupy szybko się skończyły. Pewnego razu mama nie zdążyła wsiąść do pociągu i została z garnkiem na torach. Ojciec natychmiast wyskoczył i z nią został. Następnego dnia dołączyli do nas, jadąc pociągiem osobowym. Ile mieli kłopotów z NKWD, tego się nie da opisać.

Droga ciągnęła się bez końca. Pociąg miał długie postoje, bo pierwszeństwo na torach miały transporty wojskowe, zaopatrzeniowe, przewożące surowce, żywność, uzbrojenie. Obowiązywało hasło „wsio dla fronta”. Ale każda podróż musi się kiedyś skończyć i nasza na razie dobiegła kresu. Jakież było rozczarowanie, gdy okazało się, że Zaporozże to nasz cel, że nie pojedziemy do Polski. Zaporozże to duże miasto, w tym czasie liczyło około 300 tysięcy mieszkańców. Szczyciło się pierwszą wielką budową socjalizmu – pierwszą, dużą elektrownią wodną na Dnieprze – „Dnieproges”. O miasto, a w szczególności o elektrownię, trwały krwawe boje, było wielu rannych i zabitych, zburzone zostały domy, zakłady pracy, mosty i drogi. Nas wysadzono w Zaporozżu, załadowano do ciężarówek i zawieziono do chutoru (osady) Hasanowka (Hasanovka), odległej od miasta około 18 km. Zaporozże leżało wówczas na rozległym stepie, brak tam było w ogóle lasów czy zagajnika, wszędzie rozciągały się równiny, stanowiące żyzne pola uprawne. Step pocięty był polnymi drogami. Drogi obsadzono wszędzie drzewami „abrikosów” – moreli. Owoce były wielkości dużej śliwki, żółte lub beżowe, bardzo słodkie i smaczne. Podstawowe uprawy stanowiły kukurydza, pszenica, buraki cukrowe, słonecznik, kawony, dynie, pomidory i inne jarzyny. Uprawy te zajmowały dziesiątki hektarów. Cztery kilometry od Hasanowki leżało potężne lotnisko myśliwsko-bombowe. Tu lądowały amerykańskie superfortece bombardujące Niemcy. Załogi jeden dzień odpoczywały i leciały znowu na zachód. Bardziej na południowy zachód leżał ogromny sad drzew owocowych – jabłoni, wiśni, moreli, winogron, grusz, morwy, czereśni itp. – razem około 1000 hektarów. Tam gdzie sad, znajdowała się tzw. „Sicz Zaporoska”. Było to miejsce pobytu i zgromadzeń wojsk kozackich, co opisał w „Ogniem i mieczem” Henryk Sienkiewicz.

Nas Polaków, razem było siedemnaście większych i mniejszych rodzin. Z samochodów pozzrucano nasze tobołki prosto na plac i auta odjechały. Na „majdanie” było wybudowanych, już po przejściu frontu, kilka drewnianych baraków mieszkalnych, socjalnych i jeden biurowy z kuchnią dla traktorzystów i innych pracowników. Wzdłuż wiejskiej drogi stały domy mieszkalne i gospodarce tubylców – Ukraińców mieniących się jeszcze „kozakami dnieprzańskimi”. Przynależność do kozactwa podkreślali na każdym kroku. Obok chutoru w odległości około 1,5 km płynęła niewielka rzeczka, w niektórych miejscach głęboka na 4



metry i szeroka 10-15 metrów. W rzece leżały wielkie kamienie o średnicy kilku metrów wystające nad wodę. Stanowiły one „trampoliny” dla kąpiących się.

Rozglądaliśmy się po majdanie zastanawiając się, co mamy robić. Oprócz Polaków na placu znalazło się kilku tubylców – mężczyźni w cywilu, jeden oficer w mundurze w stopniu majora, oraz jedna Ukrainka, śliczna tęga kobieta w młodym wieku. Okazało się, że kobieta to brygadzystka „sowchozu” (po naszymu PGR-u), a oficer to naczelnik sowchozu. Kobieta rozmawiała z naczelnikiem trzymając w ręku dużą kolbę kukurydzy. Nam przez ostatnie dwa dni w pociągu nie dali do jedzenia nic, więc byłem piekielnie głodny. Miałem nawet zamiar podbiec do kobiety i wyrwać kolbę, ale się bałem. Jednak nie wytrzymałem, podszedłem do kobiety i poprosiłem, żeby mi dała tę kolbę – „Jestem strasznie głodny, nie jadłem już dwie doby” – powiedziałem po rosyjsku. Komendant i kobieta patrzyli na mnie jak na wariata, a kobieta też po rosyjsku – „Chłopcze, przecież za twoimi plecami jest 100-hektarowe pole kukurydzy, idź i bierz, ile ci potrzeba”. Ja na to: „On może mnie przecież zastrzelić” – wskazałem na oficera. Oboje z kobietą serdecznie się roześmiali i powtórzyli, że można zbierać, ile się chce. Pobiegłem do naszych i krzyknąłem, że można łamać kolby kukurydzy do woli. Polacy rzucili się w pole i za jakiś czas na ogniskach gotowała się kolacja. Zakwaterowano nas w barakach, każdej rodzinie przydzielono jedno pomieszczenie z czterema pryzkami, na których ułożono sienniki ze słomą. Był też stół, cztery prymitywne taborety i żelazny piecyk z fajerkami. W naszej części baraku zamieszkało sześć rodzin: Kudłów 3 osoby, Zielonków 3 osoby, Gutów 4 osoby, Jasińskich 3 osoby, Wojtyłów 4 osoby, oraz w maleńkiej izdebce pani Duda-Dudzińska, przedwojenna nauczycielka.

Matka została zatrudniona w magazynie zbożowym, gdzie oczyszczano zboże, workowano i wysyłano do Zaporozża wozami, do których zaprzęgano krowy. W kieszeniach kobiety wynosiły pszenicę, na co brygadzysta i naczelnik nie zwracali większej uwagi. Coś z tym ziarnem trzeba było zrobić. Po długich staraniach ojciec zdobył nieduże żarna, co umożliwiło przemiał pszenicy i kukurydzy na mąkę lub kaszę. Razem z otrzymywanym chlebem jedzenia było pod dostatkiem, nie tak jak na Sybirze. Ojciec wraz z innymi sprawnymi mężczyznami tubylcami i Polakami wykonywał koźmi zimową orkę dla wiosennych zasiewów. Na jednym kawałku pola orali – ojciec, 17-letni Janek Fijałkowski i Ukrainiec Pawło Haraszczuk, który ranny wrócił z frontu. Jak wcześniej napisałem, na tych terenach toczyły się krwawe walki z Niemcami. Były nawet pola, gdzie z uwagi na miny, niewypały, pozostawioną amunicję nie prowadzono uprawy, np. „odcinek 112”, gdzie kilkaset hektarów leżało odłogiem. W czasie orki Janek wyorał niemiecki granat w ebonitowej obudowie. Zatrzymał konie i stukając granatem w pługi chciał go rozebrać. Zauważył to Pawło, podszedł do niego, odebrał granat, odkręcił zapalnik i wyrzucił w krzaki tarniny rosnące przy drodze. Na drugi dzień orkę kontynuowali tylko ojciec i Janek. Z samego rana chłopak zostawił konie z pługiem i poszedł w krzaki szukać zapalnika. Ojciec w tym czasie był na drugim końcu pola. Zauważył jednak, co się dzieje, zostawił konie i biegł do niego. Dzielili ich zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy Janek znalazł zapalnik i wkręcił go do granatu. Rozległ się straszliwy huk i Janek upadł. Wybuch było słychać w chutorze i ci, co go słyszeli, pobiegli do oraczy. Janek leżał na ziemi, strasznie krwawił, miał rozszarpaną twarz i piersi, miał wybite oczy i urwaną prawą rękę, lecz jeszcze żył. Naczelnik sowchozu wezwał natychmiast furmankę zaprzęzoną w najszybsze konie i kazał za-

wieź rannego do Zaporozża. Po przejechaniu około 3 kilometrów Janek zmarł. Przywieziono go do Hasanowki, gdzie został pochowany. Była to pierwsza krwawa ofiara wojny wśród zesłańców.

Nadchodziła nieuchronnie zima. W tych okolicach do palenia nie było ani drzewa ani węgla. Palono wszędzie, nawet w piekarni, słomą, badyłami kukurydzy i słonecznika. Każdy musiał sam, na własnych plecach przynieść opał. Powszechnie też do palenia używano burzanów rosnących na nieuprawianych polach. Jest to roślinność stepowa, gdzie indziej nierosnąca przez całą zimę. Troska o zdobycie opału była głównym zajęciem dorosłych i dzieci. Zimy tu były i są ostre, temperatura spada do  $-20^{\circ}\text{C}$ . Szaleją też na stepie silne zawieje i zamiecie śnieżne. Na początku lutego 1945 roku ojciec udał się, za zgodą naczelnika sowchozu do Zaporozża, gdzie został utworzony wojewódzki oddział Związku Patriotów Polskich. Zajmował się on pomocą zesłańcom przebywającym w ZSSR, między innymi pomocą przesyłaną przez „UNRE”. Ojciec załatwił przysyłanie paczek pomocowych, a dla siebie pracę w ZPP w charakterze skarbnika. Musiał na to uzyskać zgodę „oblastnego” – wojewódzkiego NKWD. Taką zgodę otrzymał i pracował tam aż do 1946 roku. W tym czasie do naszego chutoru dostarczono kilka razy paczki z zawartością taką jak na Sybirze.

Kolejnym nieszczęściem, jakie spotkało zesłańców, była śmierć Władzi Skotnickiej. Z rodziny Skotnickich pozostały jak wiemy jedynie dzieci – Wisia 13 lat, Władzia 9 lat i Zygmus 7 lat. Mieszkały same w przydzielonym pomieszczeniu, jedynie od czasu do czasu pomagała im Irena Jasińska, kobieta jeszcze młoda i silna. Do oświetlenia pomieszczeń używano tu powszechnie kaganeków wykonanych z łusek pocisków przeciwlotniczych, długości 35 cm i średnicy 4 cm. Łuska na końcu była sklepana w taki sposób, żeby przez otwór przechodził knot. Z boku łuski, bliżej wylotu knota był wywiercony otwór, przez który wlewano naftę, a w razie gdy nafty brakowało, benzynę. Otwór powinien być zatkaany korkiem. Taki kaganek kopał straszliwie, ale było to jakieś oświetlenie. W pechowym dniu Wisia nałapała do kaganka benzynę i nieszczęśliwie zapomniała zatkać otwór. Kaganek postawiła na półce, gdzie zwykle stał. Wieczorem, gdy Wisia jeszcze nie wróciła z wyprawy po wodę do studni położonej na końcu wsi, Władzia zapaliła kaganek i chciała go postawić na półce. Kaganek wypadł jej z ręki, a benzyna oblała jej sukienkę i zapaliła się. Obecny przy tym Zygmus wybiegł z izby i prosił o ratunek sąsiadów. Przybiegły natychmiast trzy osoby z kocami, ugasiły pożar, ale Władzia była strasznie poparzona. Zawieziona do szpitala w Zaporozżu po dwóch dniach zmarła. Pochowano ją na cmentarzu w Zaporozżu.

Konieczność zbierania opału zmuszała do wejścia na teren pól nieuprawianych, zaminowanych, porytych okopami i schronami. Było to tzw. „wzgórze 112”. Rosły tam burzany wyższe od dorosłego mężczyzny. Ścinało się je motykami, wiązało w wiązki i zносиło do domu. W tych „zaroślach” znajdowało się kopce ziemne o średnicy u dołu około 1,5 metra i wysokości około 1 metra. Pod 15 centymetrową warstwą ziemi były ułożone kłosa pszenicy. Przed bitwą rosła tu pszenica i myszy zgromadziły zapasy na zimę. Z kłosów jednego „myszaka” uzyskiwało się wiadro czystego dorodnego ziarna. Na tym wzgórzu ciągnęły się na dziesiątki metrów okopy zasypane niedbale cienką warstwą ziemi. Okazało się, że pod spodem leżały luźno rzucone zwłoki niemieckich żołnierzy. Czaszki, resztki mundurów i kości wałały się wzdłuż okopów.

W zaroślach burzanów zawianych śniegiem na około 30 cm, widać było tropy zajęcze. Trop zajęczy jest to ścieżka wydeptana przez zająca, biegającego w zimie tam i z powrotem dla utrzymania ciepłoty ciała. Z kuzynem Edkiem Zieloną postanowiliśmy zapolować na zające. Ze znalezionej gładkiej drutu zrobiliśmy wnyki (pętłe) i ustawiliśmy na kilku tropach. Następnego dnia z rana poszliśmy po burzan i by sprawdzić zastawione sidła. Jedna pętla została zerwana, druga też, ale w odległości 2-3 metrów miotał się żywy zając. Na szyi miał pętłę, której drugi koniec zaplątał się na tylnej nodze, nie mógł więc uciekać. Dobiliśmy zająca, umieścili w wiązce burzanu i przynieśliśmy do baraku. Zając był ogromny, tak że połówka przypadająca na każdego z nas był to kawał mięsa. Tym sposobem po zastawieniu sideł z mocniejszego drutu złowiliśmy kilka sztuk. Zdobyczą jednak nie mieliśmy zamiaru się chwalić. Skórki i kości spalaliśmy w piecyku.

Nareszcie przyszła upragniona wiosna, nie trzeba było tyle opału, łatwiej było przynieść wody ze studni z końca wsi. W sowchozie ruszyły prace polowe. Orano, siano, sadzono pomidory, kapustę, kawony itp. Matka codziennie, tak jak i inne kobiety, chodziła do pracy i pracowała do zmroku. Ojciec pracował nadal w Zaporozżu. Co dwa tygodnie przychodził pieszo do chutoru. Czasem przynosił parę konserw rybnych i skondensowanego, słodkiego mleka. Dzieliliśmy się tym z najbliższymi sąsiadami. Pewnego dnia w godzinach przedpołudniowych nad chutorem rozległ się straszny ryk samolotu – superfortecy, który wystartował z lotniska. Przeloty samolotu nad wsią nie były czymś nadzwyczajnym, lecz tak nisko, tuż nad dachami żaden samolot nie leciał, a tym bardziej tak potężna maszyna. Dym ciągnący się za samolotem świadczył o tym, że coś się musiało stać. I stało się, samolot przeleciał jeszcze około 1,5 kilometra i runął na ziemię. Nastąpił wybuch, buchnęły płomienie, a części z bombowca doleciały nawet do wsi. Chłopcy z całej osady bez namysłu rzucili się do miejsca upadku samolotu. Przybiegliśmy tym razem z dwoma gazikami wojskowymi, które zdążyły z lotniska. Z załogi forticy znaleźliśmy tylko przedramię człowieka i kawałek skóry z głowy o rudych włosach. Przybyli z lotniska oficerowie – dwóch rosyjskich i dwóch amerykańskich przepędzili nas z miejsca zdarzenia. Przybyły również dwa samochody z wojskiem rosyjskim, otoczono teren i nikogo nie wpuszczano.

I wreszcie nadeszły z frontu dawno oczekiwane wiadomości – wojna się skończyła. 9 maja 1945 roku Niemcy podpisały kapitulację zarówno na froncie wschodnim jak i zachodnim. Co znaczył koniec wojny dla Polaków i Rosjan trudno odpowiedzieć. Ale sam dzień 9 maja był dniem radości, szczęścia i samoistnym świętem. Z lotniska do chutoru spieszyły grupy lotników, oficerów i podoficerów rosyjskich i amerykańskich, którzy dwa dni wcześniej przylecieli po bomby. Byli wśród nich muzycy, śpiewacy, tancerze. Rozpoczęły się tańce z kobietami z okolicznych wiosek. Tańce, gościna i śpiewy trwały do rana. Litry szampana, bimbru i wódki łąły się w czasie całej biesiady. Po dwóch dniach świętowanie zakończyło się i nadeszły szare dni. Z lotniska odleciały wszystkie samoloty zagraniczne. A szum przy tym nad wsią był niesamowity!

Polacy – zesłańcy nabrali pewności, że powrót do Polski nastąpi bardzo szybko. Jednak w Związku Patriotów Polskich nikt nie ukrywał, że powrót do kraju jest zależny tylko od władz radzieckich, a te na razie mają inne problemy do załatwienia. Trzeba było cierpliwie czekać. Jeszcze w zimie 1944/1945 oj-

ciec uzgodnił z panią Duda-Dudzińską, która była przed wojną nauczycielką w gimnazjum, że będzie ona w tajemnicy przed władzami radzieckimi nauczać polskie dzieci języka polskiego. Zbieraliśmy się wieczorami za każdym razem u innej rodziny i uczyli czytać i pisać po polsku. Ci, którzy przed wojną chodzili już do szkoły, mieli zadanie ułatwione, a tacy jak ja zaczynali wszystko od początku. Pani Dudzińska opowiadała nam dużo o dziejach Polski, o czasach chwały polskiego oręża. Sama interesowała się wojskowością chociażby z tego względu, że mężem jej był przedwojenny kapitan kawalerii Zygmunt Duda-Dudziński. Został on powołany do I Dywizji Wojska Polskiego i brał udział w bitwie pod Lenino, gdzie wyróżnił się w boju, zasługując na odznaczenie. Docenili to nawet dowódcy rosyjscy, przedstawiając go do odznaczenia „Orderem Suworowa”. Publiczne nadanie odznaczeń odbywało się przed frontem pułku. Wywołany do odznaczenia Duda-Dudziński odmówił przyjęcia odznaczenia, oświadczając na głos: „Nie będę nosił odznaczenia generała, który doprowadził do rzezi polskich dzieci na Pradze w czasie Powstania Kościuszkowskiego w 1794 roku”. W tym samym dniu kapitana Duda-Dudzińskiego wywieziono z pułku i ślad po nim zaginął. O tym wydarzeniu opowiadał mój wujek Wojciech Zielonka, który służył w tym samym pułku.

Nadeszło wreszcie stepowe lato. Dni były słoneczne, upały dawały się wszystkim we znaki. Po dniach upalnych następowały chwile ulgi i odprężenia. Ni stąd ni zowąd na niebie pojawiały się czarne chmury, zrywał się piekielny wiatr i lało jak z cebra. Po kilkunastu minutach deszcz nagle ustawał, na niebo wychodziło znowu słońce. Rowami, drogami płynęły strugi ciepłej wody. Dzieci miały niesamowitą zabawę. Ulewie towarzyszyły nieustanne gromy i błyskawice, które rozlegały się coraz dalej, a na niebie pojawiała się przepiękna tęcza. W upalne dni podstawową rozrywką dzieci, a także dorosłych była kąpiel w rzece Moskowce przebiegającej około 1,5 kilometra od chutoru Hasanowka. Rzeczka była wąska – miała około 15 metrów szerokości, lecz w niektórych miejscach głębokość dochodziła do 4 metrów. W rzece łowiono wiele ryb, nie dużych – do 40 cm i ogromne ilości raków. Raki były bardzo duże, dochodzące do 35 cm długości. Łowiono je ręcznie, szukając dziur w brzegu poniżej zwierciadła wody. W tych otworach można było się natknąć na żmije wodne. Były jadowite i agresywne, owijały się dookoła ręki. Trzeba było zdjąć żmiję nie wyjmując ręki z wody, inaczej żmija gryzła a ukąszenia były często śmiertelne. Łowienie ryb i raków było dozwolone z wyjątkiem połowu siecią. Inną rozrywką dla dzieci i młodzieży były wyprawy do kina na lotnisku, tym bardziej, że wpuszczano je za darmo. Filmy wyświetlano 3 razy w tygodniu. Dzieci dobrowolnie zatrudniano przy zwalczaniu szkodników polnych, a w szczególności susłów stepowych.<sup>9</sup> Są to gryzonie wielkości średniego kota domowego, koloru

<sup>9</sup> Susel moregowany – ssak zaliczany do rodziny wiewiórkowatych. Jest to gryzoń wielkości szczura. Ciało jego ma długość 20-23 cm, a ogon – 5,5-8 cm. Zamieszkuje tereny bezleśne, głównie pastwiska, nieużytki i pola. Jest aktywny w ciągu dnia. Zamieszkuje głębokie nory, które różnią się od króliczych tym, że przed norami susłów nigdy nie ma wykopanej ziemi, zwierzęta wynoszą ją bowiem w torbach policzkowych i wyrzucają w oddalonych miejscach. Nory mają bardzo skomplikowaną budowę: jest to system długich chodników kończących się komorą mieszkalną, w której znajduje się dobrze wymoszczone gniazdo. W miejscu tym susły zarówno przesypiają noc w okresie aktywności wiosenno-letniej, jak i zapadają w głęboki sen zimowy, który zwykle trwa

kości słoniowej. Susły żyją pod ziemią; drażą komorę łęgową oraz kilka otworów prowadzących na zewnątrz. Żywią się roślinami, na przykład pszenicą, burakami cukrowymi czy pastewnymi, kawonami itp. Tu też zakładają gniazda. W kołchozie szczególne szkody wyrządzały w burakach cukrowych. Małe rośliny zjadały w całości, gdy buraki wyrosły, nadgryzały bardzo dużą ich ilość. Walka z susłami polegała na tym, że do jednego otworu wlewało się dużo wody, tak żeby gniazdo i korytarze wypełniły się wodą. Chłopcy z porządnymi kijami obstawiali przyległe otwory, przy każdym po dwóch. Suseł, by się nie utopił, wyskakiwał z otworu, wtedy ogłuszaliśmy go kijami. Wodę dowożono w beczkowozach ciągnionych przez krowy. Przy tej pracy można było zarobić parę rubli na drobne wydatki na bazarze, na przykład bułki.

Wczesnym latem rozpoczynały się wyprawy do „Siczy”. Tysiąc hektarów sadu dawało możliwość zdobycia (nielegalnie) wszelkiego rodzaju owoców. Pod koniec czerwca nadchodził „sezon” na czereśnie, potem na wiśnie, wczesne jabłka, śliwki, gruszki, winogrona itp. Sad był pilnowany przez strażników na koniach, uzbrojonych w szable i karabiny. Patrole poruszały się drogami otaczającymi sad. Ogrodzenie sadu stanowił żywopłot akacjowy tak gęsty, że można go było pokonać tylko pełzając na brzuchu. We wnętrzu sadu byli również strażnicy poruszający się pieszo. Nasze wyprawy po owoce organizował 15-letni Ukrainiec Pawło Pałenko, który uczył się w gimnazjum we wsi Natalewka, położonej w odległości 4 km od Hasanowki. Do swojego „oddziału” zaangażował samych Polaków. Należeli do zespołu: Pawło Pałenko, Bimko Fijałkowski, Władek Zielonka i Romek Wojtyło. Na wyprawy chodziliśmy mniej więcej dwa razy w tygodniu. Zawsze nam się udawało zmylić strażników i przynieść немало owoców. Bez jakichkolwiek ograniczeń mogli wynosić z sadu (dla własnych potrzeb) piloci rosyjscy, amerykańscy i francuscy, przebywający na wojskowym lotnisku. W czasie lata i jesieni moja mama zgromadziła pełny worek suszonych jabłek, gruszek i śliwek, które przywieźliśmy do Polski. W połowie lata nadchodził czas wypraw na „basztan” – kilka hektarów pola, na którym zasadzono kawony, dynie jadalne na surowo, pomidory bezpalikowe i inne warzywa. Na te wyprawy chodziliśmy późnym wieczorem, gdyż w dzień w niskich warzywach każdy był widoczny. Były jednak i dłuższe wyprawy.

W okresie żniw wymłócone zboże sypano na ziemi w ogromne przyzmy bez żadnego przykrycia. Zboże narażone było na opady deszczu, ale nie było innego wyjścia, gdyż zbudowane przed wojną „ambary” – magazyny były zbyt małe. Przyzmy zboża były strzeżone przez uzbrojonych wartowników, przeważnie ludzi starszych lub kalekich, którzy wrócili z frontu. Nieznane były jednak przypadki, aby wartownicy kogoś aresztowali lub zranili. A były ku temu powody. Jeszcze gdy trwała wojna, ale front doszedł za Wisłę, w Zaporozżu i innych miastach powstawały bazy – targowiska, na których handlowano żywnością, odzieżą i czym się dało. Przeważał handel wymienny. Za wiadro pszenicy, słonecznika czy kukurydzy można było dostać spodnie, koszulę, marynarkę, czy inną część garderoby. Ci, którzy mogli unieść wiadro ww. produktów, nieśli

aż 7 miesięcy (stał popularne powiedzenie: „śpi jak suseł”). Zdarza się również, że w czasie długotrwałej suszy i podczas upalnego lata susły zapadają w krótki sen letni i pojawiają się ponownie dopiero jesienią, by po kilku tygodniach ponownie zasnąć, tym razem już na zimę. Pożywienie susła stanowią głównie zielone rośliny, bulwy, nasiona, jagody oraz owady, myszy i ptasie jaja.

je na bazar ze swego sowchozu, ale byli i tacy, co podbierali zboże z przyzmy położonych bliżej Zaporozża, by tak daleko nie dźwigać. Gdy kradziono ziarno, dozorczy przechodzili na drugą stronę przyzmy, by nie widzieć, co tam się dzieje. Z Sybiru wróciliśmy wszyscy ubrani w odzież szytą z płótna zgrzebnego ufarbowanego na brązowo korą modrzewiową. „Handlując” zbożem zaopatrzyłem matkę, siostrę i siebie w jakie takie odzienie i obuwie. Ojciec jako urzędnik Związku Patriotów Polskich tam otrzymał porządne ubranie z UNRY.

Czas zbioru słonecznika był momentem, kiedy zaopatrywaliśmy się w olej słonecznikowy. Wyruszyliśmy w nocy na pola obsiane słonecznikiem, a było tego kilkadziesiąt hektarów, rozścielaliśmy płachty, znosili głowy słonecznika i młóciliśmy. Wydawało się nam, że naszej stukaniny nikt nie słyszy. Było jednak inaczej. Pewnej nocy wybraliśmy się z kuzynem Edkiem po słonecznik. Weszliśmy w pole położone blisko Siczy. Już mieliśmy co najmniej dwa wiadra ziarna, gdy rozległ się blisko nas trzask łamanych badyli i tętent konia. Przywarliśmy do ziemi myśląc, że strażnik nas nie znajdzie, ale się omyliliśmy. Strażnik pilnował sadu, lecz usłyszał nasze stukanie, podjechał i stanął za nami. „No, tym razem nas aresztują i poślą do poprawczaka...” Nic takiego jednak się nie stało. Strażnik zsiadł z konia, sprawdził, ile mamy ziarna, wyciągnął spod bluzy pusty worek. Kazał ziarno wsypać do worka, worek przytroczył do siodła, siadł na konia i odjechał życząc nam „powodzenia w pracy”. Ziarno słonecznikowe wymienialiśmy na olej we wsi Natalewka, gdzie działała tłocznia oleju. Nikt nikogo nie pytał, skąd ma ziarno.

Oprócz zajęć, które przynosiły korzyść całej rodzinie, zajmowaliśmy się często szkodliwymi rzeczami. Na przykład rzucaniem granatami do kamieniołomu... Za odcinkiem 112-tym znajdował się zespół nieczynnych kamieniołomów wypełnionych wodą. Od krawędzi do zwierciadła wody było około 20m metrów, a głębokość wody sięgała 15 metrów. Jak wcześniej napisałem, był to teren nieuprawianej ziemi ze względu na pozostałości amunicji, granatów, min przeciwpiechotnych i innego uzbrojenia. Na tym polu znajdowaliśmy granaty obronne, zaczepne i przeciwpancerne. Chłopcy wrzucali je do kamieniołomów, gdzie wybuchały i głużyły ryby – sumiki kanadyjskie z ośmioma wąsami. Ryby te były karłowate i nie dłuższe niż 40 cm. Po ogłuszeniu wypływały na powierzchnię i można było je wylawiać. Sztuka rzucania granatem polegała na tym, że po wyjęciu zawleczonego granatu niezwłocznie rzucić. W innym przypadku wybuch nastąpi w rękę, co jest równoznaczne z natychmiastową śmiercią. Tak zginął nasz kolega Ukrainiec Wiktor Garnowski, wychowanek domu dziecka z Zaporozża, pracujący w lesie w naszym sowchozie. Innym nieszczęśliwym wypadkiem była śmierć sześciu chłopców, w tym dwóch Polaków, przy rozbijaniu pocisków artyleryjskich. Chłopcy w wieku od 9 do 13 lat niedaleko naszego osiedla rozbili sześć pocisków 76 mm. Przy przecinaniu kolejnego nastąpił wybuch. Był tak mocny, że szczątki rozerwanych doleciały aż do chutoru. Bawienie się amunicją było rzeczą powszechną i nikt nie zwracał na to uwagi. Wiadomość o rozerwaniu sześciu malców dotarła do zaporoskiego NKWD. Pewnego wieczoru, tuż po zmierzchu zebraliśmy się na pobliskim placu, rozpaliliśmy ognisko i strzelaliśmy amunicją karabinową. Nagle ze wszystkich stron otoczyli nas żołnierze i oficerowie z długimi wierzbowymi kijami i bili wszystkich zgromadzonych. Części z nas udało się uciec, ale większość tak oberwała, że musieliśmy przez kilka dni leżeć w łóżku. Od tej pory zaprzestano strzelaniny w sposób zbiorowy. Zdarzały się jednak pojedyncze wypadki. Ta-

kim był pożar baraku biurowego. W tym baraku mieściło się biuro sowchozu, hotelik dla traktorzystów, stołówka, kuchnia i inne pomieszczenia gospodarcze. W pomieszczeniu obok kuchni zgromadzono dużą ilość słomy i burzanu do palenia. Dwóch chłopców strzelało z procy pociskami zapalającymi od przeciwlotniczych karabinów maszynowych. W procy jedna z gum się urwała i pocisk wpadł niespodziewanie przez okno do pomieszczenia z opalem. Nastąpił natychmiast ogromny pożar. Gaszenie przy pomocy wiader nic nie dało i barak spalił się doszczętnie. Przeprowadzone przez NKWD dochodzenie nie ustaliło sprawców pożaru, ale błąd strach ogarnął wszystkich i strzelaniny ustały.

Nadchodziła jesień. Ludzie zbierali gdzie się dało opał na zimę, słomę, badyle kukurydzy, słonecznika i burzanu. Należy podkreślić niesłuchaną uczciwość mieszkańców, którzy pod żadnym pozorem nie brali cudzego opału. Do chutoru wracali ciągle ludzie z wojska, którzy zajmowali się pracą w sowchozie, ale nie stronili od polowań na zające, co pozbawiło nas możliwości polowań zająć w sidła. Łowy zresztą były możliwe dopiero po opadach śniegu, a te jeszcze nie nastąpiły mimo wystąpienia przymrozków nawet w dzień.

Z Zaporozża coraz częściej dochodziły wieści o organizowaniu przez Związek Patriotów Polskich powrotu zesłańców do Polski. Wtedy dowiedzieliśmy się, że dawne Kresy Wschodnie zajęte przez Związek radziecki po 17 września 1939 roku nie będą należały do Polski, lecz zostaną wcielone do Związku Radzieckiego. Zesłańców z Syberii miano osiedlić na Ziemiach Odzyskanych sięgających od Nysy Łużyckiej, Odry na zachodzie, a do Morza Bałtyckiego na północy. Wywołało to wśród Polaków rozczarowanie i gorycz zmieszaną z radością, że mimo wszystko będziemy żyć we własnym kraju. Nadszedł wreszcie ten dzień 17 lutego 1946 roku, oczekiwany od sześciu lat, kiedy to zawieziono nas na stację kolejową w Zaporozżu, załadowano do bydłowych wagonów wyposażonych tak jak poprzednio. Rosyjskie władze bardzo dokładnie sprawdzały, czy z zesłańcami nie zabierali się do Polski obywatele rosyjscy. Chętnych nie brakowało, lecz było to praktycznie niemożliwe. Po przekroczeniu nowej granicy Polski byliśmy już pewni, że znajdujemy się na terytorium polskiego kraju. Był to pierwszy transport z zesłańcami wracającymi z Syberii.

Podróż naszej rodziny i rodziny Zielonków zakończyła się w Tarnowie. To z terenów województwa krakowskiego pochodzili moi rodzice. To stamtąd wyjechali na wschód do województwa tarnopolskiego za tańszą ziemią, co doprowadziło do zesłania na Syberię. W okolicach Tarnowa – Zalipiu i Samociach przebywaliśmy u krewnych ojca do pierwszych dni marca 1946 roku, a następnie osiedliliśmy się na tzw. Ziemiach Zachodnich, ale to już całkiem inna opowieść.

## KRONIKA

### PRZEZ TUNDRE I TAJGĘ – CZYLI O WĘDRÓWKACH WIESŁAWA KRAWCZYŃSKIEGO PO SOWIECKICH ŁAGRACH

Dzieciństwo i młodość spędzone w otoczeniu przyrody w zamożnym domu dyrektora lasów ordynacji łańcuckiej, wczesne lata dojrzałości w wędrówkach po dalekich krajach, jubileusz 90-lecia w gronie przyjaciół, którzy z tej okazji obdarowali go wydrukowaną w tajemnicy przed nim książką z jego własnymi wspomnieniami. O ile do tego dodamy szczęśliwe małżeństwo, dziś syna na stanowisku rektora uczelni muzycznej, parę wydanych tomików wierszy – wszystko to razem mogłoby być materiałem na opis udanego życia zamożnego inteligenta europejskiego. Ale Europejczyka zachodniego, nie z kraju, który lubią odwiedzać nieproszeni sąsiedzi. Sąsiedzi, którzy niszczą kulturę, zagarniają ziemię, a jej mieszkańców wywożą – jedni do niemieckich obozów koncentracyjnych, drudzy do sowieckich łagrów. Szczęśliwa młodość skończyła się w 1939 roku, a okładka książki, przedstawiająca brnącą przez śnieżne zapy zakutą postać, wyraźnie wskazuje w jakich to krajach i jak Autor spędzał lata swych wędrówek. Wiesław Krawczyński na tej ilustracji przyciska do piersi skrzypce, instrument, dzięki któremu przeżył łagry syberyjskie.

W chwili wybuchu wojny Wiesław mieszkał we Lwowie, tam poznał najpierw okupację sowiecką, następnie niemiecką, podczas której, aby mieć z czego żyć, a zarazem, aby mieć dokumenty zabezpieczające przed wywózką na roboty do Niemiec, miał się różnych zajęć, z których najważniejszym było karmienie swoją krwią wszy w instytucie polskiego profesora Rudolfa Weigla, prowadzącego badania nad szczepionką przeciw tyfusowi plamistemu. Oczywiście Wiesław był też żołnierzem Armii Krajowej, w której pełnił funkcję dowódcy drużyny. Mogłoby wydawać się, że ponowna okupacja sowiecka wprowadzi nieco normalniejszą sytuację, zaczęto otwierać szkoły, Krawczyński zapisuje się na politechnikę. Jednak nie zaprzestaje służby w AK. Gdy wpada w ręce rosyjskie jeden z jego podwładnych, wkrótce NKWD aresztuje też jego. Okazał się mocnym człowiekiem – mimo rocznego śledztwa połączonego z torturami do niczego się nie przyznał, zmęczeni jego postawą śledczy nieraz mówili do niego „polskaja swołocz”, czasem zaś – chyba z pewnym mimowolnym podziwem – „pan Piłsudskij”. Niczego mu nie udowodniono, ale mimo to został skazany na 10 lat łagrów.

Potem zaczął się „normalny” żywot łagiernika na dalekim Sybirze, którego piękna przyroda mimo wszystko zachwycała zesłańca – wychowanka polskich lasów. Przerzucanie z obozu do obozu, praca ponad siły przy wyrębie drzew, ciągły głód. Miał jednak szczęście – ponieważ kiedyś grał w szkolnej orkiestrze, przy rejestracji podał jako swój zawód „muzyk” i przez łagiernika, kiedyś dyrektora filharmonii w Odessie, którego babka była Polką, kierującego muzycznym zespołem obozowym dającym koncerty w dni wolne od pracy, a



potem występującym nawet poza obozem dla mieszkańców sąsiednich osad, został wciągnięty do tej pracy. Nie zwalniało to wprawdzie od prac obozowych – ale artystów kierowano do prac lżejszych, a ponadto dawano im lepsze warunki mieszkaniowe i – o najważniejsze – nieco lepsze wyżywienie.

Wywiad Armii Krajowej też nie zapominał o AK-owcach wywiezionych na Syberię i po ustaleniu ich miejsc pobytu, za pośrednictwem mieszkających we Lwowie dziewcząt, które zgłaszały się jako „siostry” deportowanych, nawiązywał z nimi łączność, przysyłając żywność i odzież.

Ponieważ praca za kołem podbiegunowym liczyła się potrójnie – Wiesław oczekiwał, że w 1954 r. powróci do kraju. Jednakże zamiast tego został skazany, tym razem już bez jakiegokolwiek „procesu”, na dożywotnie zesłanie do Kraju Krasnojarskiego. Tam żył już w warunkach – jak na Sowiety – prawie wolnościowych, kierując domem kultury i zarazem ciężko pracując przy zbiorze żywności. Samotne życie skończyło się, gdy wśród podobnych osiedleńców należących do kilkunastu narodowości, poznał Litwinkę, Aldonę Paulauską, zakłada rodzinę i w końcu grudnia 1955 r., z żoną i małym synem wraca do Polski. Oczywiście – do Krakowa, Lwów pozostał bowiem za kordonem.

Mijały lata, Krawczyński działał w związkach AK-owskich i sybirackich, doczekał się wnuków, a 19 maja 2009 r. w dniu jego 90. urodzin grono jego przyjaciół po Mszy św. odprawionej z tej okazji przekazało mu pierwszy egzemplarz wydanych w tajemnicy przed nim przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze w serii „Biblioteki Zesłańca” tomu jego wspomnień pt. *Przez tundrę i tajgę po sowieckich łagrach*.

W kilka dni później, 20 czerwca 2009 r. w Muzeum Armii Krajowej w Krakowie (była to chyba najważniejsza instytucja dla tej promocji) odbyła się promocja wspomnień Krawczyńskiego. Zebrali się zarówno liczni przyjaciele Autora jak i osoby zainteresowane jedynie tematyką, dyskusję nad książką prowadził prof. dr hab. Tomasz Gąsowski, sam Krawczyński przemawiał bardzo wzruszony, a potem aktor Wojciech Habela, czytał fragmenty książki. W przerwach czytania – Jan Kowalczyk i Ziemowit Pawlisz wykonali wiankę pieśni patriotycznych.

Wszyscy chcieli książkę zakupić, pytali się o jej cenę – Krawczyński jednakże stwierdził że jest to pozycja bezcenna, wobec czego obecni na promocji dostali ją w prezencie, oczywiście z dedykacją Autora. Były kwiaty, rozmowy z Autorem przy lampce wina, tylko nikt mu nie śpiewał tradycyjnych 100 lat – stwierdziliśmy, że przy jego życiorysie, postawie i humorze należy mu się co najmniej 120!

*Janusz Kamocki*

- **W HOLDZIE ZESŁAŃCOM SYBIRU.  
TABLICA PAMIĄTKOWA W KRAKOWIE**

Siedemdziesiąt lat temu, 17 września 1939 r. Armia Czerwona zajęła Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej, co było dla Polski przysłowiowym „nożem w plecy”, bowiem wcześniej tj. 1 września hitlerowskie Niemcy dokonały agresji na nasz kraj. Właśnie we wrześniu każdego roku odbywają się liczne uroczystości rocznicowe poświęcone tym tragicznym w naszych dziejach wydarze-

niom będące żywym potwierdzeniem zbrodni jakiej dopuścili się niemieccy naziści i sowieccy komuniści.

Dzień 17 września ustanowiony został Dniem Sybiraka i właśnie w tym dniu odbywa się wiele rocznicowych spotkań sybiraków, którzy przeżyli zesłanie. W Krakowie tegoroczny Dzień Sybiraka rozpoczęła Msza św. w świątyni klasztoru Ojców Kapucynów, który od powstania Związku Sybiraków w Krakowie (1989) otworzył swoje wierzaje dla sybiraków. Mszę św. odprawił o. Jerzy Pająk OFMCap., kapelan krakowskich środowisk niepodległościowych. W homilii, celebrant nawiązał do uroczystości Podniesienia Krzyża Świętego jako symbolu cierpienia, do życia św. Franciszka z Asyżu, arcybiskupa Zygmunta Felińskiego oraz św. o. Maksymiliana Kolbego. W Mszy św. uczestniczyły poczty sztandarowe Krakowskiego Oddziału Związku Sybiraków oraz Rodzin Katyńskich, one też salutowały uroczystość odsłonięcia na murze kościoła pod wezwaniem św. Idziego, tuż obok Krzyża Katyńskiego, nieopodal Zamku Królewskiego na Wawelu „Tablicy w Hołdzie Zesłańcom Sybiru Ofiarom Golgoty Wschodu”.

Idea realizacji tego znaku pamięci o polskich ofiarach Sybiru spoczywała w rękach Komitetu Organizacyjnego w składzie: Zofia Ciesielska – przewodnicząca; Jan Kwiatkowski; Kazimierz Szymański oraz Krystyna Wierzbicka. To ambitne przedsięwzięcie wspierał Komitet Honorowy w skład którego wchodził: JE Ksiądz Kardynał Stanisław Dziwisz – Metropolita Krakowski; Jacek Majchrowski – Prezydent Miasta Krakowa; Barbara Radwan-Ballada – Przewodnicząca Rady Miasta Krakowa; Stefan Dousa – artysta rzeźbiarz; Stanisław Dziedzic – Dyrektor Wydziału Kultury Miasta Krakowa; Zbigniew Zbiegień – Miejski Konserwator Zabytków; Marcin Tatara – Sekretarz Wojewódzkiej Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa; Marek Lasota – Dyrektor Krakowskiego Oddziału IPN; Zbigniew Siekański – Prezes Stowarzyszenia Ofiar Katynia Polski Południowej; Mariusz Graniczka – Dyrektor Gimnazjum nr 1 w Krakowie; Jan Grodzicki – Prezes Krakowskiego Oddziału Związku Sybiraków.

Krakowski Oddział Związku Sybiraków od dłuższego czasu starał się o godne upamiętnienie sybiraków – w bardzo szerokim pojęciu tego określenia obejmującym zarówno zesłanych na Sybir, walczących o niepodległość Polski uczestników powstań w minionych wiekach, jak i zesłanych przez Związek Radziecki w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu. Uroczystość odsłonięcia tablicy rozpoczęła się krótkim wystąpieniem Kazimierza Szymańskiego z Krakowskiego Oddziału Związku Sybiraków oraz odegraniem hymnu narodowego przez orkiestrę uczniów Zespołu Szkół Komunikacyjnych nr 1 im. św. Rafała Kalinowskiego w Krakowie w obecności licznie zgromadzonych mieszkańców Krakowa. Powitała ich prof. dr Zofia Ciesielska, wiceprezes Oddziału Związku Sybiraków w Krakowie, która powiedziała:

„Przypadł mi zaszczyt przywitania Dostojnych Gości w imieniu Zarządu Związku Sybiraków w Krakowie. Na wstępie pragnę z całego serca podziękować za przybycie na naszą skromną uroczystość upamiętnienia zesłańców Sybiru na przestrzeni dziejów Polski, Tych zesłańców których prochy pozostały tam na zawsze.

Pamięć nasza skierowana jest szczególnie ku tym, których los był również naszym udziałem – do zesłańców z okresu II wojny światowej i po jej zakończeniu. Obowiązkiem naszym, Sybiraków, którzy mieli szczęście przeżyć,

jest zachowanie ich w narodowej pamięci. Czynimy to poprzez ufundowaną przez nas symboliczną Tablicę – Pomnik, usytuowaną w sercu Polski, w Krakowie obok Wawelu.

Jesteśmy zaszczytzeni przybyciem i serdecznie witamy: Jego Eminencję Księdza Kardynała Stanisława Dziwisza; Wiceprezydenta Miasta Krakowa Pana Kazimierza Bujakowskiego; Wiceprzewodniczącego Rady Miasta Krakowa Pana Stanisława Rachwałę; autora i twórcę Tablicy Pamięci Sybiraków Profesora Stefana Dousę; Dyrektora Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Miasta Krakowa Pana Stanisława Dziedzicę; Miejskiego Konserwatora Zabytków Pana Jerzego Zbiegienia; Dowódcę 2 Korpusu Zmechanizowanego Pana Generała Dywizji Zbigniewa Głowienkę; Senatora RP Pana Zbigniewa Cichonia; Sekretarza Wojewódzkiej Rady Pamięci Walk i Męczeństwa Pana Marcina Tatarę; Prezesa Stowarzyszenia Rodzin ofiar Katynia Małopolski Południowej Pana Zbigniewa Siekańskiego; Dyrektora Gimnazjum im. Stanisława Konarskiego Pana Mariusza Graniczkę; Dyrektora Zespołu Szkół Komunikacyjnych Pana Andrzeja Cichonia. Witam serdecznie Wszystkich Państwa, naszych Gości i dziękuję za przybycie dla wspólnego z nami przeżywania uroczystości poświęcenia Tablicy Pamięci Sybiraków.

Na koniec wreszcie, witam z całego serca współgospodarzy uroczystości, współfundatorów – czyli Wszystkich Sybiraków, dla których Tablica jest upamiętnieniem naszych wspólnych tragicznych losów, a przede wszystkim upamiętnieniem Najbliższych, których bezimienne mogiły są rozsiane po bezkresnych syberyjskich obszarach.

Chciałabym jeszcze złożyć podziękowania wszystkim przedstawicielom władz miasta Krakowa, z którymi kontaktowaliśmy się w trakcie starań o umieszczenie tablicy tu, w tym miejscu. Bez zrozumienia i życzliwości jakich od Państwa zaznaliśmy nasza idea nie mogłaby być zrealizowana. Szczególnie serdeczne podziękowania za pomoc kierujemy do Jego Eminencji Księdza Kardynała oraz do Prezydenta, Dyrektora Wydziału Kultury Miasta Krakowa oraz do – Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków i Miejskiego Konserwatora Zabytków. I wreszcie wyrazy głębokiej wdzięczności w imieniu wszystkich sybiraków składam za bezinteresowny trud Panu Profesorowi Stefanowi Dousie, autorowi tej pięknej tablicy. Pan Profesor wraz z Małżonką obdarzyli nas życzliwością i serdecznością, bezcenną dla nas w chwilach starań i niełatwych zmagania z różnymi przeciwnościami. Panie Profesorze za wszystko raz jeszcze serdecznie dziękujemy!

Podjęta przez nas, Sybiraków, którzy mieli szczęście przeżyć zesłanie, idea uczczenia pamięci Zesłańców Sybiru obejmuje wszystkich walczących o niepodległość Polski, począwszy od zesłanych w XVIII wieku Konfederatów Barskich, skazanych na katorgę uczestników powstania listopadowego i styczniowego, poprzez liczne indywidualne i ciągłe skazania na zsyłkę, w okresie zaborów, – aż do okresu II wojny światowej i wielu lat po jej zakończeniu. Wszystkich, których prochy pozostały tam na zawsze.

Składamy hołd wielkim Sybirakom związanym z Krakowem: patronowi Sybiraków – św. Rafałowi Kalinowskiemu uczestnikowi powstania styczniowego, wyniesionemu na ołtarze w 1991 roku przez Ojca Świętego Jana Pawła II; Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu; księdzu Władysławowi Bukowińskiemu,

Słudze Bożemu, współczesnemu nam Sybirakowi, przez wiele lat męczonemu w łagrach i więzieniach za posługi duszpasterskie. Jego proces beatyfikacyjny rozpoczął się w 2006 roku w Krakowie.

Dzisiaj, 17 września obchodzimy 70-tą rocznicę agresji Związku Radzieckiego na Polskę. Jest to symboliczna, najtragiczniejsza data w życiu Sybiraków. Przed kilkunastu dniami przeżywaliśmy 70 –tą rocznicę pamiętnego 1-go września. Wsłuchiwalismy się w wypowiedzane słowa, przypominające zbrodnie dokonane na narodzie polskim przez obu okupantów. Niestety, nie usłyszeliśmy nawet wzmianki oficjalnej o aresztowaniach, masowych zbrodniach i wywózkach Polaków na Sybir, o represjach Związku Radzieckiego dokonanych na obszarze ponad połowy ówczesnego Państwa Polskiego, represjach, które dotknęły również tu obecnych Sybiraków. Słyszymy natomiast wiele bezsensownych oskarżeń, podczas gdy pełne ujawnienie dokumentów o zbrodni Katyńskiej, a już nie mówiąc o deportacjach, nadal jest nierealne.

Po 17 września, w latach 1939-1941, z terenu wschodniej Polski, okupowanej przez Związek Sowiecki w wyniku paktu Ribbentrop – Mołotow aresztowania, zsyłki do łagrów i na Syberię objęły ponad półtora miliona Polaków. Aresztowanych mężczyzn skazywano na wieloletnie wyroki m.in. w łagrach Kołomy i Workuty, skąd większość nigdy nie wróciła. Umierali zagłodzeni, zamęczeni pracą ponad siły. Jeden z tych, który przeżył, wy dostał się z Armią Andersa w 1942 roku i pozostał na Zachodzie, powiedział mi po latach: „Tam, w sowieckich łagrach niepotrzebne były komory gazowe, mordowali nas głodem, mrozem i katorżniczą pracą.”

Jak nigdy dotąd, oprócz mężczyzn walczących w obronie Ojczyzny, w bezkresne północne rejony Związku Radzieckiego, w trzech masowych deportacjach, wywieziono setki tysięcy kobiet i dzieci, rodziny skazanych na więzienia i łagry. W oparciu o specjalną decyzję Biura Politycznego w Moskwie wydaną w marcu 1940 roku, równocześnie z „wyrokiem” katyńskim, wywieziono 13 kwietnia z terenu wschodniej Polski wszystkie rodziny Ofiar Zbrodni Katyńskiej. Dokument skazujący nakazuje (cytuje): **«przeprowadzić do 15 kwietnia 1940 r. deportacje do północnych rejonów Kazachskiej SRR wszystkich rodzin represjonowanych i znajdujących się w obozach dla jeńców wojennych byłych oficerów armii polskiej, policjantów, służby więziennej, żandarmerii, wywiadowców, byłych właścicieli ziemskich, fabrykantów i wysokich urzędników byłego polskiego aparatu państwowego w liczbie 22-25 tysięcy rodzin».**

Brutalność akcji wywozowej, zawsze pod osłoną nocy, grabież dobytku, szykany stosowane w czasie dokonywania deportacji i transportu oraz potworne warunki, w jakie rzucono zesłańców świadczą, że władzy sowieckiej zależało na zniszczeniu elementu polskiego na tych ziemiach. Ten kolejny w dziejach narodu polskiego etap syberyjskiego szlaku był wyjątkowo tragiczny dlatego, że 90% zesłańców stanowiły kobiety i dzieci. Zesłanych osiedlano w szczególnie trudnych warunkach terenowych, przyrodniczych i klimatycznych, w niewiarygodnych wprost warunkach bytowania.

Śmiertelność z głodu, chorób, mrozów i wycieńczenia nadludzką pracą, braku dachu nad głową, brudu i nędzy była wysoka. Do dnia dzisiejszego brak danych jak wielu Polaków tam zmarło i – gdzie są ich mogiły, jeżeli w ogóle są. Najwyższa umieralność była wśród dzieci i osób starszych. Wysoka była rów-

niez wśród matek, które odejmowały sobie od ust każdy kęs stawy, by dać dziecku. Nieokreślona do dziś ilość sierot tułała się w Domach Dziecka. Ci, którzy przeżyli wracali do Polski po sześciu latach, dopiero po upływie roku od zakończenia wojny, ale nie do swojej Ziemi i do swych domów, których już nigdy nie odzyskali, a nawet nie zobaczyli. Kolejna gehenna zesłań rozpoczęła się w roku 1944 i trwała jeszcze po wojnie. Dziesiątki tysięcy żołnierzy Armii Krajowej zostało „ukaranych” kilkunastoletnimi wyrokami za to, że walczyli o wolność i niepodległość Polski. Łagry Workuty, Kołomy i Norylska znowu wypełniły się Polakami. Tylko nieliczni zdołali przeżyć i wrócić dopiero wiele lat po zakończeniu wojny, a potem w latach 1953-1958! Ilu tam umarło z wycieńczenia i głodu? Ilu z nich ma swoje mogiły? Zesłani na Sybir przodkowie nasi – bohaterowie walk o niepodległość; Ojcowie nasi – Ofiary Zbrodni Katyńskiej, aresztowani, zesłani do łagrów i tam zamęczeni; Matki nasze – chroniące nas i uczące tam, na zesłaniu słów cichej modlitwy do Matki Najświętszej i wiary w Opatrzność Bożą, która pozwalała nam zachować nadzieję. Jakże wiele Ich tam zmarło; bracia nasi – żołnierze Armii Krajowej, skazani na zesłanie i śmierć za to, że walczyli o wolną Polskę, są wzorem patriotyzmu i poświęcenia dla Ojczyzny.

Im Wszystkim – poświęcamy dzisiejszą uroczystość i pamięć, z nadzieją i przeświadczeniem, że to ostatni taki rozdział w historii Polski Wdzięczni Panu Bogu za łaskę przeżycia, zachowujemy w modlitewnej pamięci Tych Wszystkich, których prochy są rozproszone po syberyjskich przestrzeniach i w katyńskich mogiłach. Wspominając ze wzruszeniem, że przy jednej z tych mogił w Kijowie – Bykowni modlił się w intencji pomordowanych nasz umiłowany Ojciec Św. Jan Paweł II wraz z obecnym tu Księdzem Kardynałem – zwracamy się do Jego Eminencji z prośbą o poświęcenie Tablicy, upamiętniającej losy zesłańców Sybiru i Gólgotę Wschodu, której zwieńczeniem jest Krzyż Katyński.”



Odsłonięcia tablicy memoratywnej, przy której wartość honorową pełnili żołnierze Wojska Polskiego i harcerze dokonał Prezes Związku Sybiraków w Krakowie Jan Grodzicki wraz z uczennicą Gimnazjum nr 1 im. Stanisława Konarskiego, a aktu jej poświęcenia dokonał JE ks. kard. Stanisław Dziwisz, metropolita krakowski. Podkreślił on ważność tego znaku czczonego pamięć skazanych na zesłanie w okresie zaborów oraz w okresie II wojny światowej i w pierwszych latach po jej zakończeniu.

Tu chciałbym podkreślić, iż tablica ta jest nie tylko ważnym znakiem pamięci o wyraźnej dominacji funkcji informacyjnej, ale może stanowić punkt odniesienia do innych inicjatyw w tym zakresie, częstokroć podejmowanych przez oddziały terenowe Związku Sybiraków. Wypadałoby życzyć aby tablica ta siłą sugestii wywarła pożądaną wpływ na powstanie kolejnych znaków pamięci związanych z polskimi losami na syberyjskim zesłaniu. Po odsłonięciu i poświęceniu tablicy nastąpił akt przekazania mgr. Mariuszowi Graniczce, dyrektorowi Gimnazjum nr 1 w Krakowie opieki nad nią przez uczniów tej szkoły, którzy licznie uczestniczyli w tej wzruszającej uroczystości. Tablica ta potwierdza, że tego rodzaju znaki pamięci powinny mieć wyznaczony priorytet w działalności

edukacyjnej przyobleczonej w optykę praktycznych aspektów patriotycznego wychowania.

Tę formę popularyzacji polskiej historii na Syberii widzę najzupełniej równorzędnie z nauczaniem historii w szkole i wielostronnych ujęć tych zagadnień w trakcie edukacyjnego przekazu. Myślę, że wśród wielu różnorodnych przedsięwzięć edukacyjnych w zakresie historii i narodowych tradycji ta forma społecznego oddziaływania jest istotnym elementem przekazywania informacji o polskich losach na Sybirze. Mam nadzieję, że przy tablicy tej przystanie nie jeden przechodzień, a potem odejdzie w zadumie z refleksją o jakże trudnych losach Polaków za Uralem. Na tablicy napis:

**W HOŁDZIE ZESŁAŃCOM SYBIRU  
OFIAROM GOLGOTY WSCHODU**

**WALCZĄCYM O WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI  
NA PRZESTRZENI WIEKÓW  
WIĘZIONYM I ZAMĘCZONYM W SOWIECKICH ŁAGRACH  
ZAMORDOWANYM I POCHOWANYM W KATYŃSKICH MOGIŁACH  
MASOWO ZESŁANYM I TAM ZMARŁYM  
MĘŻCZYZKOM, KOBIECIOM I DZIECIOM**

**KRAKOWSCY SYBIRACY  
RODZINY OFIAR ZBRODNI KATYŃSKIEJ  
SPOŁECZNOŚĆ MIASTA KRAKOWA**

Tablica ta znakomicie powiększa, skądinąd i tak wielkie korzyści płynące dla współczesnych z obcowania z podobnymi znakami pamięci poświęconymi losom Polaków na syberyjskim zesłaniu. Trwałe wartości, jakie one tworzą, wynikają między innymi i stąd, że Związek Sybiraków umiał wkomponować je na rodzinny grunt, co obok syberyjskiej literatury wspomnieniowej oraz naukowej jest trwałym znakiem historii polskich losów za Uralem. Środowisko sybirackie oddane tej idei jest niezwykle aktywne, co w niekwestionowany sposób wypełnia lukę jaka powstała w czasach PRL-u.

Mieszkańcy Krakowa radzi są, że i w ich mieście pamiętano o zesłaniach i deportacjach Polaków na Syberię, czemu dali wyraz przybywając licznie na odsłonięcie tej tablicy. Dla pokolenia, które nie pamięta czasów ostatniej wojny i sybirskich losów setek tysięcy Polaków tablica ta jest formą pamięci o tamtych czasach i przekazem dla przyszłych pokoleń. Będzie też ona na pewno ważnym wydarzeniem w dziejach miasta Krakowa, a dla tych którzy nieraz przy niej przystaną na chwilę stanowiąc będzie lakoniczne źródło wiedzy o ludziach, którzy przebywali na syberyjskim zesłaniu a także wyrazem hołdu dla ich przeżyć. W niekwestionowany sposób wypełnia ona funkcję znaku pamięci o tamtych minionych latach pogardy dla Polski i Polaków zesłanych na rozlegi syberyjskiej ziemi.

Trwałe wartości jakie stworzył ów wysiłek Komitetu Organizacyjnego by memoratywna tablica powstała, któremu przewodniczyła Prof. dr hab. Z. Ciesielska. wynika między innymi i stąd, że umiał on twórczo urealnić tę ideę na krakowskim gruncie patriotycznym i historycznym. Uroczystości te, o których obszernie informowały krakowskie rozgłośnie radiowe, telewizja oraz prasa zakończyły się składaniem wieńców oraz odśpiewaniem hymnu sybiraków.

*Wiesław Krawczyński*



Tytułem komentarza od redakcji dodajmy jeszcze, że z okazji odsłonięcia tej tablicy staraniem Oddziału Związku Sybiraków w Krakowie ukazał się okolicznościowy folder z tekstem hymnu sybiraków, autorstwa Mariana Jonkajtysa. Jest też w tym estetycznie wydany druk artykuł prof. dr hab. Zofii Ciesielskiej poświęcony przypomnieniu zesłań Polaków na Syberię, który z niewielkimi skrótami publikujemy poniżej:

„Po agresji sowieckiej 17 września 1939 roku i zagarnięciu wschodniej części Polski rozpoczęła się fala aresztowań i wywózek w głąb ZSRR. W latach 1940-1941 wywieziono wraz z rodzinami osadników i leśników oraz rodziny Ofiar Zbrodni Katyńskiej, uwięzionych i zamęczonych w łagrach. Wywieziono również uchodźców z terenów okupacji niemieckiej. Począwszy od 1944 roku aresztowano i wywieziono do łagrów tysiące żołnierzy Armii Krajowej.

[...] Zesłania Polaków na Syberię oraz w inne odległe tereny Rosji w ramach represji politycznych rozpoczęły się, jak wiadomo, już w XVII wieku. Kontynuowane były w kolejnych okresach dziejów Polski poprzez wiek XVIII, w którym objęły m.in. konfederatów barskich i uczestników powstania kościuszkowskiego, wiek XIX, kiedy to zsyłano uczestników powstania listopadowego i styczniowego aż po dramatyczny wiek XX – okres masowych mordów i zsyłek. Z wielkich Polaków – Sybiraków, związanych bezpośrednio z Krako-

wem wymienić tu należy patrona Sybiraków św. Rafała Kalinowskiego oraz Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Po 17 września, w latach 1939-1941, z terenu wschodniej Polski, okupowanej przez ZSRR w wyniku paktu Ribbentrop – Mołotow aresztowania, zsyłki do łagrów i na Syberię objęły ponad półtora miliona Polaków. Jak nigdy dotąd, oprócz mężczyzn walczących w obronie Ojczyzny, w bezkresne północne rejony ZSRR wywieziono setki tysięcy kobiet i dzieci.

3 marca 1940 roku, w przededniu skazania na śmierć w dniu 5 marca 1940 roku jeńców wojennych oraz aresztowanych i więzionych na terenie wschodniej Polski „szczególnie wrogich Związkowi Sowieckiemu” obywatele polskich, zamordowanych i pochowanych w Katyniu, Miednoje, Charkowie, Bykowni, Kuropatach i innych miejscach Biuro Polityczne WKP(b) podjęło uchwałę podpisaną przez Stalina, nakazującą zesłanie, jako „specjalnych przesiedleńców” ich rodzin czyli żony, dzieci i rodziców. Zesłanie objęło te rodziny, które zamieszkiwały we wschodniej Polsce, zaanektowanej przez ZSRR. Począwszy od września 1939 roku trwały ciągłe aresztowania przez NKWD urzędników państwowych, właścicieli ziemskich, osadzano ich w więzieniach i łagrach, a ich rodziny wywożono w „odległe rejony” ZSRR. Wywożono również osadników i leśników wraz z rodzinami czyli po prostu Polaków – mieszkańców tych ziem.

Oprócz czterech masowych deportacji 10 lutego i 13 kwietnia 1940 roku oraz w czerwcu 1941 roku, mniej liczne zsyłki trwały ciągle i były stałym elementem sowieckich represji. Zesłańców osiedlano w rejonach o najtrudniejszych warunkach klimatycznych, m.in. w takich jak: Syberyjska tajga, „głodne stepy” północnego Kazachstanu, Archangielsk, republika Komi, Krasnojarski Kraj. Nieprzyjazna przyroda, brak możliwości zdobycia wyżywienia, odzieży, opału, elementarnych warunków higieny, nieprzystosowanie do pracy ponad siły w nieludzkich warunkach, do której zmuszane były również dzieci, głód, choroby stanowiły przyczynę bardzo wysokiej śmiertelności zwłaszcza dzieci i osób starszych, powyżej 60 roku życia. Odnajdywane dziś nawet oficjalne dokumenty NKWD odnotowują, iż „...zesłańcy doprowadzeni do rozpacz, bosi głodni z odmrożeniami rąk i nóg praktycznie giną z głodu...” Dokumenty te wskazują również na szczególną inwigilację zesłańców przez NKWD. Zalecano lokalnym organom „...zachować podwyższoną czujność oraz likwidować w zarodku najmniejsze przejawy antyradzieckie...”

Począwszy od 1944 roku i przez szereg lat po zakończeniu wojny, aresztowano i zesłano tysiące żołnierzy Armii Krajowej, którzy w łagrach Kołymy, Norylska i Workuty oraz wielu innych miejscach odbywali kilkunastoletnie wyroki. Zostali skazani za to, że walczyli o wolną Polskę. Ci, którzy zdołali przeżyć wracali do Polski dopiero w latach 1953 – 1956, po kilkunastoletniej katordze.

Zesłańcy Sybiru są bardzo mocno zakorzenieni w historii Polski. Ich rola i ofiarność w walce o wolność była ogromna. Niestety do dnia dzisiejszego brak wiarygodnych danych jak wielu naszych Rodaków zostało tam na zawsze i gdzie znajdują się ich prochy, rozsiane w bezkresnych przestrzeniach Syberii, Kazachstanu i innych rejonów na Wschodzie i Północy. Jesteśmy głęboko przekonani, że obowiązkiem naszym, czyli pozostałych przy życiu Sybiraków, którzy mieli



szczęście powrócić do Ojczyzny i zamieszkać w Krakowie jest upamiętnienie w historycznej i duchowej stolicy Polski tych, którzy pozostali tam na zawsze.

Niech ufundowana przez nas Tablica – Pomnik będzie, godnym upamiętnieniem wielowiekowych trudnych a jednocześnie bohaterskich dziejów Polaków. Tych, których mogiły na Wschodzie świadczą o zbrodni nad naszym Narodem.

*Zofia Ciesielska*

## • LISTÓW BARBARY ZIĘBY CIĄG DALSZY

Irkuck, 13 kwietnia 2009 r., Wielkanoc

Drodzy Moi!

Czy słyszeliście, co mówią kobiety? U Was też? Mówią, że zmartwychwstał... Pobiegłam do grobu: rzeczywiście jest pusty! Co o tym sądzić? Zastałam wszystko, jak powiedziały i nikogo tam nie było. A dziś już wszyscy mówią, że zmartwychwstał. Oni naprawdę coś wiedzą! W piątek Andriej, Deczebau i Władimir śpiewali Jego Mękę, tak jak opisał Jego najmłodszy apostoł. Potem ludzie chodzili całować Krzyż.

A w sobotę w nocy był tu niezmierny tłum. Najpierw poświęciliśmy ogień i wchodziliśmy do ciemnego kościoła ze świeczkami. Potem było coraz jaśniej, a różni ludzie czytali niesamowite historie od stworzenia świata. Nawet luterański pastor przybył zaśpiewać jeden psalm. Aż w końcu dzwony obudziły okolicznych mieszkańców. To wtedy zaczęli mówić, że On zmartwychwstał, ale i tak wszyscy byli zajęci patrzeniem na księży i słuchaniem chóru. W końcu poszliśmy trzy razy wokół katedry, a dzwony waliły jak oszalałe. W blokach dookoła pozapalały się światła i wielu ciekawskich patrzyło, co to się dzieje. A była druga rano, więc pewnie niektórzy z obudzonych się wściekli, ale może ktoś właśnie wtedy usłyszał, że On zmartwychwstał. Potem ludzie zajęli się kropieniem jajek i kielbasy, i już właściwie nie było wiadomo, dlaczego my tu w nocy siedzimy. Wyruszyłam więc w ciemność do domu i na pętli tramwajowej natknęłam się na pijaną kobietę, widocznie postawioną na nogi przez dzwony. Miotła się bardzo podekscytowana, pytając wokoło: *Co się stało? Co się stało?* O trzeciej położyłam się spać.

A wczoraj rano znów tam pobiegłam. I rzeczywiście grób był pusty. Ludzi było dużo mniej niż w nocy, ale znowu przynieśli te jajka i kielbasę. Potem była Eucharystia i mówili o Nim tak, jakby żył, ale oni tak mówią w każdą niedzielę, a nawet codziennie. Mało kto rozumie to dosłownie. Ale teraz ten grób... No i te kobiety: już drugi dzień opowiadają wszędzie, że Go widziały i co im powiedział. Mężczyźni nie dają wiary, ale ja przecież widzę, że nie kłamią. Potem chyba wszyscy poszli jeść swoją kielbasę i jajka, i może nawet zapomnieli, z jakiej okazji przynosili je do kościoła.

A ja dostałam niezmierny podarek – okazję przejażdżki nad Bajkał do Listwianki. Nie byłam tam dwa lata! Po drodze mijaliśmy cerkiew. Właśnie sprzedawano wiązanki z baziarni; przecież to u prawosławnych niedziela palmowa. Szykują się do Męki. Czy On musi umierać dwa razy z powodu naszej głupoty? Na Bajkale jeszcze lód, ale już kruchy i mokry. Na brzegu sprzedają rybki, uwędzone jak tamte – owego dnia nad Genezaret. Słońce i ośnieżone góry na buriackim brzegu, w krainie Gadareńczyków. Mnóstwo ludzi przyjechało tu z Irkucka

w tę ciepłą niedzielę. Piją piwo, przeklinają, wszystko po staremu. Chyba nic nie słyszeli... Nie widzę tu tych kobiet, nie biegają po lodzie, po brzegu, po targowisku. Powiedziały tylko swoim, w Irkucku i teraz czekają na kolejne Spotkanie. Już nawet nie chce im się chodzić do tego grobu, bo po co? Tylko kto poniesie wieść na drugi brzeg Bajkału, do Gadareńczyków? Oni tam myślą, że trzeba się bez końca rodzić i umierać, rodzić i umierać, i że z tego w ogóle nie ma wyjścia aż do końca świata. A świat nie ma końca. Straszne.

Zresztą nie tylko Gadareńczycy jeszcze nic nie wiedzą. Niedawno widziałam film zrobiony w Nowosybirsku. To taka sonda uliczna z pytaniami na temat wiary. Nie da się opisać zdumienia w oczach i całej mimiki na dźwięk słów *Wielkanoc, Boże Narodzenie, Biblia* itp. Jednak niektóre odpowiedzi Wam przytoczę, a kiedy się spotkamy – pokażę film. Mam go na dysku.

Reporterka zadaje pytanie: „**Co jest istotą Wielkanocy?**”. Dziadek, z wielkim zmieszaniem i bynajmniej nie z powodu głuchoty, dopytuje:

– *Co, co?*

– *Co jest istotą Wielkanocy?*

– *Istotą czego?*

– *Wielkanocy.*

– *Jak, czego?!*

– *Co jest istotą święta Wielkanocy?*

– *Aaa! – zaskoczyło – to takie stare święto ludowe.*

Inny dziadek, dostojny, w czarnych okularach, odpowiada:

– *Nie ma najmniejszego sensu w zwiększonej sprzedaży jajek po zawyżonych cenach.*

Bez troski pijaczek bez skrępowania mówi:

– *Jak pomyśle, pochodzę, to znajdę dobrą odpowiedź.*

Sympatyczna babcia ma już określony kierunek:

– *Ja to bym placków napiekła, poszła poświęcić, Mszy posłuchać...*

Dostojna, wszystkowiedząca dama wyjaśnia:

– *Odnawiamy się duchowo i życzymy naszym bliskim ponownego zjednoczenia z przyrodą, która właśnie się odradza.*

Kolejny dziadek rozważa melancholijnie, tonem mędrca:

– *Bardzo dużo ludzi na ziemi wierzy w te rzeczy, w tego Boga, wypełniają różne religijne rytuały...*

Dobroduszna babcia stwierdza:

– *Dodatkowe święto nigdy ludziom nie zaszkodzi, w tym również Wielkanoc.*

Pani w średnim wieku, chyba po przejściach:

– *Oj, już nie pamiętam!*

Młoda dziewczyna, biorąca życie we własne ręce, tłumaczy energicznie:

– *Ktoś na przykład z pomocą diety, która poprzedza Wielkanoc, czyli po prostu, stara się zrzucić parę kilogramów i doprowadzić siebie na lato do dobrej formy. Tu na chwilę się zamyśla, a jej mina staje się bardziej niepewna i chyba nieco zażenowana, ale dodaje: *A być może ludzie wierzący widzą w tym jeszcze jakiś inny sens...**

Biegnijcie, kobiety, za wszystkie brzegi i góry Bajkału! Opowiadajcie, Kogo spotkałyście i co wam powiedział! Nie dadzą wam wiary, ale nie ustawajcie... Dziś, jutro i pojutrze musicie być w drodze. Na ścieżkach Buriacji, Kamczatki, Kraju Gadareńczyków, Sachalina, Jakucji, na plażach oceanów i na chińskich murach. Nie ustawajcie!

Barbara

\*

Irkuck, 23 września 2009 r.

Drodzy Moi!

Już sporo czasu minęło od mojego powrotu z Polski, a jeszcze więcej od ostatniego listu. Chciałabym zatem podzielić się z Wami garścią nowości i wydarzeń, choć nie dzieje się nic nadzwyczajnego. W każdym razie dla mnie jest to zwyczajna codzienność. Gdy przyleciałam tu w sierpniu, było w pełni upalne i zielone syberyjskie lato, ale już z nadzieją na rychłe nadejście jesieni. Pojawiła się ona w tym roku nieco później, bo dopiero na początku września i teraz jest cudownie: złoście i słonecznie. Wszyscy cieszymy się tym babim latem, bo przecież nie potrwa ono długo. Oczywiście trzeba było przejść przez fazę ochłodzenia i kilka dni temu mieliśmy pierwszy śnieg i wichurę. Dobrze, że tuż przedtem zdążyli włączyć ogrzewanie. Jednak nie będę się nad tym tematem rozwodzić, bo o pogodzie pisałam wiele razy, a w końcu nie jest to sprawa najistotniejsza.

Znacznie ważniejszy jest fakt, że w niedzielę 6 września świętowaliśmy dziewiątą rocznicę konsekracji katedry w Irkucku (wydarzenie to miało miejsce 8 IX 2000 r.). To już dziewięć lat! To raptem dziewięć lat... A jednak tyle się wydarzyło, tyle zmieniło, tyle narodziło i tyle przepadło... Katolicka katedra jest w tym mieście od dawna zwyczajnym elementem rzeczywistości społecznej, religijnej i architektonicznej. A jednak to, co najważniejsze, wciąż przed nami. Kiedyż to wzgórze w dzielnicy *Studgorodok* będzie promieniować blaskiem, gorliwością, świętością, nadzieją odrodzenia ducha? Kiedyż stanie się Górą Syjon dla Syberii, a może i całej północnej Azji? Kiedyż będą wstępować na nią wszystkie tutejsze narody? Ileż musi minąć dziesięcioleci albo stuleci, by zyskać takie miejsce w Historii Zbawienia i wymodlić je w długiej wędrówce poszukiwania Boga?

Nie wiem, ale w każdym razie za rok będziemy obchodzić pierwsze dziesięciolecie i niech będzie ono początkiem bardzo długiej historii. A teraz, już trochę w przedsmaku jubileuszu, musimy zmagać się z wielkim remontem katedry, który rozpoczął się w maju i trwa do dziś. Dotyczył głównie części podziemnych, „fundamentalnych”, więc efekty nie są zaledwie widoczne na zewnątrz, ale jednak sprawa była bardzo istotna. Teraz jesteśmy na etapie betonowania terenu wokół świątyni i układania kostki, więc chyba zbliża się koniec prac w tym sezonie. Mam jednak nadzieję, że przed przyszłorocznymi uroczystościami cały budynek odzyska biały kolor, bo w minionych latach zdążył zdecydowanie poszarzeć.

A wszelakich innych remontów wokół też nie brak: zamknięto kolejny odcinek ulicy Lermontova (o której pisałam Wam kiedyś) i wszystkie auta manewrują po wertepach najdziwniejszych zaułków; rozpoczęto też remont uliczki pod moim blokiem. Bardzo mnie to zdziwiło, bo uliczka całkiem niepozorna, a tu raptem wzięli się za układanie prawdziwych krawężników! To niespodziewane ożywienie było mocno podejrzane, ale zagadka szybko się rozwiązała – po mieszkaniach zaczęli chodzić agitatorzy jednego z kandydatów do rady miasta. A więc znowu wybory i to całkiem niedługo, 11 października! Mam nadzieję, że wykończą uliczkę do tego czasu, bo inaczej zostaniemy w zwałach błota aż do następnej elekcji.

Innym – powtarzającym się jak pory roku – elementem tutejszej rzeczywistości są bezustanne podróże zagranicznych sióstr i księży po wizy do swoich krajów. Czasem wypada to po kolei, czasem terminy się na siebie nakładają, a tym razem parafia chwilowo mocno opustoszała. Jednak pomału zaczynają się powroty, a na dodatek przyjechały całkiem nowe osoby: siostry z Indii i Indonezji oraz ksiądz ze Słowacji. A jeszcze na początku miesiąca było tak ludno!

Z okazji rocznicy konsekracji katedry zawsze przybywają misjonarze z innych miast naszej diecezji. Jest to nie tylko okazja do spotkania, ale też do odbycia rekolekcji w Listwiance nad Bajkałem. Tym razem odwiedził nas nawet o. Michael z Magadanu, którego znacie dobrze z poprzednich listów. Ten dzielny Amerykanin z Alaski został w tej chwili w swojej parafii jedynym duszpasterzem i właśnie szuka wikarego. Może jest ktoś chętny? Zjawiała się też s. Marina z Władywostoku, z hiszpańskiego zgromadzenia. Dowiedziałam się od niej, że lada dzień ruszy w Romanowce świetlica dla dzieci ulicy. O tym projekcie też wiecie od dawna. Filipińska prowincja sfinansowała zakup pomieszczenia i teraz siostry rozkręcą na całego ten bardzo ważny projekt.

W Irkucku czekały też na mnie dobre wiadomości i z „mojego” tematu. W ostatnim czasie na terenie naszej diecezji ruszyło kilka nowych grup AA w kolejnych miastach, m. in. w Komsomolsku nad Amurem na Dalekim Wschodzie oraz w Kiachcie na granicy mongolskiej. To bardzo ciekawa historia, bo głównymi uczestnikami spotkań w tej rosyjskiej wiosce są na razie Mongołowie z pobliskich miast, którzy mają prawo poruszać się w strefie przygranicznej bez wiz. Poza tym w czerwcu odbyło się główne dla całej naszej strefy Forum AA (tym razem w Chabarowsku) oraz dwa regionalne: dalekowschodnie we Władywostoku i syberyjskie nad Bajkałem.

Następnym razem napiszę Wam o bardzo ciekawej przygodzie, jaka przytrafiła mi się niedawno, a dziś, na zakończenie, dodam jeszcze tylko, że w tym miesiącu telewizja chińska uruchomiła kanał rosyjskojęzyczny, z którego będzie można dowiedzieć się, jak wygląda Państwo Środka, cały świat i wszystkie jego problemy z punktu widzenia władz w Pekinie. Można powiedzieć, że to niezbyt interesujące, ale ja pomyślałam sobie, że sprawa jest warta uwagi. Przecież niewiele osób może nauczyć się chińskiego i tak naprawdę nie ma skąd dowiedzieć się, jak to tam jest wewnątrz ICH świata i jak wygląda reszta świata widziana ich oczami. Więc to może być bardzo ciekawe doświadczenie poznawcze, a nawet polityczne.

Na razie Was pozdrawiam i mam nadzieję, że pamiętaliście o rocznicy konsekracji irkuckiej katedry. To w końcu najważniejsze wydarzenie września związane z Kościołem na Syberii. A jeśli ktoś zapomniał, to wkrótce może się zrehabilitować – już niedługo niedziela misyjna (18 października).

Do zobaczenia w następnym liście!

*Barbara*

\*

Irkuck, 1 października 2009 r.

Drodzy Moi!

W dzień św. Tereni zabieram się za napisanie kolejnego listu. Oby ona dopomogła mi dobrać do końca jak najszybciej. Trudno mi jakoś ostatnio o czas i skupienie konieczne do tej korespondencji z Wami. Chciałabym jednak opowiedzieć o pewnym zdarzeniu, które może ukazać Wam pewne realia naszej misyjnej – syberyjskiej rzeczywistości.

Jak wiecie, mamy teraz piękną złotą jesień. W taki cudowny dzień, w połowie września, wybrałam się do pewnego urzędu po konieczny papierek. Wędrowałam sobie ulicą Puszkina – taką zupełnie boczną uliczką, wśród drewnianych dziewiętnastowiecznych domków, typowych dla starej zabudowy Irkucka, bez chodników, ale za to po szeleszczących kolorowych liściach. Było słonecznie, pięknie i naprawdę bardzo optymistycznie. W urzędzie okazało się, że naczelnik przyjmuje tylko dwa dni w tygodniu (i to był akurat TEN dzień), ale wyłącznie po południu (a to akurat był ranek). Optymizm nieco mi się zmniejszył, ale przecież Ktoś prowadzi to wszystko.

Gdy przybyłam wieczorem, przy wejściu siedział umundurowany Buriata i wszystkich wchodzących spisywał z paszportów do wielkiego zeszytu. Spisał i mnie. A gdy potem czekałam na korytarzu, podszedł i zagaił nieśmiało: *skoro mam polski paszport, to może słyszałam o Wierszynie?* Dla nieobeznanych dodam, że jest to wioska założona w tajdze prawie sto lat temu przez Polaków przybyłych z Zagłębia w poszukiwaniu lepszego życia. Ja na to, że oczywiście, że bywałam tam wielokrotnie. I tak zaczęła się bardzo ciekawa rozmowa. Gdy Czingiz powiedział, że pochodzi z wioski obok Wierszyny, od razu zgadłam, że chodzi o Dundaj i mogłam się pochwalić, że miałam zajęcia w ich szkole. Teraz droga była już otwarta do wszystkich tematów...

Okazało się, że mój rozmówca kilka lat swojej edukacji spędził w wierszyńskiej szkole, że zna trochę polskich słów i nieobce mu różne nasze sprawy. Byłam zaskoczona wielu jego stwierdzeniami. Ubolewał nad wynarodowieniem Buriatów, nad zawieraniem przez nich mieszanych małżeństw, a wskutek tego – nad utratą ojczystego języka, tożsamości, asymilacją z Rosjanami. No cóż, pocieszałam go jak mogłam. Przecież niejednokrotnie – w Arszanie, w Ułan Ude – słyszałam buriacki język. Wspomniałam też o organizacjach kulturalnych pielęgnujących narodowe tradycje. Nie dał się jednak przekonać, był przygnębiony nieodwracalnością procesu. I jako pozytywny przykład podawał Polaków (!), którzy pomimo rozbiorów zachowali język.

Wyobrażacie sobie moje zdumienie? Umundurowany Buriat z tajgi, w irkuckim urzędzie, opowiada mi, jak to moi rodacy ocalili swoją tożsamość! No, nieźle... Ale to jeszcze nic. Ostrze coraz bardziej zwracało się przeciw Rosji: jej postawa wobec sprawy Katynia, ostatnie słowa premiera na Westerplatte. Tu akurat nie wiedziałam, o co chodzi, bo nie mam telewizora i nie dotarło do mnie, co takiego powiedział w Gdańsku pierwszego września Władimir Władimirowicz. Ale mniejsza z tym. Ja w każdym razie nie mogłam powstrzymać się od pytania, a skąd on to wszystko wie i dlaczego się tym interesuje? Sprawa okazała się bardzo prosta.

Miał okazję przed laty jechać z Irkucka jednym autobusem z o. Ignacym, który zmierzał wówczas na Eucharystię do wierszyńskiego kościoła. A że trasa daleka, to i wiele tematów można omówić. Teraz już nie dziwiło mnie silne przekonanie Czingiza, że Polacy ocalili swój język i kulturę tylko dzięki Ko-

ściołowi. A zatem mieliśmy wiele wspólnych przekonań i dużo wzajemnej życzliwości.

Moje czekanie się przedłużało, więc można było kontynuować ten międzynarodowy dialog. A skoro zaczęliśmy o Kościele, to mój rozmówca zahaçazył o Biblię, a konkretnie – o Apokalipsę. Pytał, czy to właśnie tak będzie wyglądał koniec świata, powoływał się na różne fragmenty(!). Wkrótce dowiedziałam się, że u prawosławnych najważniejsza jest Wielkanoc, a u katolików – Boże Narodzenie. No nie! Widzę, że jest niedobrze i trzeba porozmawiać poważnie. Ale skąd u niego taka nieziemska wiedza? Otóż, mówił mu to pewien Polak z Wierszyny. Katolik, a jakże. No cóż, zachęciłam go do pogłębienia wiedzy, do odwiedzenia naszej biblioteki w katedrze...

Właściwie cały czas nie było wiadomo, do jakiej wiary sam Czingiz się przyznaje. Katolikiem nie był na pewno, bo przecież wszyscy się tu znamy, a o Prawosławiu mówił bardzo krytycznie, jak ktoś zupełnie mu obcy. Jednak czytał Biblię. Myślałam więc, że – tak jak większość ludzi tutaj – jest niewierzący, ale jednak poszukujący. Prawda okazała się nieco inna. W pewnym momencie zapytał mnie o reinkarnację. Odpowiedziałam oczywiście z chrześcijańskiego punktu widzenia i wtedy przyznał się, że od pewnego czasu interesuje się buddyzmem, przeczytał wiele książek o reinkarnacji – a jest w nich wiele dowodów na jej istnienie – i wierzy w nią święcie. Jednocześnie poczułam jego zupełne zamknięcie się na dalszą rozmowę o tych sprawach. Zrozumiałam, że popełniłam błąd, mówiąc zbyt krytycznie o tym, w co on wierzy.

Próbowałam ratować sprawę: że chodzi przecież o poszukiwanie Prawdy, a kto jej szczerze szuka, ten znajdzie. Mówiłam też o Zmartwychwstaniu Jezusa. Czingiz był grzeczny, nie sprzeciwiał się, ale już nic nie przyjmował. Wyraźnie dążył do zakończenia rozmowy, bo zaczęły mu się nieco kruszyć słabiutkie jeszcze fundamenty świeżo odkrywanego wierzenia, tak mocno przecież utożsamianego z jego narodowością. No cóż, tak czy inaczej musieliśmy kończyć dialog, bo właśnie nadszedł mój papierek. Ciąg dalszy powierzam Bogu i Waszej modlitwie. Imię Buriaty oczywiście zmieniłam, by nie miał kłopotów z powodu wątków politycznych. Z tej też przyczyny nie wymieniam urzędu, w którym się spotkaliśmy. Ale Bóg będzie wiedział, o kogo chodzi.

Odeszłam stamtąd w swoją stronę z bardzo wyraźną refleksją: że przecież tak naprawdę w tym wszystkim chodzi tylko o Zmartwychwstanie; że to właśnie ono jest centralną (a w pewnym sensie jedyną) prawdą, którą mamy jako misjonarze głosić, bo przecież bez niego nie mielibyśmy i nie mamy nic do zaoferowania! No, może pomoc socjalną, ale akurat tym jest w stanie służyć każdy, nie tylko chrześcijanin. A przede wszystkim powinno się nią zajmować państwo. Zmartwychwstanie Jezusa – przecież to fakt zmieniający wszystko; centralne, rewolucyjne wydarzenie dziejów; przyczyna naszej wiary i dowód na jej prawdziwość; fundament. To również przyczyna mojej obecności na Syberii. To właśnie tą prawdą muszę promieniować, by jakiś Buriata zechciał porzucić mroki reinkarnacji i uwierzyć w Boga. Tę prawdę muszę celebrować w każdy niedzielny poranek. Czy nie przywykliśmy zanadto do cudu Zmartwychwstania? Czy nie spowszedniał nam? Czy nie sprowadziliśmy go do wymiaru wielkanocnego śniadanka i malowanych jajek?

Takimi pytaniami zakończę tę małą opowieść o spotkaniu z Czingizem.

Pozdrawiam Was serdecznie na progu nowego miesiąca, życząc pięknych jesiennych wrażeń.

*Barbara*

- **WSPOMNIENIE**

Śp. Walerian Wysocki urodził się 1.02.1926 roku w Osadzie Chwałów pow. Wołkowysk, woj. Białystok. Zmarł 31.01.2009 r. Pogrzeb odbył się 4.02.2009 r. na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie. W 1938 roku rozpoczął on naukę w Państwowym Gimnazjum Ogólnokształcącym im. Stefana Batorego w Wołkowysku. 10 lutego 1940 roku wraz z rodzicami i rodzeństwem został wywieziony do Oblasti Archangielskiej – miejscowość Szambo-Oziero, gdzie pracował przy wyrębie lasu oraz innych ciężkich pracach w samym centrum północnej tajgi. Dnia 8 stycznia 1941 r. zmarła Jego matka. Wreszcie mógł opuścić nieprzyjazną północ i 15 października 1941 r. wraz z innymi Polakami rozpoczął podróż w wagonach towarowych do Kazachstanu, która trwała 2,5 miesiąca. Punktem docelowym był kołchoz Berlesu-Einbiek w rejonie dżambulskim, tam chorował na tyfus plamisty, tam też 5 kwietnia 1942 r. zmarł na tyfus jego ojciec. W kołchozie pracował na roli, następnie do marca 1943 r. przy budowie linii kolejowej turkiestańsko-syberyjskiej gdzie przez cały okres panował głód i ciężka, wyczerpująca praca.

3-go maja 1944 r. śp. W. Wysocki zgłosił się do Wojska Polskiego w Dżambule; mimo, że był w złej kondycji fizycznej, udało mu się przebrnąć przez komisję poborową, lecz służba wojskowa pogorszyła Jego stan zdrowia. 20-go grudnia 1944 r. orzeczeniem Komisji Lekarskiej został zwolniony ze służby wojskowej i razem z wojskiem przybył do Chełma. Był absolwentem Wydziału Prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Po ukończeniu studiów i odbyciu aplikacji zakończonej egzaminem adwokackim pracował w Wydziale Finansowym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie, a następnie jako radca prawny w Teatrze Państwowym w Lublinie.

\*

Walerian Wysocki

Śp. Walerian Wysocki był członkiem Lubelskiego Oddziału Związku Sybiraków od początku reaktywowania jego działalności. W latach 1993-1997 był jego prezesem. W tym okresie z Jego inicjatywy została ufundowana i odsłonięta tablica memoratywna w kościele o.o. Kapucynów na Poczekajce w Lublinie, poświęcona pamięci tych, którzy pozostali na nieludzkiej ziemi. W kolejnych latach pełnił funkcję Przewodniczącego Sądu Koleżeńskiego. Członkowie społeczności sybirackiej z najgłębszym żalem pożegnali śp. W. Wysockiego, człowieka niezwykle życzliwego, bezinteresownego, spieszącego z pomocą każdemu, kto jej potrzebował. Szczególnie jako emerytowany adwokat służył Związkowi Sybiraków swoją wielką wiedzą prawniczą. W pamięci członków Związku pozostanie na zawsze jako człowiek serdeczny, cieszący się wielkim autorytetem w naszej społeczności, przyjazny każdemu człowiekowi. Takim zachowamy Go w pamięci. śp. W. Wysocki wydał w 2000 roku książkę pt. *W tajdze i na stepie – wspomnienia 1940-1944*, wydał także swoje wiersze w zbiorze pt. *Łzy radości i smutku*, jeden z nich poświęcony jest odsłonięciu pomnika Matki Sybiraczki – 17 września 2000 r. w Lublinie.

Podczas uroczystości pogrzebowej lubelski bard Jan Kondrak zaśpiewał „Pożegnanie” – pieśń, której słowa napisał syn śp. W. Wysockiego, Włodzimirz Wysocki. Oto jej słowa:

#### POŻEGNANIE

Gdy rąbałeś pnie twarde jak skała  
A w baraku tuliłeś do pieca  
Matka tylko nad Tobą płakała  
I nikt wiele Ci nie mógł obiecać

Gdy maszyną po nocach stukąłeś  
A mnie dniami nosiłeś na plecach  
Daleś tyle choć miałeś tak mało  
I nikt wiele Ci nie mógł obiecać

Kiedy widzę co teraz się stało  
I gdy łzy tak jak dziecku mi lecą  
Wiem, że oddać Ci mogłem tak mało  
I już wiele nie mogę obiecać...

Z ogromnym smutkiem lubelscy Sybiracy pożegnali śp. Waleriana Wysockiego. Niech spoczywa w pokoju wiecznym.

*Związek Sybiraków Oddział w Lublinie*

- **JUBILEUSZ 10-LECIA ZWIĄZKU SZLACHTY POLSKIEJ WE WROCŁAWIU**



Dnia 10 czerwca 1999 roku z inicjatywy Mieczysława Kopcia, który uzyskał specjalne pełnomocnictwo od Zarządu Głównego Związku Szlachty Polskiej 8. osób z tradycjami szlacheckimi powołało we Wrocławiu Zarząd Regionu tego Związku. Jego prezesem został wybrany M. Kopeć inicjator tego przedsięwzięcia. Utworzona jednostka była pierwszą tego typu strukturą w Polsce podlegającą organizacji szlacheckiej, która powstała w 1995 r. w Gdańsku, wśród osób skupionych przy wydawanym tam czasopiśmie „Verbum Nobile”, które miało za zadanie zintegrować środowisko szlacheckie w Polsce, reaktywować etos szlachecki, przywrócić świadomość bycia szlachcicem, odkłamać fałszywy obraz tej społeczności forsowany przez upadły reżim.

Wśród członków – założycieli organizacji powstałej we Wrocławiu znaleźli się potomkowie rodów kresowych i tych zamieszkujących Królestwo Polskie. Dnia 23. września 1999 r. zwołano konferencję prasową aby poinformować o tym fakcie wrocławskie media, jak też przedstawić cele organizacji. Zainteresowanie było umiarkowane, byli redaktorzy z telewizji oraz prasy lokalnej, przeprowadzono kilka wywiadów z członkami Związku. W dzienniku wrocławskim „Słowo Polskie” ukazał się artykuł pod tytułem *Jaruzelski bez szans*. Dziwne, że dziennikarz, który winien przekazać przede wszystkim informację o powstaniu Związku Szlachty Polskiej, wypunktował to, że gen. Wojciech Jaruzelski nie może być jego członkiem, ponieważ nie odpowiada wymogom statutowym.

W kolejnych latach działalności zebrania członków odbywały się we wrocławskim zespole lokali gastronomicznych zwanym Dworem Polskim. Za jeden z celów tych spotkań uznano krzewienie informacji o historii, obyczajach, kulturze szlachty Rzeczypospolitej Obojga Narodów, o historii naszych rodów jak również inne sprawy z dziedziny kultury. Spotkania te traktowano nie tylko jako organizacyjne i towarzyskie biesiady bowiem uatrakcyjniano je prelekcjami z zakresu historii i szeroko pojętej humanistyki – literatura, sztuka, historia nauki itp. Każdy z członków i sympatyków Związku, przedstawiał dzieje swojego rodu i swojej rodziny, często burzliwe, szczególnie w ostatnim okresie. Tematyka prelekcji towarzyszących zebraniom organizacyjnym była zróżnicowana i tak o genealogii i heraldyce mówił Waldemar Raduszewski, W. Wiński o polskich herbach, prof. Marek Górny – wicedyrektor Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego o współczesnej heraldyce i pochodzeniu herbów, Adam Biliński o potomkach Wielkiego Księcia Giedymina. Nawiązaliśmy również kontakt ze Śląskim Towarzystwem Genealogicznym, którego prezes Grzegorz Medyka przedstawił działalność i cele tej organizacji. Tematy historyczne referowali: prof. Antoni Kuczyński, który przybliżył sylwetkę Bronisława Piłsudskiego – badacza Syberii, prof. Krzysztof Kawalec miał promocję swojej książki pt. *Spadkobiercy Niepokornych* – traktującej o dziejach II RP. Członek Zarządu Oddziału Juliusz Klemens ks. Czartoryski wygłosił prelekcję o dziejach swojego rodu w czasach przeszłych i obecnych. Kazimierz Łączyński zaciekał członków historią swojego rodu oraz chyba najbardziej znanej z jego przedstawicieli hrabiny Marii Walewskiej z d. Łączyńskiej. O historii najnowszej mówił Kazimierz Romanowski informując o swoim krewnym, który był adiutantem gen. Władysława Andersa.

Z tematów dotyczących spraw ogólnokulturalnych trzeba wspomnieć o spotkaniu z dyrektorem Muzeum Poczty i Telekomunikacji Jadwigą Bratków-Do-magałą i z kanclerzem Rycerskiego Zakonu Świętego Grobu Bożego Włodzimierzem Krysiakiem oraz z naszym członkiem z Niemiec Jerzym Kopciem (Georgiem von Kopetz), który wygłosił referat o szlachcie niemieckiej i jej ty-

tułach arystokratycznych. O wrocławskim Instytucie Pamięci Narodowej informował nas jego pracownik Piotrowski, a o Związku Sybiraków jego prezes Jan Fenc. Przed wyborami samorządowymi swoją sylwetkę kandydata na prezydenta miasta przedstawił Ryszard Czarnecki. O Poczcie Polskiej mówił wicedyrektor Okręgu Paweł Kopec. Członek wrocławskiego Oddziału Janusz Saryusz-Wolski mówił o swoim pobycie w Afganistanie, a Ryszard Adamowicz o pielgrzymce do Ziemi Świętej, prof. J. Winkler o historii Unii Europejskiej, a Ilona Sapińska o wycieczce do Chin. Prezes Oddziału Związku Szlachty Polskiej M. Kopec wygłosił kilka referatów m.in. o obyczajach szlacheckich podczas bankietów, o nieszlacheckich żonach szlachciców, o dokumentach rodowych otrzymanych z archiwum w Wilnie, o szlachcie w Wielkim Księstwie Litewskim i jej współczesnych wybitnych przedstawicielach. Udzielił on również kilku wywiadów radiowych dotyczących naszego Związku (Radio Wrocław i Radio Rodzina) po których pełnił przez pewien czas dyżur w rozgłośni i odpowiadał na pytania słuchaczy co skutkowało przystąpieniem kilku osób do Związku. Było też kilka wywiadów w telewizji lokalnej i krótki występ w telewizji ogólnokrajowej.

Oddział utrzymuje ożywione kontakty z organizacjami pokrewnymi ideowo takimi jak: 1. Królewski Związek Szlachty Litewskiej, którego członkowie złożyli wizytę we Wrocławiu a nasza delegacja była przyjmowana bardzo serdecznie w Wilnie, Kownie i Wace Trockiej, gdzie prezesowi M. Kopciowi w sposób uroczysty nadano członkostwo tej organizacji; 2. Polskie Towarzystwo Ziemiańskie – utrzymujemy stały przyjacielski kontakt – poprzedni i obecny jego prezes we Wrocławiu jest naszym członkiem; 3. Śląskie Towarzystwo Genealogiczne – które zaprasza członków naszego Oddziału na ciekawe spotkania w okolicznych zamkach; 4. Korespondencyjnie ze Związkiem Szlachty Białoruskiej z jego kanclerzem i marszałkiem mińskim ks. Aleksandrem Szymbalio-wem h. Szembel. Na spotkaniach tych bywają też nasi sympatycy: red. A. Fastnacht-Stupnicka, prof. Grodzicki, dr Rzemieniecki – konsultant ZSzP.

Organizowaliśmy też spotkanie opłatkowe z J.E. ks. biskupem A. Siemieniowskim oraz z J.E. ks. kardynałem Henrykiem Gulbinowiczem na którym opowiadał On o swoim dzieciństwie i młodości spędzonej w dworze pod Wilnem. Tradycją już jest, że latem w czerwcu Związek organizuje sesje wyjazdowe połączone z uroczystym obiadem w pałacach i zamkach w okolicach Wrocławia. Byliśmy dwukrotnie w pałacu ks. Radziwiłłów w Antoninie, dwukrotnie w Krobielowicach – pałacu feldmarszałka von Bluchera i innych. Na zaproszenie ks. Juliusza Czartoryskiego (członka naszego Oddziału) byliśmy z wizytą w jego obecnej siedzibie w miejscowości Morzęcin Mały k. Osoli oraz w siedzibie jego przodków w pałacu w Rokosowie, gdzie wysłuchaliśmy wielce interesującej gawędy o jego rodzie i dziejach rezydencji. Delegacja Oddziału brała też udział (2007 r.) w uroczystości powołania Starostwa Wrocławskiego Konfederacji Spiskiej – organizacji monarchistycznej, na której był obecny potomek naszych królów z dynastii Wettynów książę Albert saski z małżonką.

Tak więc wielość działań programowych w czasie minionym wpłynęła na wykształcenie się wśród członków wrocławskiego Oddziału Związku Szlachty Polskiej, bardziej świadomej więzi z przeszłością swoich rodów i stała się czynnikiem integrującym naszą wspólnotę. Należy także dostrzec, że wspomniana już aktywność członków, dała sumpt do tego aby jeszcze bardziej spopularyzować idee Związku Szlachty Polskiej, obudzić świadomość szlachecką, zasilić

nasze szeregi ,przekazywać etos szlachecki młodemu pokoleniu oraz bardziej integrować brać szlachecką. W różny więc sposób oswajaliśmy obszary tradycji szlacheckiej nadając jej formę zgodną z realistycznym widzeniem rzeczy. To Oddział czynić będzie dalej a co z tego wyniknie czas pokaże.

*Mieczysław Kopeć – prezes  
Związku Szlachty Polskiej we Wrocławiu*

#### **• XI ZJAZD OGÓLNOPOLSKIEGO KLUBU PAWŁODARCZYKA – 28 MAJA/1 CZERWCA 2009 ROKU**

Pociągi wiozące Pawłodarczyków na doroczne Zjazdy zmierzają ze wszystkich części kraju. W Rewalu na strudzonych podróżą czeka wypoczynek a potem spotkania z naszą pawłodarską rodziną. Czekamy na te spotkania przez cały rok i wypatrujemy przyjazdu wszystkich, którzy byli przed rokiem, dwoma, a nawet dziesięcioma laty. O każdą nieobecność pytamy: dlaczego?

Po serdecznych powitaniach i nocnym wypoczynku, XI Zjazd rozpoczęliśmy wspólnym zdjęciem przy obelisku, odsłoniętym w czerwcu 2008 r., „Na pamiątkę X rocznicy istnienia Klubu Pawłodarczyka”. O godzinie 10.<sup>00</sup> w pensjonacie „Jantar” uroczystego otwarcia Zjazdu dokonał prezes Klubu, Wincenty Dowojna. Wysłuchaliśmy *Hymnu Sybiraków*, chwilą ciszy uczciliśmy zmarłych kolegów i koleżanki, odmawiając wraz z księdzem Franciszkiem Szydłowskim krótką modlitwę. Prezes Klubu przywitał gości przybyłych na Zjazd: proboszcza parafii w Rewalu – księdza kanonika F. Szydłowskiego, redaktora „Głosu Wielkopolski” – Sławomira Kmiecika, wiceprezesa Stowarzyszenia Rodzin Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich – Janusza Szubę, przedstawicielkę Muzeum Niepodległości w Warszawie – Reginę Janiszek-Madej, nauczycielkę z Łodzi – Dorotę Żurek, Marzenę Domaradzką z redakcji „Kuriera Szczecińskiego” oraz liczne grono Pawłodarczyków.

Na ręce prezesa W. Dowojny przysłany został okolicznościowy adres od Aleksieja Wołkowa, Ambasadora Nadzwyczajnego i Pełnomocnego Republiki Kazachstanu w Rzeczypospolitej Polskiej, z podziękowaniem za zaproszenie na Zjazd i „Pismem powitalnym”. Oba adresy odczytała rzeczniczka Klubu Krystyna Mateuszuk, natomiast sprawozdanie z ostatniego roku działalności przedstawił prezes Klubu. Kolejnym punktem programu było wręczenie odznaczeń. Na wniosek Klubu, Komisja Odznaczeń i Wyróżnień Zarządu Głównego Związku Sybiraków przyznała Honorowe Odznaki Sybiraka: Albertowi Miłaszewskiemu – Sybirakowi i Bogdanowi Twardochlebowi – dziennikarzowi z „Kuriera Szczecińskiego”. Odznaczenia wręczył prezes Klubu, W. Dowojna. Kapituła Stowarzyszenia Rodzin Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich odznaczyła Medalem Dziedzictwa Kresów Wschodnich następujące osoby: prezesa Wincentego Dowojnę, księdza Franciszka Szydłowskiego, Tadeusza Barańskiego, Krystynę Mateuszuk i Tadeusza Szumowskiego. Odznaczenia wręczył wiceprezes Stowarzyszenia Rodzin Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich, Janusz Szuba i sekretarz Stowarzyszenia, Mieczysław Wójcik.

Następnie zabrał głos ksiądz F. Szydłowski, życząc wszystkim przybyłym na Zjazd zdrowia i realizacji zamierzeń, wskazując przy tym na świadom-

mość pożytków dokumentacyjnych związanych z naszymi losami na zesłaniu, co pomaga zrozumieć pełniejsze poznanie polskich dróg na zesłaniu i ustalenie prawdy historycznej, dla których losy Pawłodarczyków stanowią jakiś fragment. Łączy się z tym Marsz Pamięci Młodzieży Polskiej i Rosyjskiej, w którym w tym roku wzięła udział 150 osobowa grupa uczniów szkół z Poznania, Gośliny Murowanej i Obornik Wielkopolskich, a ze strony rosyjskiej – słuchacze korpusu Kadetów ze Smoleńska i uczniowie szkoły nr 8 w Smoleńsku. Marsze te organizuje Stowarzyszenie „Memoramus”, którego założycielem i prezesem jest W. Dowojna, także prezes Klubu Pawłodarczyków. Redaktor S. Kmiećnik, uczestnik wszystkich Marszy Pamięci Stacja Gniazdowo-Las Katyński, zrelacjonował III Marsz Pamięci Młodzieży Polskiej i Rosyjskiej. On też opublikował w „Głosie Wielkopolski” (z dnia 8 maja 2009 r.) artykuł pt. *Dialog w Gniezdowie trwa*. Są w nim wypowiedzi Igora Grigoriewa – dyrektora Kompleksu Memorialnego „Katyń”, Lidii Turczynkowej – przewodniczącej Smoleńskiego Oddziału Rosyjskiego Stowarzyszenia Ofiar Bezprawnych Represji Politycznych, Rościsławy Tymań – prezesa Domu Polskiego w Smoleńsku oraz młodzieży biorącej udział w Marszu. Wszystkie wypowiedzi są nacechowane głębokim smutkiem.

Następnie zabrał głos Pawłodarczyk – historyk, prof. Stanisław Alexandrowicz, który poinformował, że w 2004 roku ukazała się książka Zofii Lipskiej, zatytułowana *Migracje pogranicza*, w której znajduje się dokumentacja dotycząca Polaków wywiezionych do pawłodarskiej obłasti. Książka znajduje się w Muzeum Historycznym w Białymstoku. Następnie Irena Bujalska zaprezentowała swoją wspomnieniową książkę pt. *Tak było*, a Ryszard Michalczyk z redakcji czasopisma „My Sybiracy” wydawanego przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi tradycyjnie już dał nam możliwość uzupełnienia brakujących egzemplarzy tego rocznika. W przededniu wielkiej uroczystości poświęcenia sztandaru Klubu, wszystkim darczyńcom i zaangażowanym w jego powstanie przekazano podziękowania i okolicznościowe foldery.<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> W folderze tym przez przeoczenie pominięta została osoba Romana Szablowskiego, Członka komitetu Organizacyjnego kierującego tym przedsięwzięciem za co serdecznie przepraszamy dziękując Mu za poniesiony trud.



Po wyczerpaniu programu pierwszego dnia Zjazdu wybrano się na wycieczkę do Pustkowa, Trzęsacza i Kamienia Pomorskiego. Będąc w Rewalu, nie sposób nie być w katedrze w Kamieniu Pomorskim, nie sposób też nie spojrzeć na ostatni fragment ściany kościoła w Trzęsaczu, której jeszcze nie zabrało morze. Pustkowo to dla nas nowe odkrycie – to rodzaj platformy nad brzegiem Bałtyku. Na niej wznosi się stalowy krzyż, będący repliką krzyża na Giewoncie. Wokół znajduje się kilkanaście głazów dziękczynnych od parafii, szkół, stowarzyszeń. Naszym przewodnikiem był Tadeusz Szumowski. Przyjemnie spędzony dzień zakończyliśmy wysłuchaniem koncertu muzyki poważnej, sponsorowanego przez właścicieli pensjonatu „Jantar” – Danutę i Ryszarda Rutów.

Kolejny dzień upłynął uczestnikom Zjazdu na spacerach plażą, podczas których realizowano także kolejne ujęcia do filmu o naszych losach. Udzielaliśmy też wywiadów ekipie TV Szczecin i dziennikarzom szczecińskich gazet. Opowiadaliśmy o swoim losie, codziennej egzystencji i zawierzeniu losów Bogu, które dodawało sił do przetrwania, a myśl o powrocie z niewoli ocalała niejednego z zesłańców. Słuchano nas uważnie, skrzętnie notowano wszystko, co wiązało się z pobytem na zesłaniu, a więc szczegóły z życia, stosunki z oto-

czeniu próby dotarcia do formującego się w ZSRR wojska polskiego pod dowództwem gen. Władysława Andersa itp. W godzinach popołudniowych pobyt nasz uświetnił Zespół Ludowy „Trzebiatowiacy” dedykując Pawłodarczykom interesujący koncert.

Kolejny dzień Zjazdu przypadający 31 maja nosił dla uczestników Zjazd szczególny charakter. Od godzin rannych przygotowywaliśmy się do poświęcenia sztandaru Klubu. O godzinie 11.00 w progu kościoła pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela w Rewalu, stanął poczet sztandarowy w składzie: Zofia Majchrowicz z Łobza, Tadeusz Szumowski ze Szczecina i Dorota Żurek z Łodzi. Za nimi z darami dla świątyni: ornatem i stulą, stanęli: Stanisława Chęcińska z Łagowa, Mieczysław Wójcik z Warszawy i Tadeusz Barański z Łobza. Księża Franciszek Szydłowski i Kazimierz Barzycki wprowadzili orszak do stóp ołtarza. Tu nastąpiło poświęcenie sztandaru, ornatu i stulę. Świątynię wypełniły dźwięki *Hymnu Sybiraków* oraz pełne zadumy słowa tej pieśni, podkreślające iż „Z miast kresowych, wschodnich osad i wsi, z rezydencji, białych dworców i chat...”, szli Polacy na Sybir przez wiele dziesiątków lat. Widziałam, że nie tylko nam Sybirakom płynęły łzy wzruszenia.<sup>2</sup>

Mszę św. koncelebrowaną odprawił i homilię wygłosił wspomniany już ks. kanonik F. Szydłowski, zaś lekcję i modlitwę wiernych czytała Irena Bujalska z Warszawy. W procesji dary ołtarza złożyli: chleb – Janina Rachwał z Łobza; świecę – Zofia Chojnicka z Łobza; kielich – Józef Świrko z Opola; owoce – Ryszard Michalczyk z Łodzi; kwiaty – Dobrochna Konrad z Poznania. Narrację przygotowała i podczas składania darów wygłosiła Zofia Majchrowicz z Łobza, ona też odczytała fragment wiersza Mariana Jonkajtysa: „W sercach i umysłach wygnanych, wśród stepów Kazachstanu – byłaś opieką i wiarą, światłem w Panu...”. Podziękowała również za liturgię Mszy św. i homilię, po czym zabrzmiały organy i setki głosów w pieśni *Boże, coś Polskę.*, a poświęcony sztandar salutował dziękczynnie przed ołtarzem, płynąc jakby nad głowami wiernych. Wzruszeni, odprowadzaliśmy go wzrokiem.

Po uroczystościach związanych z poświęceniem sztandaru, popołudnie i wieczór uczestnicy Zjazdu spędzili przy ognisku: z muzyką i śpiewem. Ekipa filmowa z Poznania, towarzysząca nam przez cały czas realizowała ostatnie sekwencje filmu. Według przewidywań reżysera będzie on emitowany w programie I TVP. Podczas ogniska wracano do wspomnień z lat minionych – dzieciństwa, zesłania i powrotu do kraju. W atmosferze tych wspomnień zakończył się kolejny Zjazd Pawłodarczyków, a już w dniach 20-27 czerwca gościliśmy grupę młodzieży z Majkainu w Kazachstanie.

Żegnając się w Rewalu umawialiśmy się z nadzieją na następne spotkanie za rok. Niektórzy z nas spotkali się potem na 9. Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru w dniach 9 i 10 września 2009 r. w Białymstoku. Był to już 9. Marsz, lecz po raz pierwszy wśród ponad 200 sztandarów był też sztandar Klubu Pawłodarczyka. Co roku w Marszu tym uczestniczy kilka tysięcy osób, w tym znaczna

---

<sup>2</sup> Nad aparaturą odtwarzającą *Hymn Sybiraków* czuwał najmłodszy uczestnik Zjazdu Marcin Orłowski uczeń III klasy Zespołu Szkół Budowlanych w Koszalinie, wnuk Jadwigi Lenarczyk z Klubu Pawłodarczyka.

część młodzieży z różnych szkół Polski, ze swoimi nauczycielami, sztandarami i różnymi znakami pamięci.

Na tegoroczny Marsz będący wielką manifestacją przeciwko złu, które przyniosła wojna podobnie jak co roku przyjechali Polacy z Litwy, Ukrainy i Białorusi. Uczestniczyło w nim ponad 13 tys. osób i w tym roku szczególnie wspomniano tych zesłańców na Syberię, którzy walczyli o Polskę na różnych frontach drugiej wojny światowej. Było to nawiązanie do przypadającej w tym roku 70. rocznicy wybuchy drugiej wojny światowej i napaści sowieckiej na Polskę. Marsz zakończyły uroczystości przy Grobie Nieznanego Sybiraka, jedynym w Polsce takim pomniku, usytuowanym przy białostockim kościele pod wezwaniem Ducha Świętego. Pomnik zawiera prochy Polaków zmarłych na terenie byłego Związku Radzieckiego.

Każdy nasz Zjazd kończy się postanowieniem spotkania się w roku następnym i życzeniem aby był on równie wspaniały jak wszystkie poprzednie. Co roku, dzięki nieustającym pomysłom i pracy Tadeusza Barańskiego, mieliśmy identyfikatory, znaczki z naszym logo, medale, dyplomy, a w tym roku były także pamiątkowe breloczki. Dzięki inicjatywie Tadeusza Szumowskiego wiele urn z ziemią z grobów Polaków zmarłych w okręgu pawłodarskim w latach 1940-1946 zostało ofiarowanych szkołom i kościołom. Świadomość pożytku płynącego z naszych spotkań dotyczących integracji byłych zesłańców do pawłodarskiej obłasti jest swoistym czynnikiem żywej tradycji o którą dbamy wzbogacając ją o nowe fakty. Takim właśnie wyróżnikiem w tej faktografii była propozycja sprzed roku jaką przedstawiłam w sprawie naszego sztandaru. Było mi niezmiernie trudno wypowiedzieć myśl, z którą nosiłam się od dawna. Zastanawiałam się jak zostanie ona przyjęta? Tymczasem aprobata Państwa była niezwłoczna, za co z całego serca dziękuję. To dzięki Państwa jedności i hojności mamy swój sztandar. Wielkie podziękowania należą się Tadeuszowi Barańskiemu, który podjął się funkcji skarbnika Komisji ds. ufundowania sztandaru i zebrał od Państwa składki. Nikt nie odmówił datku. Kolejnym zaangażowanym jest Mieczysław Wójcik z Warszawy, który na Zjeździe był po raz pierwszy w 2008 roku, a podjął się ogromnej pracy, dzięki czemu sztandar mogliśmy poświęcić już podczas tego Zjazdu. Było wiele propozycji, uwag; niezmiernie trudno było zaprojektować sztandar. Z pomocą projektową pośpieszył nam syn Sybiraka Janusz Szuba – wiceprezes Stowarzyszenia Rodzin Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich. Szybko uzgodniliśmy wszystkie szczegóły. Sztandar został wykonany przez hafciarkę z Łowicza, a Mieczysławowi Wójcikowi dziękujemy za trud i zaangażowanie w kierowaniu pracami aż do szczęśliwego końca.

Nie sposób przy tej okazji nie przypomnieć w wielkim skrócie minionych 10. lat. Ogólnopolski Klub Pawłodarczyka powstał w marcu 1999 r. podczas I Zjazdu w Kiekrzu koło Poznania. Prezesem został W. Dowojna z Poznania. Nikt z uczestników nie miał dalekosiężnych planów, tymczasem w czerwcu 2008 r. odbył się jubileuszowy X Zjazd. W minionym okresie było sporo przedsięwzięć a wśród nich: dwukrotne wyjazdy Pawłodarczyków do miejsc zesłania, w poszukiwaniu grobów bliskich; organizowanie przez 6 lat w czasie wakacji obozów wypoczynkowych dla dzieci i młodzieży w wieku 7-16 lat, pochodzenia polskiego – z Pawłodaru i Astany; odsłonięcie Mogiły – Pomnika, na Cmentarzu Pochomowskim w Pawłodarze w 2004 r.; by uczcić przyjazd Papieża Jana Pawła II do Kazachstanu i spotkanie Jego Świątobliwości z pielgrzyma-



mi przybyłymi do Astany przesłaliśmy Kościołowi katolickiemu w tym kraju naczynia liturgiczne, stuły i alby; w 2005 r podczas Zjazdu gościliśmy grupę osób z Pawłodaru, Majkainu, Smoleńska; byli to nauczyciele, dziennikarze, dwóch budowniczych Mogiły – Pomnika w Pawłodarze – Kazach Bułat Tokin i syn polskiego zesłańca z 1936 r Wiktor Tatarinowicz; od września 2007 r. Pawłodarczycy mają swoją stałą ekspozycję w Muzeum Golgoty Wschodu w Białymstoku; są tam kroniki wydane przez Klub, pamiątkowe medale, urna z ziemią z grobów Polaków zmarłych w okręgu pawłodarskim w latach 1940-1946; Pawłodarczycy mają także swoje miejsce na kartach „Księgi Sybiraków 2006”, wydanej przez Zarząd Główny Związku Sybiraków; podczas X Zjazdu w czerwcu 2008 r. w Rewalu został odsłonięty obelisk z napisem „Na pamiątkę 10. rocznicy istnienia Klubu Pawłodarczyka – uczestnicy Zjazdów – czerwiec 2008 – Rewal”; w dniach 17-18 czerwca 2009 r. Pawłodarczycy po raz pierwszy uczestniczyli ze swoim sztandarem w 9. Pielgrzymce Związku Sybiraków do Lichenia (poczet sztandarowy w składzie: Józef Świrko z Opola, Stanisław Kulanda z Brzegu i Tadeusz Szumowski ze Szczecina).

*Krystyna Świrniak-Mateuszuk.*

## WIRTUALNE MUZEUM KRESY – SYBERIA

Muzeum bez gmachu i wielu etatów, zawsze dostępne dla wszystkich na całym świecie zostało otwarte 17 września 2009 r. w 70 rocznicę rozpoczęcia II Wojny Światowej i najazdu wojsk sowieckich na wschodnie rubieże Polski. Grupa zapaleńców i już synów i córek tych, którzy przeżyli gehennę Wschodu – zaczęła zbierać materiały i postanowiła stworzyć żywy, wspaniały pomnik dla ludności kresowej. Walczącej z dwoma najeźdźcami o przetrwanie i ostateczne zwycięstwo, by utrwalić pamięć i złożyć należny hołd.

W muzeum znajdują się dokumenty i opracowania znanych historyków poprzynając od przedwojennej wielokulturowej Polski, poprzez lata wojny i życia po wojnie w kraju i na emigracji. Będą tam historie poszczególnych ludzi, nazwiska, daty, fakty, fotografie, mapy, filmy, obrazy, wywiady, wszystko przedstawione w atrakcyjny, zajmujący widza sposób, a co najważniejsze w dwóch językach: polskim i angielskim, ewentualnie potem także w innych językach.

Organizatorzy zdobyli poparcie takich instytucji jak: Polski Instytut i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego w Londynie, Ośrodek „Karta” w Warszawie, Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, Instytut Hoovera w Stranfordzie i Senat RP. Patronat objęły wybitne autorytety jak: prezydent Ryszard Kaczorowski, profesor Norman Davies, sir Martin Gilbert, profesor Zbigniew Brzeziński i inni. Do współpracy zostały zaproszone organizacje polonijne, w tym także Koło Wychowanków Szkół Polskich Isafahan – Liban.

Dotąd organizatorzy pracowali społecznie, ale takiego przedsięwzięcia nie da się prowadzić bez pieniędzy. Stąd apel do wszystkich instytucji rządowych i filantropijnych, także indywidualnych darczyńców o poparcie finansowe. Adres: **Kresy – Syberia Foundation, mr. Stefan Wieśniowski, 3 Castle Circuit Close, Seaforthh NSW 2092, Australia, albo: [info@kresy-syberia.org](mailto:info@kresy-syberia.org)**

*Irena Godyń*

Przedruk z: Biuletynu „My” – Koła Wychowanków Szkół Polskich Isfahan – Liban, nr 49: 2009.

### GOLGOTA WSCHODU W CZĘSTOCHOWIE

Z inicjatywy niezapomnianego druha Rysia – potem prałata Zdzisława Peszkowskiego, wielkiego orędownika pomordowanych i zmarłych na Wschodzie, powstaje kaplica i Miejsce Pamięci. Inicjatywa ta znalazła poparcie u Ojca Świętego Jana Pawła II i Generała Zakonu Paulinów. Kaplica Golgoty Wschodu powstaje w bastionie św. Barbary na Jasnej Górze, a cały projekt zawiera trzy główne pomieszczenia: 1) las krzyży na których będą plakietki z nazwami miejsc zgonu i pochówku deportowanych; 2) kaplica z ołtarzem; miejsce modlitwy i sprawowania Eucharystii; 3) salka dyskusji, wykładów i filmów o Golgotcie Wschodu dla pielgrzymów, szkół i organizacji. Jasna Góra to od wieków specjalne miejsce, odwiedzane przez miliony, najlepsze do upamiętnienia tej jednej z najbardziej tragicznych epopei w historii naszego kraju. Projekt opiera się wyłącznie na ofiarodawcach, którzy będą uwiecznieni w specjalnej Księdze. Ofiary można składać w podzięcie za ocalenie, lub ku uczczeniu pamięci bliskich, którzy nie przeżyli zesłania.

**Ofiary należy przysyłać na adres: Mrs. J. Pajak, Poles in India (Golgota Wschodu), 23 Perne Rd. Cambridge CBI 3 RA, a w Polsce bezpośrednio do oo. Paulinów: Klasztor oo. Paulinów, Jasna Góra, ul. o. A. Kordeckiego 2, PL 42-225 Częstochowa (Poland).**

*Irena Godyń*

Przedruk z: Biuletynu „My” – Koła Wychowanków Szkół Polskich Isfahan – Liban, nr 48.

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Józef Włodek, *Wspomnienia z lat 1944-1946. Skierniewice 1962, Ciechanowiec 2008, s. 337.***

Muzeum Rolnictwa im. ks. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu wydało trzy tomy tzw. „Pamiętników Historycznych” Józefa Włodka, które przekazał on tam, w liczbie 10 tomów o różnej objętości. Nie stanowią one jakiejś ciągłości, każdy zawiera odrębną tematykę, jak i odcinek historii. Pierwszy tom: *Dzieje zagłady ziemiaństwa polskiego południowo-zachodniej Białostoczczyzny w latach 1939-1944, Skierniewice 1985, Ciechanowiec 2005, s. 383.* Drugi tom: *Profesor Kazimierz Rogoyski. Jego życie i praca dla rolnictwa polskiego, Skierniewice 1976, Ciechanowiec 2007, s. 285* oraz tom trzeci obecnie tu prezentowany: *Wspomnienia z lat 1944-1946. Skierniewice 1962, Ciechanowiec 2008, s. 337.* Ponieważ ostatni tom tej triady tematycznie łączy się z zagadnieniami jakimi zajmuje się „Zesłaniec”, przedstawię go Czytelnikom, jest to bowiem pierwszy w naszej literaturze opis łagru w Ostaszkwie.

Autor odwiedzał nasz dom, gdy pisał te swoje wspomnienia, bowiem razem przebywali z moim Ojcem w obozie w Ostaszkwie. Pamiętam, że kiedyś powiedział - jakby wymawiając sobie: „*zamiast pisać swoją pracę doktorską, to ja piszę ten opis łagrów*”. Było to około 1960 r. Matka moja mówiła, że przyjazdy J. Włodka przypominają nastrój przybycia emisariusza w czasach przedpowstaniowych. Potem otrzymaliśmy maszynopis na przebitce, oprawiony w okładki z pierwszymi arkuszami skryptu Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, z wielkim napisem: *Hodowla bydła*, żeby nawet gdyby ktoś niepowołany wziął tę grubą księgę do ręki, miał okazję do jej odłożenia. Tekst J. Włodka był jeszcze potem przepisywany, a nawet dokonana była pewna autorska chyba przeróbka wydana w 1987 r. w tzw. „drugim obiegu” pod pseudonimem *Wincenty Briński – Polacy w łagrach radzieckich w latach 1944-1946.* Wydawnictwo to dostarczył do Czartajewa współłagiernikowi Stanisławowi Wołkowi,<sup>1</sup> Janusz Domański z Bielska Podlaskiego – z prośbą o pisemną opinię w celu dołączenia jej do przekazywanego do Kurii w Drohiczynie egzemplarza. Ojciec jeszcze mi podyktował tekst listu i we wrześniu 1987 r. zmarł, zaś J. Włodek zmarł w kwietniu roku 1988. Był to już schyłek komunizmu.

Tom III „Pamiętników Historycznych” był napisany przez Autora najwcześniej, jako pierwszy. Kolejność nie odgrywa tu roli, gdyż jak zaznaczyłem stanowią osobne tematy. Autor zaczyna od roku 1944, przejście frontu przez majątki Włodków. Utarczki z frontowymi oddziałami, rabunki i konfiskaty. Zaczynają się aresztowania. Doszukują się uparcie związków z Armią Krajową. Autora tych wspomnień aresztowano na podstawie oskarżenia. Przesłuchania miały charakter dziwnych pogaduszek. Wreszcie nastąpiło wysyłanie na wschód razem z innymi aresztowanymi. Po drodze był Białystok gdzie autor

---

<sup>1</sup> Na okładkach książki widnieją kopie jego dokumentów z obozu.

spotkał wielu znajomych. Po paru dniach podróży, wiodącej przez Smoleńsk i transport zatrzymał się na stacji Ostaszków.

Autor wspomnień ma zdumiewającą pamięć do nazwisk oraz niezwykle obrazowo zapamiętywał najróżniejsze sytuacje w tym ludzkim zbiorowisku. Tu warto przypomnieć, że pisanie tych wspomnień odbywało się ze zrozumiałym pośpiechem 16 lat po powrocie z łagru. Zresztą J. Włodek odwiedzał, podróżując motocyklem po Polsce, wielu współuczestników owego zesłania, przeprowadził szereg rozmów, co zapewne utrwaliło mu w pamięci różne fakty czy sytuacje. Dzięki temu w sposób obrazowy przedstawił życie tego w ogromnej przewadze męskiego zbiorowiska. Kobiet był tam tylko jeden barak. Na to życie łagru w sposób decydujący wywierały wpływ trwające przez cały czas przesłuchania i śledztwa prowadzone przez NKWD. Wśród łagierników prowadzona była działalność in-doktrynacyjna w ramach tzw. tajnego Klubu Demokratów współpracującego z komendanturą. Z drugiej strony trwały prześladowania współwięźniów, którzy byli szucmanami czy podejrzewani o współpracę z Niemcami. Dokuczano im nocami publicznie i znęcano się nad nimi bez udowadniania winy, samowolnie. Komendantura sowiecka przymykała na to oczy, dawała przyzwolenie.

Opisy ciężkiej i nieludzkiej pracy, gdy wożono drewno w zimie z lasu na saniach, które zamiast pary koni ciągnęło 12 więźniów. Obóz posiadał tylko jednego konia. Zdarzały się przypadki, że brygady wywiezione wąskotorówką musiały zimą nocować w lesie z powodu zepsucia się parowozu. Wszystkie prace i przemarsze odbywały się pod konwojem patroli z bronią, które przed podjęciem marszu uprzedzały o prawie strzelania bez ostrzeżenia w przypadku zrobienia choćby kroku w zakazanym kierunku.

W 1945 roku część więźniów z Ostaszkowa została załadowana do transportu i przewieziona za Moskwę do stacji Diagilewo koło Riazania. Nie były jasne kryteria wyboru i podziału. Tam byli zatrudnieni przy pracach polowych: sadzenie i kopanie kartofli czy uprawa i kiszenie kapusty. Były tu znacznie lepsze warunki higieniczne, łaźnia i wreszcie wymiana bielizny, mydło!

W sumie jednak cały opis J. Włodka dotyczy zachowań samych Polaków w określonej izolacji i zamknięciu, wobec których ingerencja sowieckiej komendantury nie jest wielka. Wolno im wspólnie modlić się, nie było tak jak dawniej ingerencji ideologicznej. Nikt nie kazał oddawać czci Stalinowi. Jest to zdecydowanie inna już formacja, inny komunizm. Oczywiście wspomnienia zawierają znakomity opis wielu innych bezsensownych działań sowieckich, typowych dla ich gospodarki, gdzie jednak przeważał raczej bezsens, niż ideologia. Niezwykła pamięć Autora ujawnia się też w tym, że opowiadał kolegom w obozie całą *Trylogię* H. Sienkiewicza, ku pokrzepieniu serc.

Ostatni rozdział *Ci, co zostali w rizańskim łagrze* jest siłą rzeczy niedokończony, bowiem Autor wrócił z łagru w jednym z pierwszych transportów. W jesieni 1946 r. uciekło z łagru 6 więźniów. Przywódcą był *Jacek* o przybranym nazwisku Stawski (Był to Ryszard Reiff, po reaktywowaniu w 1988 roku Związku Sybiraków jego pierwszy prezes). Dotarli pomyślnie do Polski. Uciekł również gen. Wilk-Krzyżanowski, ten sam, który w 1944 zdobył na Niemczech Wilno. Udał się on do Moskwy, gdzie w Ambasadzie Polskiej zameldował o losie 1.600 żołnierzy przetrzymywanych w łagrze. Został odesłany do łagru z powrotem. Głodówka, jaką podjęli zatrzymani tam Polacy była dla Sowietów wielkim zaskoczeniem. W lipcu 1947 roku pozostawało tam jeszcze ok. 1.000 osób.

Omawiany tom III *Pamiętników...*, jest pierwszym polskim opisem pobytu w Ostaszkwie, w dodatku wykonanym z taką dokładnością i obiektywizmem. Autor pisze: *Nie żałuję swego pobytu w łagrze, bo dał mi tak wiele doświadczenia i możliwości poznania wielkiej ilości naprawdę dzielnych, porządnym i dobrych kolegów.* Książkę przygotowali do druku Jerzy Krzyżanowski i Norbert Tomaszewski, przy konsultacji naukowej prof. Adama Dobrońskiego i dr. Adama Wołki.

Adam Wołk

- **Katarzyna Kość, *Żywi we wspomnieniach. Doświadczenia śmierci w relacjach polskich zesłańców w ZSRR (w latach 1940-1946)*, „Prace Etnologiczne” Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, tom XIX, pod redakcją naukową Antoniego Kuczyńskiego, Instytut Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 2008, ss. 274.**

Zesłanie, rozumiane jako skierowanie skazanego na przymusowy pobyt do odległej od dotychczasowego miejsca zamieszkania miejscowości, stosowane było przez mocarstwa kolonialne od XVI wieku, choć początków takich praktyk można się dopatrywać w działaniach starożytnych Asyryjczyków. Cesarstwo rosyjskie, również stosowało tę praktykę, jako rodzaj kary pozbawienia wolności, a miejscem skazania była głównie Syberia. W Związku Radzieckim ten rodzaj sankcji karnej, jeszcze bardziej się rozpowszechnił.<sup>1</sup> Podstawą prawną dla zesłania, mogła być decyzja administracyjna, wyrok sądowy indywidualny lub generalny (deportacja).

Carat stosował ten rodzaj represji wobec byłych uczestników polskich powstań narodowych XIX wieku. Polacy zamieszkali na terytorium Związku Radzieckiego, również narażeni byli na ten rodzaj prześladowań. Mieściły się one we właściwym dla ustrojów totalitarnych, rozbudowanym systemie form represji, które stosowane były wobec podległej ich władzy ludności. Należy zwrócić uwagę, na skalę przymusowych przesiedleń, która znacząco zwiększyła się w okresie II wojny światowej.<sup>2</sup>

W okresie od lutego 1940 do maja 1941 roku miały miejsce cztery fale zsyłek obywateli polskich. Deportacje w głąb kraju, miały na celu represjonowanie wybranych środowisk i grup społecznych, znajdujących się na terenach wschodnich II Rzeczypospolitej, zajętych przez ZSRR we wrześniu 1939 roku. Objęły przedstawicieli czterech grup narodowościowych, jednak w większości była to ludność polska. Powroty do ojczyzny możliwe były dopiero od jesieni 1944 roku, kiedy na mocy układów, o wymianie ludności, mogli wyjechać ze Związku Radzieckiego obywatele polscy, narodowości polskiej i żydowskiej.

<sup>1</sup> Przesiedlenia i deportacje stanowiły jeden ze znamienitych aspektów polityki sowieckiej. W szerokim kontekście czasu i przestrzeni historycznej, warto przywołać bardzo wartościowe rozważania M. Wardzyńskiej, *Czas wielkich przemieszczeń – źródła i następstwa*, „Dzieje Najnowsze”, 1996, nr 1, s. 147-152.

<sup>2</sup> Por. S. Ciesielski, *Przymusowe wysiedlenia narodów w ZSRR*, „Dzieje Najnowsze”, 1996, nr 1, s. 201.

Wcześniej, część zesłańców wydostała się z „Nieludzkiej Ziemi”, wraz z Armią Polską. Niestety, wielu nie przeżyło trudów zesłania.

Problematyka represji wobec obywateli polskich na terenie ZSRR, w latach 1940-1946, długo nie mogła być przedmiotem pełnej i obiektywnej refleksji historycznej. Szansa na rzetelne badania, pojawiła się dopiero przed dwoma dziesięcioleciem. W okresie wcześniejszym, były one poważnie ograniczone, z powodu utrudnień w dostępie do zespołów archiwalnych, a także, z szeroko rozumianych, względów politycznych. Dla historyków emigracyjnych, poza brakiem dostępu do archiwów, przeszkodą mogły być również utrudnienia w kontaktach z żyjącymi jeszcze w PRL świadkami. Ludzie ci, nie zawsze zresztą wyrażali zgodę, na traumatyczną introspekcję, nie chcąc wracać myślami do tragedii, która była udziałem ich samych oraz ich najbliższych.

Autorka recenzowanego dzieła, Katarzyna Kość, jest etnologiem specjalizującym się, w antropologii śmierci, etnopsychologii i komunikacji międzykulturowej. Te zainteresowania naukowe, znalazły swoje odzwierciedlenie, zarówno w warstwie merytorycznej, jak i metodologicznej książki. Wybrana tematyka, została opracowana, przez osobę posiadającą odpowiednie przygotowanie teoretyczne i praktyczne, czego dowodzą wcześniejsze publikacje autorki „Żywych we wspomnieniach”.<sup>2</sup> Spodziewać się można, że recenzowana monografia, zyska zapewne rangę znaczącej pozycji, w literaturze naukowej. Wydaje się, że spełni również oczekiwania, wcale nie małej rzeszy czytelników, szeroko rozumianej literatury związanej z tematyką martyrologiczną, odnoszącą się do wydarzeń okresu II wojny światowej.

Autorka podjęła się opracowania zagadnień oryginalnych, a przez to niełatwych merytorycznie i metodologicznie. Za zaletę można uznać już samo sformułowanie tematu, które kładzie nacisk na badania postaw i zachowań ludzkich. Przyjęte ramy czasowe pracy nie budzą zastrzeżeń. Na osnovę książki składa się pięć rozdziałów o konstrukcji chronologiczno-problemowej. Zostały one poprzedzone słowem wstępnym, a zwieńczone syntetyzującym zakończeniem. Na uwagę zasługują słowniczki występujące w pracy: skrótów oraz ruscyzmów i zwrotów potocznych. Przygotowanie ich przez Autorkę stanowi znaczne ułatwienie dla czytelnika. Na końcu recenzowanej pracy znajduje się wykaz źródeł i opracowań oraz streszczenie w języku angielskim. Wydaje się, iż zabrakło indeksu nazw miejscowości, szczególnie, że zakres przestrzenny monografii obejmuje całość terytorium ZSRR.

Obszerny *Wstęp*, zawiera szczegółowe wyjaśnienie tematu oraz omówienie stanu dotychczasowych badań. Omówiona tutaj została również charakterystyka relacji zesłańczych oraz opis metod pracy, z tymi – podstawowymi dla opracowania – źródłami. Należy tutaj podkreślić ogrom pracy, jaki Autorka włożyła w zebranie oraz analizę, wielkiej liczby – w znacznej mierze niepublikowanych – wspomnień, zapisów wywiadów i kwestionariuszy ankiet. Zostały one zgromadzone w zasobach: Archiwum Wschodniego Ośrodka „KARTA” w Warszawie, Archiwum Naukowego Związku Sybiraków w Kielcach, Pracowni Dokumentacji i Informacji Naukowej oraz Archiwum Naukowego Muzeum Niepodle-

<sup>2</sup> Zob. Wykaz publikacji K. Kość zamieszczony w Internecie: <http://nauka-polska.pl/dhtml/raporty/ludzieNauki?rtype=opis&objectId=203407&lang=pl>, stan na 23 czerwca 2009 roku.

głości. Szczególne znaczenie ma wykorzystanie niepublikowanych relacji i wspomnień, przechowywanych w zbiorach Archiwum Naukowego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Poza relacjami, Autorka uwzględniła również źródła przechowywane w Archiwum Akt Nowych w Warszawie, a szczególnie Zespół Związek Patriotów Polskich. Kończąc omawianie bazy materiałowo-źródłowej, należy zwrócić uwagę na wykorzystanie w recenzowanej publikacji opracowań i relacji zesłańców, zamieszczanych na łamach czasopism: „Zesłaniec”, „Sybirak”, „Wrocławskie Studia Wschodnie”, „Karta” i „My Sybiracy”. K. Kość dowiodła ponadto, że jest doskonale zorientowana w literaturze przedmiotu, co znalazło swój wyraz w liczącym ponad dwieście tytułów wykazie opracowań. Zawarte zostały w nim zarówno prace wybitnych historyków (m.in. S. Ciesielskiego, A. Głowackiego, G. Hryciuka, E. Kowalskiej, A. Kuczyńskiego i P. Żaronia), jak i przedstawiciele innych specjalności naukowych (np. M. Eliadego, E. Nowickiej, F. M. Rosińskiego, L. V. Thomasa i J. Tischnera).

W rozdziale pierwszym, Autorka dokonała charakterystyki procesu deportacji Polaków do ZSRR, opierając się na literaturze przedmiotu, którą podała krytycznej analizie i ocenie. Istotnym wkładem do dotychczasowego stanu badań, może być tutaj podjęta próba, dotycząca weryfikacji dotychczasowych ustaleń historyków, dotyczących ustalenia najbardziej zbliżonej do faktycznej, liczby osób, które deportowano. Praca Autorki polegała przede wszystkim na porównaniu obrazu masowych wywózek, przedstawionego we wspomnieniach i relacjach zesłańców, z tym, jaki został zawarty w instrukcjach, raportach i sprawozdaniach, sporządzonych na potrzeby administracji sowieckiej.

W rozdziale drugim, który objętościowo dwukrotnie przewyższa poprzedni, opisane zostało życie codzienne zesłańców w kontekście szeroko pojmowanej problematyki sytuacji zdrowotnej w tym lecnicztwa. Autorka zwróciła uwagę na ambiwalencję postaw i zachowań deportowanej ludności wobec osób chorych i chorób jako takich. Przyczyn rzadkości występowania postaw altruistycznych, upatrywała w bardzo trudnych warunkach życia zesłanych Polaków. Deportowani przebywali w ekstremalnych warunkach bytowych, nie tylko w sferze materialnej, ale również w zakresie zapewnienia elementarnego psychicznego bezpieczeństwa.

W rozdziale trzecim poruszony został wpływ życia religijnego na przetrwanie na „Nieludzkiej Ziemi”. Autorka udowodniła, że wiara i religijność wyróżniały Polaków na tle innych grup narodowościowych, znajdujących się w zbliżonym położeniu. Starła się ponadto wykazać, jak wielką rolę odgrywało życie wewnętrzne i jego zewnętrzne oznaki w sytuacjach zagrożenia życia. Religijność stanowiła, bowiem znaczącą podporę psychiczną a także przyczyniała się do pogłębienia konsolidacji narodowej zesłańców.

Przymusowy pobyt w ZSRR był szczególnie niebezpieczny dla dzieci i młodzieży. Młodzi Polacy, nie mając jeszcze w pełni ukształtowanej świadomości kulturowej, w tym religijnej, bardziej niż osoby dorosłe, byli narażeni na skutki procesów ateizacji i rusyfikacji. Zagrożenie to powodowało, iż rodziny stawały nierzadko przed dylematem: posłać dziecko do zideologizowanej szkoły, gdzie będzie miało zapewnioną podstawową opiekę i wyżywienie, czy skazać je na analfabetyzm i pracę – nierzadko ponad siły. Szczęśliwie, indoktrynacja zazwyczaj nie osiągała zamierzonych celów, najprawdopodobniej ze względu na swój prymitywizm formalny. Czasem w szkołach, młodzi Polacy byli dyskryminowani

ze względu na narodowość, co jednak przyczyniało się do szybszego dojrzewania w zakresie uświadomienia narodowego a zarazem społecznego.

Rozdział czwarty recenzowanej pracy, poświęciła Autorka omówieniu stosunku zesłańców do śmierci i grzebania zmarłych. Podkreślić należy, że zjawisko śmierci, było w opisywanych warunkach powszechne. Została ona sprowadzona do faktu biologicznego, pozbawiona zakorzenionego w tradycji, społeczno-kulturowego fenomenu, który wyraża się w rytuałach i obrzędach, mających znaczenie jawne i ukryte. Deportowani Polacy starali się na miarę swoich możliwości, zachować zgodność z tradycją i zwyczajami, nie ulegając przy tym panującej dookoła areligijnej atmosferze. Obrzędowość pogrzebowa była z reguły bardzo skromna, w stosunku do tej, która odbywała się w normalnych warunkach. Wielu zesłańców nadzieje na przeżycie wiązało z wiarą. Religia, bowiem rozładowuje napięcia psychologiczno-egzystencjalne, które wiążą się z doświadczaniem śmierci. Przywiązanie do tradycji i religii pozwalało łatwiej znosić trudy codzienności, dzięki czemu dawało większe szanse na przetrwanie wywózki. Autorka utrzymuje, że symboliczne i rytualne gesty religijne, w warunkach zesłania, pozwalały zachować resztki poczucia godności, sensu życia i człowieczeństwa w ogóle.

Szczególną uwagę zwracają wyjątkowo dramatyczne opisy zgonów w trakcie transportu. Sposoby postępowania ze zwłokami, mogą być ilustracją stosunku władzy sowieckiej do człowieka jako jednostki. Przykłady zacytowane w pracy niezbicie dowodzą, że w systemie radzieckim, wartość osoby ludzkiej bardzo często była postrzegana jedynie w kategoriach czysto utylitarnych.

Ostatni rozdział omawianej monografii, jest poświęcony końcowemu etapowi zsyłki, czyli repatriacji. Więcej miejsca poświęcono w nim jednak, sprawom adaptacji do nowych warunków osób powracających ze Wschodu. Szczególnie istotne wydają się ustalenia Autorki, dotyczące długofalowych skutków obcowania ze śmiercią. Konsekwencje urazów bardzo negatywnie odbiły się na zdrowiu psychicznym i fizycznym byłych zesłańców, przyczyniając się do szeregu zaburzeń. Urazy związane z dehumanizującymi przeżyciami, prowadziły nie tylko do długotrwałych i trudnych w leczeniu schorzeń, a niejednokrotnie nawet do śmierci biologicznej.

Układ problemowy książki jest przejrzysty. Do licznych jej zalet można zaliczyć zachowanie właściwych proporcji w całokształcie omawianych zagadnień. Autorce, mimo operowania bardzo rozbudowaną bazą materiałowo-źródłową, udało się uniknąć przeładowania cytatami, jakie czasami obserwujemy w pracach opartych na relacjach wspomnieniowych. Atutem jest także jasny, bardzo komunikatywny styl. Pojawiające się drobne błędy literowe są bardzo rzadkie. W niczym jednak nie umniejszają one pozytywnych stron recenzowanej monografii, której największym atutem jest interdyscyplinarne podejście badawcze, łączące dorobek historii, antropologii kulturowej, socjologii, psychologii, a nawet psychiatrii.

Praca K. Kość wprowadza do obiegu naukowego nowe informacje źródłowe a także ciekawe interpretacje faktów historycznych. Może być przykładem umiejętnego połączenia rzetelności warsztatowej ze zrozumieniem symbolicznego znaczenia, jakie ma dla współczesnych Polaków, pamięć o tragicznych wydarzeniach sprzed ponad półwiecza. Ustalenia zawarte w *Żywych we wspomnieniach*, stanowią ważne dokonanie w badaniach nad postawami i zachowaniami społecznymi ludności polskiej zesłanej do ZSRR w latach 1940-1946.



- **Anna Kubajak, *Sybir i Syberia w dziejach Narodu Polskiego*, Krzeszowice 2008, s. 120; A. Kubajak, *Kresy i Sybir. Losy polskich dzieci*, Krzeszowice 2009, s. 132.**

Dwa piękne albumy autorstwa Anny Kubajak przenoszą nas – Polaków w czasy odległe, sięgające XVI wieku, a jednocześnie bliskie nam i współczesne wieku XX. Szerokie opisy i doskonałe zdjęcia przybliżają katorżnicze drogi naszych dziadów, zsyłanych carskimi dekretemi za „nieprawomyślność” czyli za myślenie po polsku, za wiarę, patriotyzm i udział w walkach o niepodległość oraz w powstaniach.

Nasi przodkowie, poczynając od jeńców z wojsk Stefana Batorego – króla Polski, co odnotowały kroniki wojenne z roku 1582, poprzez konfederatów barskich (1768), uczestników insurekcji kościuszkowskiej (1794), powstania listopadowego (1830) i powstania styczniowego (1863) podążający pieszo i słynnymi „kibitkami” na syberyjską katorgę, co tak wiernie utrwalił artysta-malarz Aleksander Sochaczewski (pokazany przez autorkę w wydanym albumie) są opisani w tym wydawnictwie.

Wśród nich znalazł się w roku 1864, po upadku powstania styczniowego, Józef Kalinowski, oficer – minister wojny Litwy, katorżnik z Usola k. Irkucka na Syberii. Długa, ciężka i zawiła była jego droga prowadząca do życia zakonnego, gdzie przyjął imię Rafała. Beatyfikowany i kanonizowany przez papieża Jana Pawła II jest patronem zesłańców z Golgoty Wschodu, patronem odradzającego się kościoła na Wschodzie.

Bardzo ważną pozycję w tym wydawnictwie zajmuje polska myśl zesłańców, krzewicieli zachodniej kultury przenoszonej do ludów dalekiej Syberii. Kolejną ważną pozycję stanowi młodzież, poczynając od Filaretów i Filomatów, dzielnych Orłąt Lwowskich z 1918 roku, kończąc na młodzieży końca XX wieku, której syberyjskie losy znajdują swoje miejsce w albumie. To w okresie czterech kolejnych deportacji w latach 1940-1941 polskie dzieci poznały syberyjskie szlaki, głód i poniewierkę poddani stalinowskim represjom. A potem dzięki gen. W. Andersowi część z nich opuściła ten „dom niewoli” i znalazła się w Afryce i Nowej Zelandii gdzie do dzisiaj nieliczni z nich mieszkają a ich potomkowie tworzą polską diasporę w Australii, Argentynie, Stanach Zjednoczonych czy w Południowej Afryce.

Uważam, że w obecnych czasach stałego pośpiechu i braku zainteresowania historią, czasach biznesu i „złotego cielca” – pieniędzy, nawet pobieżne przeczytanie tych dwóch pozycji umożliwi wchłonięcie nie tylko szerokiej wiedzy historycznej ale obudzi drzemiące poczucie dumy narodowej, patriotyzmu, obowiązku w stosunku do Ojczyzny i pogłębi bardzo splotone pojęcie wiary i praktyk religijnych. Rekomenduję też te książki dla bibliotek szkolnych bowiem ich wartość poznawcza oraz popularyzatorska jest na pewno ogromna i może zachęcić uczniów do sięgnięcia po książki przedstawiające szerokie spektrum stosunków polsko-syberyjskich. Serdecznie dziękuję Autorce za podjęty trud i wspaniałe albumy.

Zofia Helwing

- **Tadeusz Brzeziński, *Służba Zdrowia Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie 1939-1946*. „Biblioteka Zesłańca” t. 20, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 2008, s. 264 + album rycin.**

Nieliczne już środowisko byłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie z wielką radością i wdzięcznością dla Autora prof. dr hab. n. med. płk. Tadeusza Brzezińskiego przyjęło ukazanie się tej niezwykle cennej monografii, dotyczącej zaniedbanej dotąd przez historyków ostatniej wojny a niezwykle ważnej dziedziny dziejów Służby Zdrowia naszych Sił Zbrojnych, walczących na wszystkich frontach europejskich i w Afryce.

Omawiana monografia jest owocem wnikliwych wieloletnich poszukiwań i studiów archiwalnych w kraju i zagranicą niezwykle doświadczonego i mającego ogromny dorobek w zakresie historii nauk medycznych badacza, jakim jest prof. płk. T. Brzeziński, członek honorowy kilku towarzystw naukowych krajowych i zagranicznych. Studia takie były niezbędne, ponieważ ilość i jakość dotychczasowych artykułów i wspomnieniowych książek lekarzy i sanitariuszy, którzy byli uczestnikami i bohaterami tych wydarzeń, dotyczących na ogół różnych etapów szlaku bojowego 2. Korpusu, trudno uważać za wystarczającą. Ich efektem jest wyczerpująca monografia, obejmująca całokształt dziejów naszej służby zdrowia w polskich formacjach wojskowych na obczyźnie od jej początków we Francji, Wielkiej Brytanii i na Środkowym Wschodzie, przez Armię Polską w ZSRR, po działania bojowe 2. Korpusu we Włoszech oraz 1. Dywizji Pancerniej i Samodzielnej Brygady Spadochronowej w Europie Zachodniej. Należy przy tym podkreślić, że czytelnik znajdzie w omawianej książce wiele zupełnie nieznanych dotąd a istotnych szczegółów, dotyczących nie tylko służby zdrowia. Nic w tym dziwnego, jeżeli zważymy, że Autor jest wyższym oficerem, współorganizatorem i b. rektorem Wojskowej Akademii Medycznej im. gen. Bolesława Szareckiego, b. szefa służby zdrowia i naczelnego chirurga 2. Korpusu.

Piszący te słowa, który wskutek osłabienia po pobycie w sowieckim więzieniu przebywał kolejno w oddziale polskim wojskowego szpitala radzieckiego w Buzuluğu, a następnie w Polskim Szpitalu Wojskowym w Rehovot (Palestyna), dopiero z książki prof. Brzezińskiego dowiedział się szczegółów o organizacji służby zdrowia na tych etapach dziejów Armii Polskiej na Wschodzie i 2. Korpusu Polskiego.

Podobnie polsko-włoska grupa działaczy w Casamassima koło Bari, pragnąca upamiętnić funkcjonowanie w tym miasteczku w okresie 1944-46 największego i najlepiej wyposażonego naszego bazowego szpitala wojennego we Włoszech na 1200 łóżek i pobyt oddziałów polskich w Pulii, głównie dzięki szczegółowym informacjom zawartym w omawianej książce mogła przystąpić do przygotowania projektowanego muzeum i publikacji na ten temat. Warto dodać, że grupa ta, dzięki prof. T. Brzezińskiemu zyskała wsparcie Jego macierzystej Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie a za jej pośrednictwem również współpracującego z nią Wydziału Medycznego Uniwersytetu w Bari. Nie bez znaczenia jest fakt, że w okresie powojennym profesorem tej uczelni w Szczecinie był wybitny chirurg prof. Tadeusz Sokołowski, który pracując pod ko-

niec wojny w szpitalu w Casamassima zapisał się w życzliwej pamięci naszych rannych żołnierzy i miejscowej ludności. Warto na marginesie dodać, że tej niezwyklej postaci poświęcił swoją pracę doktorską syn prof. Brzezińskiego Witold, a staraniem Profesora w „Suplemencie” Archiwum Historii i Filozofii Medycyny opublikowano autobiografię prof. Tadeusza Sokołowskiego.

Niezwykle interesujące i cenne są nieznane dotąd zestawienia, podsumowujące liczby rannych w akcjach bojowych naszego 2. Korpusu podczas kampanii włoskiej i ich porównanie ze stratami oddziałów brytyjskich. Okazuje się, że w 1944 r. wynosiła ona na tysiąc żołnierzy w naszym Korpusie 169 zaś u Brytyjczyków 23. Jeżeli chodzi o analogiczne liczby ofiar nieszczęśliwych wypadków (głównie samochodowych) to w naszym Korpusie wynosiła ona ponad 69 a w korpusach brytyjskich ok. 47 na 1000 żołnierzy. Natomiast znacznie niższe były w naszym Korpusie w porównaniu z 8. Armią Brytyjską wskaźniki zachorowalności na choroby zakaźne przewodu pokarmowego – czerwonkę i żółtaczkę zakaźną. Dla oddziałów polskich wynosiły one odpowiednio 5,2 i 4,8 promili a dla brytyjskich – 11,3 i 22 promile. Zdaniem prof. Brzezińskiego było to spowodowane doświadczeniem naszych lekarzy podczas trudnych warunków zdrowotnych po ewakuacji z ZSRR na Środkowym Wschodzie oraz odmienne zwyczaje żywieniowe.

Jeżeli chodzi o straty na froncie, mimo woli przychodzi na myśl opinia absolwenta znanego brytyjskiego Ośrodka Wyszkożenia Broni Pancernej w egipskim Abbasya, oficera Pułku 6. Pancernego Dzieci Lwowskich Bohdana Tymienieckiego. W swej świetnej wspomnieniowej książce pt. *Na imię jej było Lily* zwrócił on uwagę na zupełnie odmienne zachowanie się polskich i brytyjskich oddziałów piechoty w podczas krótkich przerw w działaniach ofensywnych. O ile nasi żołnierze (z wyjątkiem wszechstronnie przeszkolonych komandosów) kryli się przed ogniem artylerii w zabudowaniach lub pod zaroślami i drzewami, Brytyjczycy, zgodnie z zasadami ich wyszkolenia, odpoczywali w pozycji leżącej, okopując się saperkami, co chroniło ich przed odłamkami nawet blisko wybuchających pocisków.

Z innych interesujących informacji, zamieszczonych w omawianej książce, szczególnie cenne są dane, dotyczące działania służby zdrowia 2. Korpusu podczas walk w Apeninie Emiliańskim jesienią 1944 r., które są najmniej znanym okresem kampanii włoskiej. Wskutek braku wiarygodnych informacji, w opisach tych działań w bardzo trudnym górskim terenie i fatalnych warunkach atmosferycznych jest wiele sprzeczności, dotyczących na przykład liczby zabitych naszych żołnierzy. O ile gen. Władysław Anders w swych wspomnieniach *Bez ostatniego rozdziału* ocenia straty naszego Korpusu w Apeninie na 42 oficerów i 627 zabitych, to wg danych uzyskanych przez prof. Brzezińskiego liczba ta jest znacznie mniejsza i wynosi 276 poległych i zmarłych z ran. Można przypuszczać, że jedną z przyczyn tych niezgodności jest wielka ilość ofiar wypadków drogowych, którą płk Stanisław Gliwicz, autor pionierskiego w naszej literaturze syntetycznego opracowania z 1960 r. zatytułowanego *Udział 2. Korpusu w kampanii włoskiej na tle działań Sprzymierzonych*, ocenia na 587, w tym 61 zabitych.

Można by przytoczyć jeszcze wiele innych unikatowych informacji na temat działalności służby zdrowia we wszystkich polskich formacjach, walczących u boku naszych aliantów na Zachodzie, zawartych w tej niezwykle wartościowej książce prof. T. Brzezińskiego. Nie ulega wątpliwości, że spotka się ona z ogromnym zainteresowaniem wszystkich, zajmujących się i zainteresowa-

nych dziejami nie tylko 2. Korpusu Polskiego, ale i innych jednostek polskich, biorących udział w walkach na wszystkich zachodnio i południowo-europejskich frontach drugiej wojny światowej.

Niepokój budzi fakt, że ta niezwykle wartościowa monografia, wydana staraniem redaktora naczelnego serii „Biblioteka Zesłańca” we współpracy z Ośrodkiem Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego, nie jest dostępna w księgarniach a można ją jedynie zamawiać u wydawcy czyli w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym we Wrocławiu. Dlatego piszący te słowa dowiedział się o jej wydaniu przypadkowo, dzięki informacji jednego z członków Komitetu Redakcyjnego „Biblioteki Zesłańca”, tej wielce zasłużonej oficyny wydawniczej podejmującej od ponad 15 lat problematykę stosunków polsko-sowieckich w okresie drugiej wojny światowej oraz szerokich kontekstów dotyczących związków polsko-syberyjskich. Oby ta krótka recenzja przyczyniła się do spopularyzowania omawianej bardzo cennej książki prof. dr hab. płk. Tadeusza Brzezińskiego w szerokich kołach osób zainteresowanych rzetelną wiedzą o dziejach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

*Prof. dr hab. Wojciech Narewski, członek PAU;  
b. żołnierz 2. Korpusu Polskiego*

- **Jan Kanas, *Podolskie korzenie*, Wydawnictwo „Norbertinum”, Lublin 2002, ss. 242, il. na wkładce po s. 64, mapy i plany w tekście**

Pośród piśmiennictwa o polskiej martyrologii na Kresach wschodnich w latach II wojny światowej, opiniowana recenzyjnie książka, zajmuje szczególnie miejsce, jako świadectwo ludobójstwa Polaków wznieconego przez ideowy poryw Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), który kontynuowała od 1942 r. Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) i związane z nią struktury jak Służba Bezpieczeństwa (SB) i Samoobronne Kuszczowe Widdiły (SKW). Ale nie tylko. Miejsce z jednej strony określone przez autorską dedykację, gdzie czytamy: „Pisanie moje traktuję jako hołd złożony Rodakom, którzy ponieśli śmierć męczeńską jedynie dlatego, że byli Polakami, a także tym Ukraińcom, którzy nieśli pomoc moim Ziomkom i za to musieli zginąć”.

Z drugiej, przez filozoficzną wypowiedź pt. *Cień nie osądzonych zbrodni*, pióra o. prof. dr hab. Mieczysława Alberta Krąpca (1921-2008), który wprowadza do narracji, gdy pisze: „to co wydarzyło się blisko 60 lat temu na Kresach, nie zostało nigdy przez światową opinię publiczną ani zauważone, ani potępione. A przecież szalał tam straszliwy terror na masową skalę. Trudno by znaleźć w historii ludzkości takiego nagromadzenia potwornych zbrodni. One porażają zarówno rozmiarami, jak i sposobami popełnienia. Dobrze, że obecnie zaczynają ukazywać się książki dokumentujące te wydarzenia. Pokazują one – a książka *Podolskie korzenie* czyni to w sposób niezwykle trafny – jak doszło do tego, że społeczność kresowa, zgodnie i pokojowo od lat współżyjąca, podzieliła się na dwie grupy: zbrodniarzy i ofiary. Pochodzę spod Zbaraża, z okolic położonych blisko tych opisywanych przez Jana Kanasa. Rzeczywiście z Rusinami, bo tak ich nazywaliśmy, mieszkaliśmy jak w rodzinie. Uznawaliśmy ich świętą i odwiedzaliśmy ich

w domach, podobnie jak oni nas [...] Zażyłość była tak duża, że gdy już zaczęły się rzezie, w niektórych polskich wsiach ludzie wbrew faktom, do końca nie wierzyli, że może im grozić coś złego ze strony sąsiadów. [...] Ten straszny terror, który dotknął niewinną ludność polską na dawnych Kresach Rzeczypospolitej, nie został nigdy potępiony, a zatem w pewnym sensie uzyskał cichą akceptację. Zbrodniarze do dziś nie przyznają się do winy, a świat ich nie potępia. Później terroryzm przenosił się z miejsca na miejsce, atakował i mordował, na ogół bezkarnie, w imię różnych obłąkańczych wizji.”

O. prof. M.A. Krąpiec przez pięć kadencji Rektor KUL i współtwórca Lubelskiej Szkoły Filozoficznej (tomizm), w tej osobistej wypowiedzi świadka, zakwalifikował zbrodnię ludobójstwa Polaków jako terroryzm i jest to ważne stwierdzenie, dodajmy, udokumentowane w narracji tej szczególnej biografii. Skłania to do kilku jeszcze uwag wprowadzających do tej prezentacji.

W badaniach uprawianych przez nauki humanistyczne, istnieje szczególne zapotrzebowanie na opracowania biograficzne, w tym na książki charakteryzujące się oglądem postaci w jej interpersonalnych powiązaniach, na tle życia społecznego środowiska, a zarazem życia politycznego na jego peryferiach. Tego rodzaju biografie umożliwiają poznanie wręcz analizę socjo-historyczną opisywanych wydarzeń w nich rozpoznanie ludzkich postaw i zachowań, ukazanie wzajemnych uwarunkowań – jednym słowem, odtwarzanie więzi społecznych w całej ich złożoności.

W biografii osobista wypowiedź jest jednocześnie świadectwem i wyznaniem. Dotykamy w tym miejscu pojęcia „literatury dokumentu osobistego”, które zastępuje we współczesnych badaniach dawniejsze określenia, jak „materiały biograficzne”, „pisma osobiste”, „dokumenty pamiętnikarskie”, etc., kiedy organizowano konkursy na pamiętniki, poczynając od prekursorskich inicjatyw Floriana Znanięckiego i Ludwika Krzywickiego. Wspomniane pojęcie „dokumentu osobistego” dodajmy, literackiego, wynika nie tylko z podmiotowości jego treści, która jako relacja, nie wymaga żadnych dodatkowych wyjaśnień.

Oto w omawianej książce obok indywidualnej wypowiedzi autorskiej, mamy część zatytułowaną „Świadkowie” (s. 163-208), gdzie podano 16 tekstów autorów, dziś zamieszkałych w 9 miejscowościach na Dolnym Śląsku, gdzie osiedli ekspatriowani Łozowianie po II wojnie. Są to relacje bezpośrednich świadków zabicia w nocy 29 grudnia 1944 r. w Łozowej 108 mieszkańców, Ich nazwiska, wiek, stan i narodowość podał Autor w Aneksie nr 1, na s. 227-229. Świadkowie składali już pierwsze relacje zaraz po napadzie w 1944 r., inni w różnych latach powojennych, przy czym są to wypowiedzi osób oczywiście dorosłych, jak i wtedy dzieci. Te ostatnie cechuje szczególna wierność w opisie faktów.

Inną cechą dokumentu osobistego jest niemal interdyscyplinarny jego charakter, przez wyraźnie zaznaczone w narracji związki z psychologią i socjologią, toponomastyką i topografią środowiska, etnografią i etnologią, bowiem opowiadanie historii własnego życia, jest równoczesne z interpretowaniem wydarzeń biograficznych i społeczno-gospodarczych. Autor opowiadając o sobie i definiując samego siebie, przywołuje obrazy z przeszłości – wywołuje z pamięci i odtwarza w czasie i przestrzeni. W takich okolicznościach zarysowuje się jego tożsamość, oraz jego relacja jednostki do społeczności. A że wzrasta na kolejnych kartach tworzonego dokumentu, to jego tożsamość nabiera charakteru narracyjnego. Inaczej mówiąc, czyta się...

Ten „dokument osobisty” przynosi pewien zasób spostrzeżeń dotyczących konkretnych zjawisk i procesów zachodzących w polskiej wsi kresowej w pierwszej połowie XX wieku. Dostarcza materiału faktograficznego do ich naukowej weryfikacji, do zrozumienia procesu psycho-społecznego zachodzącego w społecznościach, polskiej i ukraińskiej, a ściślej, w indywidualnych osobowościach, motywach i działaniach, gdy sąsiad ukraiński, a bywało i krewny, uczestniczył w zbrodni, zabijał bez różnicy płci i wieku, zadając śmierć z wyszukany okrucieństwem.

Opowiadanie o tych faktach powoduje zapytanie recenzenta o tzw. współczynnik intencyjny, albo inaczej i prościej – dlaczego Autor sięgnął po pióro? Odpowiedź zapoczątkował dając na karcie przedtytułowej przywołaną już dedykację. Ale po s. 209 dał obszerną motywację w części „Od Autora”, aż do s. 220, co pozwala na spostrzeżenie, że opowiada o faktach, bo uważa je za ważne, na swój sposób niezwykle, szczególnie reprezentatywne dla polskiego procesu dziejowego lat II wojny na Kresach, także po ustaleniu granicy na Sanie i Bugu oraz „repatriacji” Polaków ze Wschodu. Autor zamierzył ocalić wiedzę o pewnym zespole faktów dotyczących jego rodzinnej wsi Łozowa. Miał ku temu powód osobisty o szczególnej doniosłości, bowiem w napadzie bandy „Burlaka” na Łozową w nocy 28/29 grudnia 1944 r. stracił matkę, dwie siostry i troje siostrzeńców w wieku 15, 5 i 3 lat, kiedy on wcielony do Wojska Polskiego, jak i innych blisko stu Łozowian, musiał odejść z rodzinnego domu. Fakt to poboczny, ale charakteryzujący tę zbrodnię ludobójstwa, wszak wieś pozbawiona znacznej liczby dorosłych mężczyzn, była łatwym łupem dla bandytów.

Autor zachowuje postawę świadka – uczestnika, spełnia misję przekazania swojego świadectwa o zagładzie polskości na Wschodzie, następnym już pokoleniom. Jego wypowiedź głęboko zakorzeniona w tradycji, wydobywa na kanwie wątku osobistego (rodzinnego), obraz życia zbiorowego polskiej społeczności kresowej, poczynając od stosunków wewnątrz rodzinnych, poprzez wieś i jej położenie, po elementy styczności z wojewódzkim Tarnopolem. Wszak to tylko 7 km do miasta i niewiele więcej do historycznego Zbaraża.

Warto wspomnieć, że materia poznania w tej narracji nie wywołuje skrajnych emocji, pomimo opisu przez pryzmat codziennego życia ludzi, największej w naszych dziejach zbrodni ludobójstwa Polaków w ich domu...Przejdźmy do bardziej szczegółowej opinii.

Konwencja książki jest nad wyraz prosta, bowiem podstawowy pion konstrukcji narracji stanowi początkowo sekwencja życiorysu w częściach: *Krótkie dzieciństwo*, (s. 11-22), *Krajobrazy młodości*, (s. 23-50), by potem zapoczątkowany został porządek chronologiczno-rzeczowy, od Łozowej w *okresie I wojny światowej*, (s. 51-56), poprzez *Dwudziestolecie międzywojenne*, (s. 57-96), a dalej *Początek końca*, (s. 97-102), *I okupacja sowiecka*, (s. 103-118), *Okupacja niemiecka*, (s. 119-124), *Kwestia polsko-ukraińska*, (s. 125-132), „*Wyzwoleni*” *po raz trzeci*, (s. 133-138), *Mord w Łozowej*, (s. 139-150), *Exodus*, (s.151-162), oraz wspomniane już uprzednio części *Świadkowie* i *Od Autora*. Całość zamykają dwa aneksy, (s. 221-237), które bliżej potem omówimy.

Ten właśnie układ książki spowodował wstępne uwagi, bowiem wątek biograficzny jest w tym przypadku pretekstem do stworzenia „dokumentu osobistego”, który w istocie jest niemal monografią jednej, polskiej wsi kresowej w ostatnich latach jej istnienia i jej bezpowrotnej zagłady, a zarazem świadectwem pamięci zbiorowej o ziemi rodzinnej, ziemi ojczystej... Autor to świadectwo w sposób wyjątkowy udokumentował treścią Aneksów, bowiem w I, (s. 221-231)

dał wykazy Łozowian: „służących w armii austriackiej, poległych w czasie I wojny światowej na froncie rosyjskim”: 9 nazwisk, a przy wszystkich odniesienia do krewnych; ojciec, brat, wujek. Dalsza lista to 4 Łozowian, „poległych na froncie włoskim”, z podobnym dodaniem informacji o więzi krwi. I tak już we wszystkich dalszych wykazach. Następna lista to 44 Łozowian „walczących w kampanii wrześniowej”, spośród których 2 zaginęło bez wieści, 13 znalazło się „w niewoli niemieckiej”, 5 „w niewoli sowieckiej”.

Kolejny wykaz to „Łozowianie wcieleni do Ludowego Wojska Polskiego” w liczbie 92. W tym szeregu 20 poległo: w tym tylko kilku było starszych z roczników 1901-1908, ale ponad połowa to roczniki 1917-1925. Na *froncie zachodnim* w Polskich Siłach Zbrojnych znalazło się 7 Łozowian i wszyscy przeżyli.

„Wykaz mieszkańców wsi Łozowa zamordowanych i zmarłych w następstwie odniesionych ran otrzymanych w czasie napadu UPA w dniu 28/29 grudnia 1944 r.”, zajmuje s. 227-229 i obejmuje 108 nazwisk. Przy wszystkich nazwiskach podany jest wiek ofiar i trudno o bardziej przekonujący dowód o skali terroru, jeżeli Pawełek Makuch miał pół roku, a Maria Gajowska lat sto. Autor ten wykaz ułożył w zestawienie na s. 331 podając: do lat 17, 22 ofiary, w tym 10 mężczyzn i 12 kobiet, od lat 18 do 30, zabitych 15, w tym 4 mężczyzn, a kobiet 11, w przedziale wieku od 31 do 50 lat, 30 ofiar, w tym 11 mężczyzn i 19 kobiet oraz powyżej 50 lat to 41 ofiar, 17 mężczyzn i 24 kobiety. Czyli na 108 ofiar, aż 66 stanowiły kobiety. Swoistym uzupełnieniem tego obrazu zbrodni, są podane na s. 230-231 informacje o ofiarach w 3 wioskach tej gminy, a to w Kurnikach Szlacheckich zamordowano 12 Polaków, 8 Ukraińców i 4 Rosjan – byli to jeńcy zbiegli z niewoli niemieckiej i zatrudnieni u miejscowych gospodarzy. W Stechnikowcach zabito 7 Polaków i 3 Ukraińców, i w Szlachcińcach 3 Ukraińców. Łącznie z Łozową zginęło 145 osób, w tym 114 Polaków. Dodajmy, że z tej ogólnej liczby tylko 2 osoby zginęły w 1941 r. Pozostali w większości w napadzie na Łozową, zaś inni w styczniu i lutym 1945 r., co wskazuje na intensywność akcji terrorystycznej i jej stłumienie przez władze sowieckie, przy równoczesnym zapoczątkowaniu wysiedlania Polaków z ziem kresowych. Powróćmy do bliższej charakterystyki treści.

Każdy z kolejnych wymienionych wyżej „rozdziałów” został przez Autora podzielony na mniejsze sekwencje, które tworzą bardzo uporządkowane wątki narracji pełne szczegółów o rozmaitych fragmentach krajobrazu rodzinno-kulturowego, w którym wzrastał. Wierność pamięci, miejscami pobliska klisza fotograficznej, powoduje czytelnicze zainteresowanie, nie mówiąc o zakresie poznania tamtejszej rzeczywistości. Odtwarza ją tak już podtytuł pierwszego rozdziału „Iwan – też imię” z opisem okoliczności swojego urodzenia w 1924 r., pośrodku śnieżnej zimy i sytuacji, w której „babka” przyjmująca poród porodziła, by noworodka spieszenie ochrzcić. Miejscowy ksiądz, proboszcz Trembecki, był złożony chorobą w szpitalu we Lwowie. Ojciec zamierzał jechać do Tarnopola, ale „babka” doradziła, że bliżej jest cerkiew w Szlachcińcach, tylko 2 km. Tu chrztu udzielił szlachcinniecki proboszcz Iwan Malicki, i dał chłopcu własne imię, Iwan. Dodać trzeba, że od lat 60-tych XIX wieku w łacińskiej metropolii lwowskiej, na terenie której były cerkwie grecko-katolickie, obowiązywała „Concordia” o równoprawności udzielanych sakramentów świętych w obydwu obrządkach, zatwierdzona przez właściwą dykasterię Stolicy Apostolskiej. Jest to szczegół ważny dla charakterystyki wzajemnych stosunków społeczności polskiej i ruskiej – ukraińskiej. Ta druga nazwa dopiero pod okupacją sowiecką od 1939 r. została urzędowo narzucona, by termin „ruski” oddzielić

od „rosyjski”, na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej. Wyznanie wiary miejscowych nie różniło, choć skądinąd wiadomo, że wyznanie jest istotnym składnikiem tożsamości i określania przynależności narodowej.

Powrócili z cerkwi, położnica matka pytała o imię: Iwan, odpowiedział, ojciec, a matka „Iwan ? niech będzie Iwan – to też imię”. Kiedy jednak po dłuższym czasie urząd łozowskiego proboszcza objął ks. Józef Skwierzyński, ojciec przeniósł zapis metrykalny do kościoła, więc Autor już pod imieniem Jan rozpoczynał życie szkolne. Przeznaczaliśmy temu fragmentowi książki nieco uwagi, bowiem całą dalszą narrację przeplata, niczym kanwa, charakterystyka wzajemnych stosunków – relacji interpersonalnych i społecznych, nacechowanych równoprawnością i współżyciem, aż po powstanie mieszanych małżeństw, wcale licznych i więzi krwi, co najpełniej poświadcza o wzajemności w życiu tych grup społecznych.

Ślad tego odnajdujemy już w opisie (s. 20) nauki: w szkole w Tarnopolu, na lekcje religii przychodzili razem ksiądz rzymsko-katolicki i grecko-katolicki. Żydzi tego przedmiotu uczyli się poza szkołą i dodaje: „Modliliśmy się tak jak w Łozowej. Jeden mówił pacierz głośno, a klasa za nim powtarzała po cichu. Jednego dnia po polsku, a drugiego po rusku, w zależności na kogo wypadła kolej. Nauczyciele przestrzegali zasady, by każdy uczeń odmawiał modlitwę w swoim ojczystym języku. Dniami wolnymi od nauki były święta obu wyznań.” Nic dodać.

Ojciec odumarał Autora, gdy miał lat 12 i rozpoczął naukę w kl. VI. Przerwał dalszą edukację, by pomagać w gospodarstwie niewiele starszemu bratu. Stąd przedwczesna dojrzałość życiowa, zdaje się ukształtować jego szczególną wrażliwość na otaczający świat. Dlatego cały rozdział *Krajobrazy młodości* urzeka opisem emocjonalnego związku człowieka z Ziemią Rodzinną. A więc rzeka Hnizdeczna, biorąca początek opodal Brodów, nad którą posadowiły się po prawym brzegu Kurniki, Łozowa i Szlachcińce, zaś na lewym Stechnikowce, do których przylegały trzy łozowskie siedliska zwane Zagrobelną. Potem mamy łozowskie łąki, lasy, pola Łozowy, łozowskie drogi, i woda we wsi, łozowskie domy, zaś końcową sekwencję stanowią: duchy, guśla, zabobony, bowiem Autor te wszystkie fragmenty opisu usytuował pośród ludzi, ich codziennego trudu, radości i pomyślności, zabawy i dziecięcej krotochwili, smutku i żaloby, ale i różnorodności zajęć gospodarskich w polu, stajni i oborze w domu – izbie, w ciągu dnia i pory roku. Z uwagą bystrego obserwatora i spetryfikowanym obrazem w pamięci, odtworzył zajęcia mężczyzn, kobiet, młodzieży i dzieci, kreśląc niezwykle obraz życia codziennego polskiej wsi kresowej na Podolu. Dodał do tego na s. 34 plan: Łozowa i okolice w latach 1939-1941, oznaczając nazwy miejscowe (topograficzne), które warto powtórzyć, a to z północy: Steblicka, Za Doliną, Siedlisko, a Krzywule od wschodu. Zaś od zachodniej strony, Ostra Góra, Pod Białą, Kliny, Sianożętne Pole, Jezioro i Zagumienki. Dodał do tego jeszcze na s. 40: plan wsi Łozowa, która w południowej części była typową ulicówką, ku centrum bardziej owalnicą, zaś na północy charakteryzowała się zwartą zabudową. Zarówno etymologia nazw miejscowych, jak też topografia wsi, jednoznacznie wskazują nie tylko na polski źródłosłów, ale i osadniczą tradycję pochodzącą z dawniejszej przeszłości.

Jak nadmieniliśmy, po s. 50 zmienia się narracja, przez krótkie wspomnienie losów wsi w okresie I wojny, by szczególną już uwagę przeznaczyć na obszerniejszą relację pod ogólnym tytułem, *Dwudziestolecie międzywojenne*, (s. 57-96), którą Autor podzielił aż na 19 sekwencji problemowych. Zamierzył bowiem wydobyć z pamięci największą liczbę faktów – wydarzeń, by je opisać, utrwalić i



przekazać, jako jedyne w swoim rodzaju świadectwo. Dopełnił uprzednią panoramę środowiska postaciami ludzi, usytuowanymi w systemie więzi rodzinnej i społecznej wsi, a rozpoczął od wspomnienia łozowskiej parafii, jej duszpasterzy, by scharakteryzować życie religijne mieszkańców, kształtowane przez duszpasterstwo kolejnych proboszczów, od pierwszego ks. Jana Skórzaka, kiedy w 1862 r. zbudowano kościół z fundacji hr. Stanisława Zawadzkiego, dziedzica z pobliskich Szlachciców, aż po ks. Jana Szubargę, który w 1945 r. zebrał resztki parafian i osiedlił się wraz z nimi w Gorzowie Śląskim. Warty uwagi jest w tej części opis zwyczajów pogrzebowych i nagrobnych, bowiem wraz z świątynią założono dwa cmentarze rzymsko, dla Łobzowian i grecko-katolicki dla Rusinów ze Szlachciców i mieszkańców wiosek tamtejszej parafii. Jednym ze zwyczajów były chóralne śpiewy nad mogiłami na Wszystkich Świętych, (s. 58), także „... przy mogile powstańca styczniowego, który podobno nazywał się Jan Wierzba. Ostatni raz śpiewano przy tych grobach w 1939 r., już za sowieckiej władzy.” Dodajmy jeszcze, że wyznaniowy krajobraz społeczności Łozowej, Autor uzupełnił wymieniając w opisie 8 figur i krzyży przydrożnych, a o każdym z tych miejsc kultu podał jeszcze związane z nim prawdy wiary i ...legendy.

Nadmienić trzeba o dwóch znaczących postaciach, to ks. Kazimierz Wirga, proboszcz tylko kilka lat, który zmarł nagle w wieku 33 lat, ale nie tylko ożywił duszpasterstwo, ale przeprowadził remont kościoła, upowszechnił sadownictwo i nowe kultury upraw. Drugi to kierownik szkoły Julian Miller, niezwyklej ofiarności społecznik w pracy oświatowej wśród młodzieży pozaszkolnej, twórca i kierownik chóru, reżyser w amatorskim zespole teatralnym, który wraz z mieszkańcami zawędrował do Gorzowa Śląskiego. Tu, (s. 62) „...z niedobitków i młodego narybku zorganizował chór [...] z basów przeżył wojnę tylko Kazimierz Kanas, zaś Drop, Grabas i Kaczor zginęli od banderowskiej siekiery”.

Ważkim fragmentem całej książki, mimo że liczącym niepełną stronice, jest część pt. *Rusini i Polacy*, gdzie Autor podał, że Łozowa leżała 7 km na północny wschód od Tarnopola, przy linii kolejowej stąd do Zbaraża-Łanowce. Wieś zamieszkiwało przed II wojną 164 rodziny, wśród których było 4 ukraińskie, 10 polsko-ukraińskich. W sąsiednich wsiach, które wylicza, proporcje były inne, bowiem sąsiednie Szlachcice na południe i Kurniki Szlachcinieckie ku północy, odległe tylko o 2 km, były zamieszkałe przez Rusinów, zaś rodzin polskich było „dosłownie 10-15 i podobna liczba mieszanych”. W Czernichowach położonych na wschód od Łozowy o 5 km, to Rusinów było dwa razy więcej jak Polaków, ale w Płotyczy po zachodniej stronie wsi, było dokładnie odwrotnie, z przewagą Polaków. Na wschód od Łozowy był położony klucz czysto polskich wiosek, jak Kretowce, Rycowce, Maksymówka i Bogdanówka. Wydaje się, że ten opis dokumentuje skądinąd znaną prawdę, o mozaikowym charakterze wiejskiego osadnictwa na południowym wschodzie Rzeczypospolitej.

Kolejną, o podobnej doniosłości część stanowi *Łozowska administracja*, (s.63-66), przedzielona wkładką z 12 dokumentalnymi fotografiami: postaci i miejsc, z których dwa mają wyjątkową wymowę: „Pamiątkowa tablica ku czci Łozowian zamordowanych 29.12.1944 r. położona w Kościele w Gorzowie Śląskim”, tak podpisana, oraz podobna na pomniku nad zbiorową mogiłą w Łozowej, ozdobiona gwiazdą i ukraińskim napisem: „Tubylcom, którzy zginęli z rąk burżuazyjnych ukraińskich nacjonalistów”. Nic dodać, poza tym, że brak daty, a

i słowo „ukraińskich”, jak zauważył Autor, ktoś wydrapał... Natomiast opis działalności administracji przynosi sporo nazwisk, bowiem rozpoczyna się od końca XIX wieku, oraz eksponuje Łozową, po reformie administracji w 1934 r. jako tzw. gminę zbiorową dla sześciu okolicznych wiosek. Dorzuca Autor do tego wątku informacje o pożarach w 1930 r. w pow. tarnopolskim, kiedy paliły się wokół stogi folwarcznego zboża, co w pogłosce uchodziło za sabotaż komunistyczny, a okazało się zamierzoną akcją ukraińskich nacjonalistów, bowiem palono się tylko zboże Polaków...

Stąd reakcja władz, o której tak podaje, (s. 65): „Zdarzały się sporadyczne przypadki, że wojsko stosowało kary cielesne, szczególnie w stosunku do ludzi młodych. Nie słyszałem, żeby choć jeden Rusin poniósł śmierć. Byłoby to z pewnością bardzo nagłośnione.” Dalsza część książki, za wyjątkiem fragmentu *Związek Strzelecki*, (s. 69-72), jest zwięzłym zarysem, wręcz monografii etnograficznej, bowiem wystarczy wymienić tytuły, by nabrać takiego przekonania, a to: „handel, praca i zarobki, co w Łozowej jadano, jak świętowano, uprawy, kobieca doła i niedoła, wiejskie rzemiosło, łozowska moda i zwyczaje, savoir-vivre, nazwiska i przydomki, swaty i małżeństwa, zabawy i wesela, kryzys i ożywienie gospodarcze, polityka we wsi”, aż do s. 96.

Niepodobna to wszystko bliżej charakteryzować poza jedną generalną uwagą, jest to bardzo rzeczowy i wnikliwy opis życia codziennego ludności polskiej wsi na Podolu, ale życia w organicznym związku z ludnością ruską (ukraińską), związku o którym nadmienialiśmy, a w tej części jest udokumentowany wielu przykładami i spostrzeżeniami.

Dalsza opowieść jest bardzo zwięzła, bowiem *Początek końca i Wrzesień 1939*, obejmują tylko s. 97-102. Przynoszą ogólne informacje, już to o zagrożeniu wojną, ale już 18 września, o wtargnięciu kawalerii Armii Czerwonej do Łozowej. Tu ogarnięty został, (s. 100) „oddział ok. 80 żołnierzy Wojska Polskiego oraz ok. 100 policjantów, gdzieś spod Poznania – nie stawiali oporu. Po rozbrojeniu szeregowców i podoficerów zwolniono, a oficerów i policjantów otoczono gęstym kordonem i popędzono pieszo na wschód w kierunku Podwołoczysk.” Dodajmy, że była to graniczna stacja po polskiej stronie.

Rozdział *Okupacja sowiecka*, (s. 103-118), pomimo niewielkiej objętości, zawiera bardzo szczegółowy opis wydarzeń, do którego posłużył osobisty los Autora i jego najbliższych, wszak władza sowiecka wprowadziła nowy porządek społeczno-polityczny we wsi połączony z represjami, powołaniami do Armii Czerwonej (w tym brata Autora) i darmowymi, przymusowymi robociznami przy budowie drugiego toru na linii ze Lwowa na wschód. Stąd (s. 111) „Na 40-kilometrowym odcinku z Tarnopola do Podwołoczysk pracowało tysiące furmanek i tyle samo, a nawet więcej pieszych spędzonych z wiosek odległych nawet o 30 kilometrów. [...] Odległość z Łozowy do tej budowy wynosiła około 20 km, Łozowianie wyjeżdżali do pracy na 3 dni nocując pod gołym niebem. Pożywieniem był suchy chleb, ewentualnie ze słoniną, jeśli ktoś ją posiadał. Popijano wodą źródlaną...”

Ledwie skończyła się budowa tej linii kolejowej, jak w odległych od Łozowy o 15 km. Gajach Wielkich rozpoczęto budowę lotniska i znowu zagnano mieszkańców okolicznych wiosek do przymusowej pracy. Od lotniska rozpoczęto budowę linii kolejowej, która w Łozowej miała się łączyć z linią Tarnopol – Zbaraż. „Na tej budowie zatrudniono wyłącznie wojsko. Zjechało około 400

żołnierzy. Oficerowie rozlokowali się we wsi, po 2-3 na kwaterze, nigdy samotnie. Żołnierzy zaś umieszczono w pobliskim lesie. Choć to był luty, mieszkali pod namiotami. [...] Zauważyłem dziwną rzecz, że wojsko pracujące przy torach nie posiadało zupełnie broni. Jedynie służba wartownicza miała kilka karabinów. Ćwiczeń z bronią też nie odbywali. Odżywiali się bardzo skromnie. Mięsa ani tłuszczu nie widzieli, chleb jedli czarny jak święta ziemia, czasem suchary i przeważnie kapuścianą zupę. Na drugie danie też dostawali kapustę lub kaszę owsianą. [...] Wojsko miało czas wypełniony zajęciami, bez wolnych chwil i przepustek. Starano się wszelkimi sposobami, aby żołnierze nie stykali się z cywilami”, (s. 117).

Powołałszy ten fragment, bowiem jest to szczególne świadectwo polskiej martyrologii na Wschodzie. To opisane „wojsko” władza sowiecka rekrutowała z najmłodszych roczników wcielonych Polaków i innych mieszkańców zagarniętych ziem, także w II połowie 1940 r. z narodów bałtyckich z których formowano „bataliony pracy”, czyli „strojbaty” w żargonie armijnym. Trzecia racja żywnościowa, brak przeszkolenia wojskowego, ale represyjna dyscyplina Armii Czerwonej i szczególna indoktrynacja, którą także zauważył Autor pisząc, „W niedzielę zaś trwało szkolenie polityczne wojska, musztra i śpiew. Śpiewano aż do znudzenia te same piosenki...”, (s. 116).

Oddzielny wątek tej części książki, to opis zaniżenia poziomu życia, wręcz doprowadzenie do nędzy mieszkańców Łozowej. „Na rolników nałożono zobowiązania w postaci gotówki, zboża i mięsa, stosując krzywdzącą zamożniejszych gospodarzy progresję”, (s. 111). Zaś tych którzy nie zdołali oddać w terminie wyznaczonej ilości dóbr, aresztowano i zsyłano w głąb ZSRS.

Dalej czytamy, (s. 119): „Niemcy wkroczyli na Podole entuzjastycznie witani przez Ukraińców. W cerkwiach odbywały się dziękczynne nabożeństwa. Polacy też byli zadowoleni, bo oddaliło się widmo deportacji”. Nad tymi zdaniem dał Autor śródtytuł *Mile złego początku*, rozpoczynając tak narrację o okupacji niemieckiej. Różniła się w niewielkim stopniu od poprzedniej, jeśli chodzi o grabież dóbr materialnych, ale znacznie w stosunkach społecznych, bowiem po przywróceniu przedwojennego podziału administracyjnego, sołtysiem w Łozowej został Iwan Snihur, który przewodniczył „sielsowietowi” za sowieckiej władzy, zaś posterunek policji i urząd gminy obsadzili Ukraińcy i przenieśli ich siedziby do Szlachciniec.

*Kwestia polsko-ukraińska* to dalsza część książki, którą Autor starannie scharakteryzował, dając na początku wprowadzenie pt. „Poprzerastane sobą społeczności”, (s. 125 i passim), by dalej opisać „Zgodne współzycie”, a następnie rozwiniąć ten wątek faktografią pt. „Małżeństwa mieszane”. Warto z tej części książki powołać kilka fragmentów, (s. 126-127): „Bez przesady można przyjąć, że w Łozowej co trzecia rodzina była w bliższym lub dalszym pokrewieństwie z Ukraińcami z sąsiednich i dalszych wiosek. Polacy i Ukraińcy gościli się wzajemnie na odpustach i dorocznych świętach. Zagony pól uprawnych były przemieszane, a ukraińskiego sąsiada zza miedzy traktowało się jak przyjaciela, niemal jak rodzinę. Polacy i Ukraińcy razem pracowali, razem zasiadali do posiłków i pili wodę z jednego dzbanka. Spotykali się na odpustach, jarmarkach i przy odrabianiu szarwarku. W promieniu kilku kilometrów wszyscy znali się z imienia i nazwiska.

Był u nas taki zwyczaj, że w doroczne ukraińskie święta, takie jak Boże Narodzenie i Jordan, poza obrządkiem inwentarza nie wykonywano innych prac. Nawet kobiety nie przędły kądzieli”. Od s. 128 mamy całą listę, nie tylko z imienia i nazwiska, ale i przydomków, małżeństw Polaków z Ukrainkami i odwrotnie, że jak Autor podaje, wiadomości z Wołynia gdzie już w 1943 r. masowo mordowano Polaków, takie małżeństwa nadal były zawierane. I w tej sekwencji narracji spotykamy fragment: „W Kurnikach był sąd doraźny UPA, który wydawał wyroki na Polaków i Rosjan i nielojalnych Ukraińców. Z mocy tych wyroków zginęło w Kurnikach 12 Polaków, 4 Rosjan i 8 Ukraińców.”, (s. 129). Obok tych informacji, w treści jest kilka bardziej szczegółowych opisów dramatów będących następstwem powstałych niegdyś więzów krwi, nie tylko w Łozowej.

Tu we wsi, z początkiem 1943 r. powstała placówka Armii Krajowej. Jej dowódcą był ppor. rez. Józef Kanas s. Stanisława, (s.131), „...utrzymywano kontakt z Tarnopolem i ościennymi wioskami [...] działalności bojowej i dywersyjnej wtedy nie prowadzili. Czekali, jak się to mówiło z bronią u nogi. Nie należałem do AK, dlatego moja relacja jest na ten temat ogólnikowa.”

„*Wyzwoleni*” po raz trzeci, to kolejny, podobnie krótki rozdział, (s. 133-137) w którym obok okoliczności, że „Już po raz trzeci w przeciągu czterech lat zostaliśmy wyzwoleni”, 8 marca 1944 r. i faktografii temu towarzyszącej, którą najprościej można określić jako grabież mienia mieszkańców przez żołdatów. Ważne wydarzenie to mobilizacja roczników 1897-1924. „Łozowianie gremialnie, dosłownie całymi rodzinami szli do wojska. Łącznie do Ludowego Wojska Polskiego zostało wcielonych 91 mężczyzn i jedna kobieta – sanitariuszka Maria Mazurkiewicz, córka Pawła. Pozostali podlegający obowiązkowi wojskowemu, a było ich około 30 zatrudniło się do pracy państwowej, głównie na kolei, co uchroniło ich przed mobilizacją.” (s. 135). Wypada ten fragment opatrzyć uwagą recenzenta, bowiem wcielenie do Wojska Polskiego chroniło przed powołaniem do Armii Czerwonej, do której wcielano Ukraińców, o ile zdołano ich złapać... Wielu bowiem młodych już tkwiło w strukturach konspiracyjnych UPA, tworzonych na Podolu od połowy 1942 r. „Dziwna rzecz, że władze radzieckie tolerowały ten stan i nie ściagały dezertersów. Na skutek masowego wcielenia do wojska Armia Krajowa w Łozowej przestała istnieć. [...] Dnia 20 marca 1944 r. z torbą chleba i zapasową bielizną ruszyłem wraz z innym rekrutami pod konwojem czerwonoarmistów do wojska. Dotarliśmy piechotą do odległego o ok. 100 km Jampola. Tam nasi „opiekunowie” przeprowadzili rewizję pod pozorem sprawdzenia, czy nie mamy nielegalnych narzędzi. Tym którzy nie zdążyli ukryć, zarekwirowano maszynki do strzyżenia, brzytwy i zegarki. W Jampolu załadowano nas do wagonów towarowych i już bez konwoju zawieziono do miasta Sumy na Ukrainie, gdzie organizowało się Wojsko Polskie. [...] Łozowianie przeważnie zostali wcieleni do 3 Dywizji Piechoty. [...] Miała to być, jak głoszono za czasów PRL, najkrótsza droga do Polski. Okazała się dłuższa niż Żydów z Egiptu do Ziemi Obiecanej. Żołnierz nie wybiera sam drogi do Ojczyzny, na polityce się nie zna, nad rozkazami nie dyskutuje. Staje do walki tam, gdzie go los rzuci. Zarówno ci spod Lenino, jak i z Powstania Warszawskiego, Wału Pomorskiego, Tobruku, Monte Cassino i innych pól bitewnych walczyli i ginęli z przeświadczeniem, że służą Polsce. Segregowanie ofiar na ważne i mniej ważne byłoby bole-

sne i krzywdzące.”, s. (136). Powołaliśmy ten fragment, bowiem jest to jedyny w treści wątek w którym Autor dodaje komentarz do opisywanych faktów.

Kolejna część książki nosi tytuł, *Mord w Łozowej*, (s. 139-150), którą podtytułami: *Nam nic nie grozi, Pogrom, Ukraińcy Ukraińcom, Pomoc, Wspólna mogiła*, Autor podzielił na sekwencje oddające cały dramat losu mieszkańców. Wymienia nie tylko kilkadziesiąt nazwisk ofiar, podając szczegóły o ich śmierci, ale także nazwiska rozpoznanych sprawców „sąsiadów Łozowian z okolicznych ukraińskich wiosek. Wielu z tych, których Łozowianie rozpoznali, byli nawet z nimi spokrewnieni”, (s. 149).

Warto powtórzyć informację z 12 tomu „Litopisu UPA” z 1989 r., wydanego w Kanadzie, gdzie podano: „Sotnia „Burłaky” 28 grudnia 1944 r. rozbiła ośrodek polsko-bolszewickich służosów we wsi Łozowa”, (ss. 139 i 237). W autorskim aneksie II, (s. 232-337) mamy swoiste dopełnienie tej informacji, ponieważ wydawana w Tarnopolu obwodowa gazeta „Wilne žyttia” z 17 stycznia 1945 r., opublikowała artykuł o mordzie w Łozowej pt. *Straszny wyczyn krwawych katów nasłanych przez ludożercę Hitlera*, który w oryginale na wkładce po s. 234 włączono do narracji, zaś na tej i dalszych stronicach, przedrukowano w polskim przekładzie. Jest to szczegółowy opis zbrodni, w którym przede wszystkim wymieniono ofiary wśród dzieci i starców. Dodać trzeba, że w artykule nie wspomniano, że przede wszystkim zginęli Polacy, których nazwiska jeśli są podane, to najczęściej zniekształcone. Stąd dokumentalna wartość ustalonego przez Autora wykazu ofiar oraz wypowiedzi ocalałych świadków, w których faktografia zbrodni, w porównaniu z wspomnianą relacją prasową, ogłoszoną w dwa tygodnie po zbrodni, jest całkowicie zbieżna.

Była to zbrodnia wykonana przez zwykłych ludzi, rozniecających w sobie nienawiść, aż zwyciężyły najpodlejsze instynkty. Każdy jej uczestnik chwycił najprostsze narzędzia, nóż, siekiere, aby uderzyć w żywy cel – Polaka sąsiada bez różnicy wieku, płci, zawodu, czy stanu społecznego. Mord stał się grą zręcznościową w sposobie zadawania cierpienia i pozbawienia życia. Potem nastąpiła grabież mienia, a pozostałość obłożono ogniem, niszcząc ślad pokoleniowego trudu...

*Podolskie korzenie* są szczególną relacją o losach mieszkańców tylko jednej wioski na wschodzie Rzeczypospolitej, dlatego szczególną, bo starannie udokumentowaną i stąd wiarygodną.

*Mieczysław Wieliczko*

- **Wiesław Krawczyński, *Przez tundrę i tajgę po sowieckich łagrach*, „Biblioteka Zesłańca”, t. 19, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 2009, s. 158.**

Wydawana od 1991 roku seria wydawnicza „Biblioteka Zesłańca” Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego może się poszczycić kolejną ciekawą publikacją prezentującą wspomnienia z zesłania. Relacje Wiesława Krawczyńskiego, współzałożyciela Oddziału Związku Sybiraków w Krakowie oraz wieloletniego działacza Związku, osoby dobrze znanej w środowisku byłych zesłańców, wprowadzają czytelnika w świat tak zwanej kultury wysokiej o tyle niezwykły, że istniejący w brutalnej rzeczywistości sowieckich obozów pracy. Autor wspomnień

był bowiem muzykiem w łagrowych grupach teatralnych, a jego refleksje dotyczą głównie tej sfery życia na Syberii. Praca ta nie rości sobie bowiem praw do odpowiedzi na pytanie o to jak wyglądało życie w obozach pracy, lecz jedynie dorzuca pewne szczegółowe elementy do znanej już puli faktów.

Wiesław Krawczyński urodził się w 1919 roku. W czasie wojny, mieszkając we Lwowie, wstąpił do Armii Krajowej. W wyniku wpadki jednego z jego ludzi już „za drugich sowietów” – jak mówią byli mieszkańcy Lwowa – trafił do więzienia gdzie był brutalnie przesłuchiwany, jednak do końca się nie przyznał do współpracy z partyzantami. Skazany został na 10 lat łagrów. Przez cały okres pozbawienia wolności, od 1945 do 1956 roku, przebywał w czterech więzieniach i ośmiu obozach, a po zwolnieniu został dożywotnio zesłany do Kraju Krasnojarskiego, z którego udało mu się wrócić wraz z rodziną dopiero w okresie tzw. politycznej odwilży w ZSRR.

Wiele fragmentów tej pracy było już wcześniej publikowanych w kwartalniku „Zesłaniec”, wydawanym przez Radę Naukową Zarządu Głównego Związku Sybiraków. Większa część książki opowiada o śledztwie i przetrzymywaniu we lwowskich więzieniach oraz długoletnim pobycie autora na Syberii. To do tych rozdziałów odnosi się tytuł książki: *Przez tundrę i tajgę po sowieckich łagrach*, który jednak może być mylący gdyż nie zdradza sporej części relacji Wiesława Krawczyńskiego. Wspomnienia jego obejmują bowiem nie tylko lata odbywania wyroku głęboko w ZSRR, lecz także czasy młodości i II Wojny Światowej, którą spędził we Lwowie. Zapiski z tego okresu dają wiele niezwykle ciekawych informacji na temat, życia codziennego w okupowanym mieście nad Pełtwią.

Książka zaczyna się od relacji z młodości Wiesława Krawczyńskiego. Pozornie nieistotne informacje na temat jego ojca i dziadków, pozwalają jednak zrozumieć później wiele elementów opowiadania o pobycie w łagrach. Autor pochodzi z katolickiej rodziny polskiej, w której zawsze żywe były nastroje patriotyczne. Ojciec, również Wiesław, dyrektor lasów w Zielonce (niedaleko Poznania) oraz wykładowca na Uniwersytecie Poznańskim i Politechnice Lwowskiej, wpoił swojemu synowi nie tylko ideały narodowe, lecz również zamiłowanie do kultury i sztuki. Dobre wychowanie i wykształcenie pomogło mu niezmiernie w przetrwaniu tych dziesięciu lat w gronie muzyków obozowych, jednak było balastem na drodze do przystosowania się do brutalnej rzeczywistości łagrów. Równie istotnym motywem są lasy, które odgrywały ważną rolę w młodości autora, a wspomnienie o nich na zesłaniu czyniło Syberię bardziej znośną.

W dalszej części czytelnik zapoznaje się z doświadczeniami autora z okresu II Wojny Światowej. Co ciekawe nie są to opisy przebiegu wojny, czy nawet działań Armii Krajowej, w której przecież działał Wiesław Krawczyński od 1942 roku. Mimo, że przynależność do partyzantki była przyczyną skazania autora, ten element biografii poznajemy jedynie na tyle by zrozumieć samo śledztwo i proces. Głównymi wątkami rozdziałów poprzedzających wywiezienie więźniów na wschód są praca u boku profesora Rudolfa Weigla i warunki panujące we lwowskich więzieniach.

Podkreślić należy starania autora by możliwie starannie oddać realia panujące w Instytucie prowadzonym przez Weigla, odkrywcy szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu. Rozdział jemu poświęcony zawiera zdecydowanie najwięcej danych faktograficznych. Dzięki temu czytelnik może dobrze poznać niezwykle interesujący punkt na mapie okupowanego Lwowa, który był ważnym ośrodkiem naukowym, pozostającym pod „specjalnym nadzorem” nie-

mieckich służb bezpieczeństwa z uwagi na produkcję szczepionki, a jednocześnie miejscem konspiracji. To dzięki Weiglowi bowiem wiele osób związanych z kulturą i nauką uniknęło represji otrzymując zatrudnienie w tej placówce. Następnie opisywany cały przebieg śledztwa i procesu w sprawie przeciw Wiesławowi Krawczyńskiemu jest ukazany od strony przeżyć młodego człowieka wyrwanego ze swojego świata. Tutaj autor ujawnia jak wielkie znaczenie miała dla niego modlitwa i nadzieja na przetrwanie więziennego koszmaru. Ten element będzie mu towarzyszył przez cały okres oddalenia od domu i bliskich.

Kolejne rozdziały zawierają opis doświadczeń autora z transportu w głąb ZSRR, jego pobytu między innymi w obozach w Siwej Masce, Abiezi, czy Czunie oraz, tak zwanego, zwolnienia, a *de facto* dożywotniego pozbawienia wolności na zesłaniu w Perspektywnym. Jest to zasadnicza część wspomnień Krawczyńskiego. Autor skupia się na opisaniu własnych wrażeń z nowych miejsc i szczególnych doświadczeń z tego okresu. Znajdują się tu między innymi historie o niechcianych kontaktach z „worami” (złodziejami), o utracie okularów i otrzymaniu nowych, których oprawki sporządzone były ze szmatki i wstążki, jak również nieświadomej (i niebezpiecznej) znajomości z członkiem siatki szpiegowskiej. Nie znajdzie czytelnik natomiast relacji z tych elementów, z których słyną sowieckie łagry – zabójczej pracy, głodzie, ludzkim bestialstwie. Jeśli pojawiają się w opowieści to tylko na marginesie, jako uzupełnienie. Zdecydowanie istotniejszymi i niewątpliwie najciekawszymi motywami przewodnimi tych rozdziałów są natomiast muzyka i obozowe grupy teatralne. Wiesław Krawczyński bowiem mając pewne doświadczenie z młodości w graniu na skrzypcach, podawał za swój zawód skrzypka, a zrządzenie losu pomogło mu w otrzymaniu związanego z tym zajęcia. To prawdopodobnie ocaliło mu życie, gdyż uniknął najcięższych prac i miał trochę lepszą pozycję w łagrach. Czytelnik może dzięki temu zobaczyć jak wyglądało życie codzienne obozowych muzyków, często bardzo znanych przed wojną artystów. Przy okazji opowiadania o swoich współwięźniach, autor przekazuje nam ich zawikłane koleje losu. Jedną z ciekawszych postaci jest Nikołaj Czerniatyński, były dyrektor Filharmonii w Odessie. To on zdecydował o przyjęciu Krawczyńskiego do orkiestry, mimo niezbyt udanego sprawdzianu umiejętności.

Do niezwykle poruszających historii należą te z objazdów teatralnych po różnych obozach, w trakcie których autor grając między innymi kujawiaka Wieniawskiego, wzruszał do łez więźniów polskiego pochodzenia. Podchodzili do niego później by mu podziękować i chwilę porozmawiać. Kwestia kontaktów z Polakami przewija się przez cały ten okres, a nasila się w okresach świąt Bożego Narodzenia, gdy w nielicznym gronie, ale zawsze na miarę możliwości uroczyście, cicho świętowali w tej wzgardzającej religią rzeczywistości. Realistyczne opisy łagrowej codzienności pokazują w jak skonstrastowanym świecie obracał się autor. Żył w gronie artystów, humanistów jak na wyspie otoczony przez złodziei, morderców i radzieckich strażników. Książkę kończy relacją z pobytu na zesłaniu w Perspektywnym w Kraju Krasnojarskim oraz upragniony powrót z żoną i synem do Polski, gdzie w Nowy Rok 1956 stanął w Krakowie w progu mieszkania swoich rodziców, którzy przywędrowali tu ze Lwowa.

Wspomnienia W. Krawczyńskiego mają wiele zalet. Książkę czyta się bardzo dobrze i z zainteresowaniem, choć fakt, że jej fragmenty powstały wcześniej jako osobne artykuły sprawia, że narracja jest miejscami niespójna. Autor,

doskonale zaznajomiony z literaturą przedmiotu, starał się raczej uzupełnić stan wiedzy czytelników, niż powtarzać ważne lecz dobrze znane już fakty. Nie skupiał się więc na oczywistych trudnościach, jakie towarzyszyły życiu w łagrach. Uwagę zwraca także fakt, że autor nie starał się nawet opisywać siebie jako bohatera, któremu udało się oprzeć strasznej machinie sowieckiej represji. Buduje swoją postać raczej jako człowieka, któremu sprzyjała Opatrzność i szczęście, a nie żelazna wytrwałość i hart ducha.

Te zabiegi, zapewne świadomie dobrane, mogą jednak wieść do mylnego wrażenia, że ta „nieładzka ziemia” była dla więźnia znośna. Dlatego należy podkreślić, że ta książka wymaga od czytelnika choćby podstawowej wiedzy na temat rzeczywistości łagrowej. Z drugiej strony odbiorca zyskuje niezwykle ciekawe opisy życia codziennego artystów, praktyk religijnych w obozach oraz warunków pięknej, syberyjskiej przyrody. Można jedynie żałować, że te ostatnie są jedynie rzadkim urozmaiceniem tekstu, a nie jego ważniejszym elementem. Praca ta będzie przydatna również dla historyków poszukujących nie tylko danych o łagrowej codzienności, lecz także szczegółowych informacji faktograficznych, jakie na przykład zawiera rozdział poświęcony Rudolfowi Weiglowskiemu.

Dodatkowym atutem są zamieszczone w pracy fotografie z okresu sprzed aresztowania oraz z zesłania, które znacząco dopełniają informacje zawarte w tekście. Podsumowując wspomnienia Wiesława Krawczyńskiego zatytułowane *Przez tundrę i tajgę po sowieckich łagrach* należy przyznać, że jest to książka godna polecenia nie tylko historykom i osobom zainteresowanym relacjami zesłańców. Myślę, że będzie przydatna także tym, którzy mają ograniczoną wiedzę na temat obozów pracy w ZSRR i pragną ją poszerzyć. Ukazuje ona bowiem niuanse życia codziennego, które dodają odcieni standardowej wiedzy na ten temat. Również przystępność jej języka i niewielki rozmiar mogą zachęcić czytelnika do sięgnięcia po tę pozycję, a na pewno nie odłoży jej przed przeczytaniem ostatnich stron.

Lukasz Kielban

- ***Polacy w nauce i kulturze Tomsk oraz Syberii Zachodniej*, Z prac Ośrodka Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego, pod redakcją Antoniego Kuczyńskiego i Mirosława Marczyka, Wydawnictwo Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2008, ss. 436**

Jednym z ważniejszych skupisk Polaków na Syberii był Tomsk. Roli naszych rodaków w dziejach, kulturze i nauce Tomsk oraz szerzej Syberii Zachodniej poświęcono kolejną pozycję w dorobku Ośrodka Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego. Stanowi ona pokłosie VI międzynarodowej konferencji poświęconej Polakom na Syberii. Odbyła się ona we Wrocławiu w dniach 11-13 czerwca 2007 r. Duszą przedsięwzięcia był prof. Antoni Kuczyński. Konferencja była owocem współpracy Ośrodka Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego z Zarządem Krajowym Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Książka ukazała się pod redakcją Antoniego Kuczyńskiego i sekretarza naukowego konferencji Mirosława Marczyka.

Recenzowana publikacja składa się ze wstępu Wojciecha Wrzesińskiego i tekstów 29 badaczy z Polski, Rosji oraz Ukrainy. Swoiste wprowadzenie w te-



matykę stanowi obszerny artykuł Antoniego Kuczyńskiego. Zakończeniem zasadniczej części tomu są teksty reprezentantów: Polonii syberyjskiej (Wasył Chaniewicz) i badaczy krajowych (Katarzyna Kość). Konstrukcja książki słusznie uwypatnia różnorodność i znaczenie związków naszych rodaków z Syberią Zachodnią. Zasadniczą część tekstów umieszczonych w niniejszym tomie poświęcono losom Polaków w Tomsku oraz szerzej na Syberii Zachodniej w XIX i XX w. Artykuły dotyczą głównie aktywności zesłańców politycznych i dobrowolnych osiedleńców przybywających z dawnych ziem Rzeczypospolitej, działalności uczonych w tej części imperium, kościoła rzymskokatolickiego oraz relacji naszych rodaków z administracją carską.

Podstawę źródłową stanowiła kwerenda w licznych archiwach (w Polsce, Rosji [Petersburg, Tomsk, Irkuck, Omsk, Moskwa], na Litwie i Białorusi); w zbiorach rękopiśmiennych bibliotek i muzeów w Polsce oraz na Litwie. W publikowanych tekstach szeroko wykorzystano literaturę przedmiotu (w języku angielskim, niemieckim, polskim, rosyjskim i ukraińskim), wspomnienia oraz wydawane nad Wisłą i na Syberii periodyki.

We wstępie do książki Wojciech Wrzesiński wskazał m.in. na okoliczności pojawienia się Polaków na Syberii, pielęgnowanie przez nich świadomości narodowej oraz losy w czasach komunistycznych. Podkreślił znaczenie dorobku Ośrodka Badań Studiów Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego w poznaniu dziejów naszych rodaków w tej części świata.

Swoiste wprowadzenie w tematykę książki stanowi obszerny tekst Antoniego Kuczyńskiego. Wybitny znawca problematyki syberyjskiej opisał rolę Polaków w dziejach Tomsku. Słusznie zwrócił uwagę m.in. na rolę Kościoła oraz działalność oświatową, kulturalną i charytatywną naszych rodaków. Przypomniał sylwetki dziesiątków nieznanych dziś w kraju mieszkających tam przedsiębiorców, nauczycieli, urzędników. Szeroko opisał masowe represje komunistów wobec Polaków w obwodzie tomskim. Szczególne miejsce zajęły tragiczne losy naszych rodaków ze wsi Białystok (Biełostok). Wspomniał słusznie o tych, którzy w czasie II wojny światowej służyli w Armii Czerwonej, a po jej zakończeniu wrócili nie do kraju przodków, ale do swych bliskich na Syberii. Omówił odradzanie się polskości od czasów pieriestrojki. Tekst wzbogacają obszerne cytaty m.in. z prasy, nekrologów, listów oraz liczne ilustracje.

Wiadomo jak ważną rolę w życiu zesłańców spełniała religia. Słusznie więc w recenzowanej książce istotne miejsce zajmują umieszczone obok siebie teksty poświęcone losom kościoła rzymskokatolickiego. Początki jego działalności na Syberii Zachodniej opisał Franciszek Maria Rosiński (Wrocław). Słusznie przypomniał, że działalność misji na tym terenie sięga XIII w. Z kolei Jan Trynkowski (Warszawa) na tle dotychczasowych badań ukazał znaczenie materiałów dotyczących parafii irkuckiej i tomskiej przechowywanych w Archiwum Prowincji Małopolskiej Jezuitów. Władysław Masiarz (Kraków) opisał wytrwale blokowane przez Rosję próby powołania w końcu XIX i na początku XX w. biskupstwa na Syberii oraz (w skrócie) prześladowania hierarchii kościoła katolickiego w tej części państwa bolszewików.

Ważne miejsce w publikacji słusznie zajęły losy polskich patriotów wysyłanych z rozkazu władz carskich na wschód. Elżbieta Karich (Tomsk) opisała na podstawie kwerendy archiwalnej adaptację polskich zesłańców na Syberii w XIX w. Z kolei Renata Oplakańska (Abakan) na tle kolonizacji Syberii ukazała

udział Polaków w XIX w. w zaludnianiu jej zachodniej części. Słusznie wzięła jednak pod uwagę zarówno ofiary represji politycznych jak i stosunkowo licznych dobrowolnych przybyszy.

Tym ostatnim swój artykuł poświęcił Mariusz Kulik (Warszawa). Ukazał obecność oficerów polskiego pochodzenia w strukturach Omskiego Okręgu Wojskowego. Obejmował on m.in. gubernię tomską. Wskazał metody jakimi władze carskie starały się ograniczyć obecność Polaków w armii. Przybliżył także sylwetki części naszych rodaków pracujących w rosyjskim mundurze w tak odległej od ojczyzny części imperium.

W recenzowanej publikacji znalazło się też miejsce dla tekstów poświęconych losom Polaków w Rosji w czasie I wojny światowej i wojny domowej. Mariusz Korzeniowski (Lublin) omówił liczebność, skład społeczny i rozmieszczenie Polaków w Tomsku oraz w guberni tomskiej w tym okresie. Opisał pomoc udzielaną na tym obszarze uchodźcom polskim z obszarów Rosji zajętych przez państwa centralne oraz rodakom – internowanym i jeńcom wojennym z zaboru austriackiego i pruskiego. Ukazał w skrócie działalność tutejszych struktur Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny oraz Centralnego Komitetu Obywatelskiego guberni Królestwa Polskiego, rozwój harcerstwa i prasy polskiej. Z kolei Iraida Nam (Tomsk) w obszernym artykule, w oparciu o rosyjskie źródła, prasę i publikacje, opisała wzajemne relacje Polskiego Komitetu Wojennego w Rosji oraz Polskiego Komitetu Narodowego na Syberii. Przy tej okazji wiele miejsca poświęciła skomplikowanej sytuacji naszych rodaków w tej części pograżonego w wojnie domowej imperium. Zwróciła uwagę na relacje obu organizacji z rosyjskimi (na Syberii) i polskimi (w Europie) ośrodkami władzy.

Swe miejsce w tomie mają także szkice omawiające naukowe związki naszych rodaków z tą częścią Syberii. Zbigniew J. Wójcik (Warszawa) ciekawie opisał sylwetki kilkunastu polskich uczonych wykładających na uczelniach Tomsk w końcu XIX i na początku XX w. (lub prowadzących wówczas badania w jego rejonie). Aleksandra Guziejewa i Marina Wojciechowska (Tomsk), na podstawie akt osobowych przechowywanych na Uniwersytecie Pedagogicznym Tomskim, zanalizowały losy Polaków pracujących na tej uczelni w latach trzydziestych i czterdziestych XX w. Andrzej Zieliński (Wrocław) opisał syntetycznie cenne obserwacje Bronisława Zaleskiego dotyczące różnorodnych kultur ludów mieszkających na Uralu (Baszkirów, Czeremisów, Wotiaków i in.<sup>1</sup>).

Ważne miejsce w recenzowanym tomie zajęły teksty ukazujące działalność administracji carskiej. Wiktoria Śliwowska (Warszawa) opisując ucieczki z guberni tomskiej ukazała m.in. bałagan i chaos panujący w przekupnej carskiej administracji na Syberii. Nie umiała ona poradzić sobie z nadzorem nad napływającymi masowo skazańcami z ziem polskich. Inny aspekt przedstawiła syberyjska badaczka Swietłana Mulina (Omsk). Omówiła w swym tekście system i skalę wsparcia finansowego administracji carskiej dla Polaków zesłanych na stałe na teren Syberii Zachodniej. Ukazała starania władz chcących pogodzić zaspokojenie podstawowych potrzeb życiowych skazanych z szukaniem oszczędności w wydatkach skarbowych. Ciekawe informacje o biurokracji carskiej można też znaleźć w artykule Tatiany Niedzieluk (Nowosybirsk). Opisała ona losy pierw-

<sup>1</sup> Większość źródeł, na których Andrzej Zieliński oparł swe wywody, została później opublikowana w: B. Zaleski, *Wspomnienia z Uralu i stepów kazachskich*, oprac. A. Zieliński, „Biblioteka Zesłańca” t. 19, Wrocław 2008.

szej szkoły muzycznej w Nowonikołajewsku założonej przez Jadwigę Świętożycką. Z barwnych opisów działania biurokracji carskiej można przytoczyć odpowiedź Pierwszego Wydziału Tomskiego Zarządu Gubernialnego na pismo absolwentki Konserwatorium Paryskiego: „sprawie [...] zatwierdzenia statutu szkoły muzycznej, nie zostanie nadany bieg do momentu przedstawienia przez petentkę znaczków skarbowych na kwotę 1 rubla 25 kopiejek” (s. 252-253).

W licznych tekstach można znaleźć informacje przybliżające losy poszczególnych naszych rodaków. W tematykę biograficzną wprowadził wspomniany wyżej tekst Antoniego Kuczyńskiego. Piotr Biliński (Kielce-Kraków) wnikliwie zanalizował obraz miasta Tobolska i jego mieszkańców w pamiętnikach Piotra Moszyńskiego oraz losy Polaków w czasie jego pobytu na zesłaniu. W swym szkicu Anna Milewska-Młynik (Warszawa) ukazała wpływ pobytu Konrada Pruszyńskiego w Tomsku na jego poglądy. Jej zdaniem, pobyt w tym mieście stał się dla późniejszego gorliwego krzewiciela oświaty wśród uboższych warstw społecznych „szkołą demokracji [...]”. Tam właśnie zbliżył się do ludu i zaczął rozumieć jego rolę w walce o polskość” (s. 204, 206).

Częściowo biograficzny charakter ma tekst Anny Marii Stogowskiej (Płock). Autorka ukazała rozwój Tomsku w świetle opracowań i wspomnień późniejszego prezydenta Płocka i prezesa Towarzystwa Naukowego Płockiego Aleksandra Macieszy. Przypomniała też jego wszechstronną działalność po powrocie do kraju. Zwróciła uwagę na materiały do dziejów Polaków w Tomsku zachowane w spuściznie prezesa Towarzystwa Naukowego Płockiego.

Zbigniew Moździerz (Zakopane) ciekawie opisał patriotyczną rodzinę, dzieciństwo oraz pobyt w Tomsku Stanisława Witkiewicza. Stwierdził przesadnie, że dla twórcy stylu zakopiańskiego „najważniejszy okres rozwoju stanowił pobyt w Tomsku na Syberii” (s. 227). Wiele szczegółów biograficznych dostarczył też obszerny artykuł Katarzyny Tumanik (Tomsk). Został on poświęcony realiom życia wielu polskich zesłańców, urzędników, kupców, przemysłowców oraz ich rodzin w guberni tomskiej w świetle podań do zarządu gubernialnego w latach 1860-1861. Autorka przypomniała, że „W Rosji konsekwentna i długa walka o swoje prawa – majątkowe, spadkowe, moralne, społeczne czy inne – jest postrzegana jako naruszenie społecznego spokoju, małostkowość, pieniactwo, polityczna awanturczość itd. Taki człowiek stawał się często obiektem społecznego ostracyzmu.” (s. 104). Stąd opisane przez autorkę przypadki nadużyć były przysłowiowym wierzchołkiem góry lodowej. Tym bardziej, że nie każdy zesłaniec był na tyle wykształcony, by wiedzieć o możliwościach dochodzenia swych praw na drodze urzędowej i móc je wykorzystać. Trzeba zauważyć, że opisy pobytu w Tomsku niektórych znanych naszych rodaków przewijają się przez kilka tekstów. Przykładem znany działacz oświatowy Konrad Pruszyński s. 171, 172, 193-207, 226; czy wybitny archeolog Gotfryd Ossowski s. 23-24, 236-237, 239).

W tomie można znaleźć także teksty ukazujące zalety i wady pamiętników jako źródła informacji o losach naszych rodaków na Syberii. Poza opisanym wyżej tekstem Piotra Bilińskiego trzeba tu wspomnieć opracowanie Mariusza Chrostka (Rzeszów) i Anny Brus (Warszawa). Uczony z południowo-wschodniej Polski zajął się zróżnicowanymi, często sprzecznymi ze sobą, obrazami przekraczania Uralu w relacjach zesłańców. Natomiast Anna Brus, opierając się na wspomnieniach Jadwigi Ostromeckiej, ukazała zesłańcze losy rodaków w Tomsku oczami dziecka. Tekst ten uświadamia, że na Syberii Zachodniej były

takie polskie rodziny, w których „dzień zesłańczego dziecka nie różnił się wiele od zajęć innych dzieci w średnio zamożnych, wykształconych rodzinach w kraju: zabawa, nauka, nieliczne, odpowiednie dla dzieci obowiązki.” (s. 175). Anna Brus przypomniała, że „Gorzkie ziarno zesłania mogło zrodzić nie tylko cierpienia, ale i coś ważnego dla kondycji człowieka i percepcji świata: co pozwala widzieć w nim dobro i uwalnia od nienawiści” (s. 179).

Mogło zrodzić, gdyż jak słusznie zauważyła w przytoczonym wyżej tekście Katarzyna Tumanik: „Polaków na Syberii nie można postrzegać jako jednorodnej masy, solidarnej, wzajemnie się wspierającej czy przesiąkniętej wspólnym marzeniem o wolności ich odległej ojczyzny oraz narodowej niezależności.” (s. 102). Zdarzały się, bowiem przypadki wyzyskiwania i nadużyć przemysłowców polskiego pochodzenia wobec biedniejszych rodaków (m.in. s. 92-95, 102).

Z zupełnie odmiennej strony Tomsk i inne miejscowości na Syberii ukazał Mirosław Marczyk (Wrocław). W pełnym cytatów tekście opisał on obraz tej części Rosji zawarty w opisie podróży księcia Pawła Sapiehy. Trafnie zauważył, że „Współczesny czytelnik [dodatkowo] [...] odbywa podróż o wiele ciekawszą, wyprawę w głąb jego duszy” (s. 217). By ułatwić to zadanie Mirosław Marczyk słusznie podaje biografie, wpływy kulturalne którym ulegał Sapieha, wiedzę o przemierzonym kraju i konsekwencje pozycji społecznej arystokraty. Jak zauważył „Podróż Sapiehy przez Syberię jest podróżą sentymentalną. To podróż z historią Polski, jej dramatami i zaprzepaszczonej szansami, to opis losów ludzi, którzy dla ojczyzny poświęcili najwięcej i o których Polacy zapomnieli.” (s. 216).

W przejrzystym syntetycznym szkicu Wasyl Chaniewicz (Tomsk) ukazał losy Polaków na terenie obecnego obwodu tomskiego od XVII do XXI wieku. Szczególną uwagę zwrócił na działalność organizacji polskich na przełomie XIX i XX wieku oraz na represje komunistyczne. Historii regionalnej dotyczy tekst Katarzyny Kość (Warszawa). Autorka na szerokim socjologicznym tle opisała genezę, komunistyczne represje a nade wszystko dzień dzisiejszy wsi Białystok. Poruszyła też sprawy bardziej ogólne, dotyczące Polaków mieszkających dziś na Syberii. Wskazała na coraz mniej pasujący do rzeczywistości stereotyp Polaka-katolika i słabą znajomość języka ojczystego wśród naszych rodaków we wschodniej części Federacji Rosyjskiej. Tekst ten razem z opracowaniem Wasyla Chaniewicza, zamyka zasadniczą część omawianej książki.

Odrębną od powyższej tematykę prezentują dwa artykuły kończące książkę. Artem Kollegow i Walentina Rewiakina (Tomsk) opisać krótko badania kultury polskiej na jednym z wydziałów Tomskiego Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego. Oksana Fefelowa (Kijów) syntetycznie opisała działalność na Syberii absolwentów Akademii Kijowsko-Mogilańskiej w XVIII i w pierwszej połowie XIX wieku oraz stan badań na ten temat. Badaczka z Ukrainy słusznie przypomniała olbrzymi kulturalny wkład jaki absolwenci uczelni działającej na niedawnych terenach Polski i podlegającej polskim wpływom kulturalnym wnieśli w rosyjską kulturę.<sup>2</sup>

Należy podkreślić, że w recenzowanym tomie można też znaleźć informacje dotyczące wielu innych zagadnień. Są wzmianki o obecności u początków

<sup>2</sup> Z najnowszych polskich publikacji na ten temat: Marzanna Kuczyńska, *Odpyły prawosławnych elit z Rzeczypospolitej do Rosji w drugiej połowie XVII i w początku XVIII stulecia. W 350-lecie Unii Hadziackiej (1658-2008)*, pod red. T. Chynczewskiej-Hennel, P. Krolla i M. Nagielskiego, Warszawa 2008, s. 597-621.

dziejów Tomśka jeńców wojennych z wojsk Zygmunta III Wazy (s. 391); szereg informacji o mieszkańcach Tomśka innej narodowości m.in. Chińczyków (np. s. 178, 179, 197); o stosowanych przez władze sposobach znajdowania żon na Syberii dla przybyłych z zachodu Imperium osadników („Władze usiłowały zatrzymać nowych przybyszy, zmuszając córki rdzennych mieszkańców do zawierania z nimi związków małżeńskich, za co ci [miejscowi] otrzymywali wsparcie materialne. [...] Ostatecznie pozwolono nowo przybyłym na kupowanie kobiet” – s. 118); o podróżach Polaków w XIX w. po bliskim Wschodzie czy o udziale polskiego patrioty Franciszka Szemiotha w zwycięskiej dla Austriaków bitwie pod Nowarą w 1848 r. (wyszedł z niej „zdrow, tylko gardło mu i ręka spuchła od krzyku i bicia płazem uciekających własnych żołnierzy.” – s. 223).

Jak sygnalizowano wyżej wiele artykułów wzbogacają ciekawe cytaty. Lekturę recenzowanej publikacji ułatwia znacznie niewielka ilość skrótów w zasadniczej części tekstu. Do nielicznych wyjątków należą cytowane wyżej artykuły Mariusza Kulika i Iraidy Nam. Polski badacz wykaz stosowanych skrótów słusznie załączył na końcu swego artykułu. Zaletą książki są angielskie streszczenia przybliżające dorobek konferencji obcokrajowcom. W trosce o polskiego czytelnika, teksty uczonych z Federacji Rosyjskiej i Ukrainy zostały przetłumaczone na nasz język. Ładna miękka okładka z domem czynszowym z początku XX w. w Tomsku dobrze wprowadza w tematykę książki. Tekst wzbogacono kilkunastoma ilustracjami i kilkoma tabelami.

Z obowiązku recenzenta kilka uwag. Brak rozwiązania kilku zastosowanych w przypisach skrótów np. na s. 108, 129, 223, 280. Szkoda, że ciekawe obszernie cytaty zamieszczone na s. 272 nie zostały przetłumaczone w przypisach na język polski. Jest kilka drobnych niezręczności w tłumaczeniach (s. 244 – wiersz 3 od góry, 324 – wiersz 11 od góry). Zdanie rozpoczynające s. 211 wydaje się zbędną syntezą wcześniej podanych w artykule informacji. W przypisie 24 na s. 329 warto uzupełnić datę śmierci generała Waleriana Czumy – 1962 r.

Powyższe nieliczne drobiazgi nie mają jednak praktycznie wpływu na ocenę recenzowanej obszernej książki stanowiącej, tak jak pokłósia poprzednich konferencji w cyklu poświęconym Polakom na Syberii, bogatą kopalnię wiadomości na temat losów i roli naszych rodaków w Rosji.

*Tomasz Skrzyński*

- **Шимон Токажевски (Токаржевски), *Сибирское лихолетье*, Кемерово 2007, s. 978.**

W ostatnich latach, w Rosji w badaniach historycznych, literackich oraz etnograficznych zaczęto na nowo interesować się polskimi opisami Syberii. Dowodem tego może być chociażby wydanie monumentalnego tomu zawierającego pamiętniki Szymona Tokarzewskiego. Książka jest owocem odkrywczych badań literaturoznawców rosyjskich. Dla rosyjskiego rynku wydawniczego jest to publikacja fenomenalna. W polskich oraz amerykańskich studiach literaturoznawczych już wcześniej zwracano uwagę na możliwość popełnienia plagiatu przez wielkiego pisarza rosyjskiego – Fiodora Dostojewskiego. Polegać by on miał na przyswojeniu sobie pewnych

fragmentów wspomnień polskiego zesłańca politycznego – Szymona Tokarzewskiego. Jednak podjęcie tego problemu przez Rosjan jest faktem godnym szczególnego podkreślenia.

Dostojewski wspomina o Tokarzewskim w swych klasycznych już utworach, takich jak *Wspomnienia z domu umarłych*, *Latopis życia i twórczości Fiodora Dostojewskiego* oraz innych. Był on jego towarzyszem katorgi na Syberii. Właśnie za przyczyną Dostojewskiego w literaturoznawstwie rosyjskim zakorzeniła się błędna transliteracja nazwiska tego polskiego pisarza – Tokarzewski. Po raz pierwszy uwagę na tę nieprawidłowość zwrócił w połowie lat 90-tych XX w. Lijan Konter, literaturoznawca z Moskwy pochodzenia polskiego. Autorzy wstępu do niniejszej publikacji (Meri Kusznikowa, Wiaczesław Toguliew) zauważają, że zagadka związana z osobą Tokarzewskiego zaczyna się już od jego nazwiska (s. 5).

Szymon Tokarzewski urodził się w 1823 r. w Bodaczowie na Zamojszczyźnie, gdzie jego rodzice posiadali majątek ziemski. Zmarł w 1890 r. w Warszawie. W młodości miał styczność z księdzem Piotrem Ściegiennym, który zainspirował go swoim patriotyzmem oraz ideałami demokratycznymi. Tokarzewski był szewcem. Szczycił się wykonywaniem tej profesji, a właściwie wybrał ją celowo, aby zasiać ziarno oświecenia w umysłach warszawskich rzemieślników. W jego skromnym domu, na skrzyżowaniu ulic Bielańskiej i Tłomackiego, zbierali się nie tylko oni, lecz także uczniowie, studenci Akademii Medycznej, później znane postacie, takie jak Tytus Chałubiński, Romuald Traugutt i inni. Ideały narodowowyzwoleńcze zainspirowały Tokarzewskiego do wzięcia udziału w „spisku Ściegiennego”. Po procesie skazano go na 10 lat katorgi. W 1848 r. wraz z grupą więźniów został zesłany do Omska. Dzięki amnestii ogłoszonej z okazji objęcia tronu Rosji przez Aleksandra II w 1857 r. Tokarzewski powrócił do kraju. Po wybuchu powstania w 1863 r. zesłano go do Riazania, skąd wrócił po czterech miesiącach. Jednak w 1864 r. doczekał się kolejnej zsyłki, tym razem do Aleksandrowska nad Amurem, potem do Irkucka, a następnie do Galicza w guberni kostromskiej. Po powrocie do ojczyzny w 1883 r. osiadł w Warszawie.

Tokarzewski napisał 8 zbeletryzowanych pamiętników będących świadectwem jego zsyłki. Zostały one opublikowane w Warszawie na początku XX wieku. Krytycy uznali je za „encyklopedię Syberii”, zarówno jej geografii, flory i fauny, jak i poziomu cywilizacyjnego, stylu życia oraz obyczajów ludów autochtonicznych. Dziś książki tego autora wzbudzają zainteresowanie w Rosji i na świecie, o czym świadczy chociażby szkic byłego dyrektora Muzeum Dostojewskiego w Omsku, Wiktora Wajnermana, opublikowany w periodyku „Golosa Sibiri”, a także przekład jego pamiętników na język angielski w „The Sarmatian Review”.<sup>1</sup>

Utwory Tokarzewskiego spotkały się również z zainteresowaniem w Kazachstanie, gdzie zresztą pisarz także przebywał. Podczas spotkania z prezydentem Nursułtanem Nazarbajewem w 1997 r. były prezydent Polski,

<sup>1</sup> „The Sarmatian Review” jest trójkwartalnikiem wydawanym od 1982 r. przez Instytut Polski w Houston. Porusza tematykę historyczną, kulturową i społeczną krajów Europy środkowej i wschodniej.

Aleksander Kwaśniewski, wspominał o tym wybitnym Polaku, który upamiętnił kazachską ziemię w swych dziełach (s. 6-7).

Redaktorzy publikacji wyrażają swe zdziwienie, iż 8 dzieł autora nie zostało do tej pory, sto lat po ich napisaniu, przetłumaczonych na język rosyjski. Jedyne przekłady ukazały się w zbiorze „Zwienia” w 1936 r. i to tylko ze względu na Dostojewskiego, który przebywał w twierdzy omskiej wraz z Tokarzewskim. Jednak jakość przekładu pozostawia wiele do życzenia, gdyż został on zniekształcony na korzyść rosyjskiego pisarza, a jego nierzetelna treść zamieszczona była w wydaniach akademickich, w tym w *Latopisie życia i twórczości Fiodora Dostojewskiego*. Wywołuje to żywe oburzenie rosyjskich badaczy spuścizny Tokarzewskiego. Powołują się oni także na amerykańską badaczkę, Elisabeth Blake, z Uniwersytetu w Mamphies, która zainteresowała się cennym dorobkiem naszego rodaka. Ona właśnie podejmuje pewne zagadkowe kwestie, na które stara się znaleźć odpowiedź. Zauważa, że polityczne wizerunki Polaków u Dostojewskiego są nie do końca wiarygodne w porównaniu ze wspomnieniami innych zesłańców, współtowarzyszy Tokarzewskiego i Dostojewskiego. Są one zafałszowane z powodu antypatii, jaką wielki pisarz rosyjski żywił do narodu polskiego, a także jego przekonań nacjonalistycznych oraz wiary w mit potęgi Rosji Imperialnej, którym był opętany (s. 8-9).

Redaktorzy książki przytaczają także wypowiedź rumuńskiego badacza, Razvana Ungureanu, opublikowaną w „The Sarmatian Review”. Zauważa on, iż we wspomnieniach obydwu autorów występuje wiele zbieżności. Większa część wydarzeń opisanych przez Tokarzewskiego w 1857 r. znalazła się we *Wspomnieniach z domu umarłych* Dostojewskiego wydanych w 1862 r., tyle że dopracowanych pod względem formy literackiej. Zarówno Polak, jak i Rosjanin opisują dokładnie komendanta twierdzy, przybycie Polaków, sylwetki współwięźniów, a także ich codzienne życie. Zestawiając te dwa opisy, widać różne postawy wobec postkolonialnej Rosji. Wynikało to z tego, iż Dostojewski pisał właśnie dla niej, a Tokarzewski w imieniu polskich zesłańców. Dla rusofila tamtych czasów, jakim był Dostojewski, świat dzielił się na Rosjan i tych innych. Polacy byli więc przez niego umniejszani i degradowani. Samemu Tokarzewskiemu Dostojewski przypisuje wiele negatywnych cech. Rosyjski pisarz zapewnia, iż Polacy żywiли nienawiść do Rosjan, podczas gdy Tokarzewski przedstawia swych rodaków jako takich, którzy nie przejawiali wrogości wobec żadnych nacji. Niechęć okazywali jedynie w stosunku do złoczyńców i alkoholików, których w tym więzieniu nie brakowało. Ungureanu zwraca uwagę na jeszcze jeden, niezwykle istotny i dający do myślenia fakt. Otóż swoje pamiętniki Tokarzewski wręczył księdzu Rogożyńskiemu. Po jego śmierci odkryto, iż część rękopisu (dokładnie 15 stron) zaginęła. Wydawcy nie potrafili odpowiedzieć na pytanie, jaka była ich treść, jednak zaczęto wysuwać podejrzenia w kierunku carskiej policji (s. 10-11).

Problem ten podejmuje na nowo polski badacz, Iwo Pogonowski, według którego te 15 stron mogło zawierać wstydlive fakty z biografii Dostojewskiego. Tym samym podejrzenie skierowane przeciwko carskiej cenzurze można uznać za uzasadnione. Istnieją przecież domniemania co do pedofilii i kryminalnej przeszłości tego wielkiego pisarza. Wynikało to oczywiście z jego kontaktów z półświatkiem, których dowód znajdujemy w słynnych *Notatkach z podziemia*. Dają one przecież szerszemu gronu odbiorców obraz pewnych kręgów

społecznych carskiej Rosji, który oczywiście nie przynosił jej chwały. W swoim artykule *Czy Dostojewski wybił się plagiatem pamiętnika Tokarzewskiego?* Pogonowski podejmuje bardzo kontrowersyjny i drażliwy temat. Przytacza przy tym szereg dowodów, które mogłyby potwierdzić tę tezę. Na obszerny wywód Pogonowskiego powołują się rosyjscy wydawcy niniejszej publikacji. Tokarzewski i Dostojewski przebywali na katordze w tym samym miejscu, w tym samym czasie. Opisują te same okoliczności, te same postacie, jednak u Dostojewskiego brak ich interpretacji. Polski autor zakończył pisać swoje wspomnienia w 1857 r., podczas gdy *Wspomnienia z domu umarłych* rosyjskiego pisarza ukazały się w 1862 r. W 2005 r. w „The Sarmatian Review” opublikowano pierwszy angielski przekład wspomnień Tokarzewskiego, które ten pozostawił polskim studentom w Moskwie. Pogonowski uważa, iż może właśnie dzięki dostępowi do nich Dostojewski dokonał plagiatu. *Wspomnienia z domu umarłych* uważane są za przełom w jego twórczości, choć już wcześniej ukazały się dwie powieści. Styl i organizacja tekstu rosyjskiego pisarza są prawie że identyczne z tekstem Tokarzewskiego. Z tego drugiego wyraźnie widać, że został on napisany wcześniej. Pogonowski dochodzi do wniosku, że Dostojewski mógł zignorować prawa autorskie polskiego zesłańca, który został dwa razy osądzony i skazany. Byłoby zadziwiającym zbiegiem okoliczności, jeśliby dwóch autorów opisywało te same zjawiska i postacie w sposób nieomal zbieżny. Szowinizm Dostojewskiego przejawia się także w literaturze. Twierdzi, iż literatura rosyjska nie ma sobie równych wśród literatur świata. A tutaj okazuje się, że popełnił plagiat wobec literatury narodu, którym gardził? Dodajmy tylko, iż Tokarzewski przedstawia Dostojewskiego jako człowieka słabego, o „śliskim” charakterze, który został skazany za rzeczy, które polskim patriotom wydały się niegodne chwały (s. 13-14).

Doświadczenia katorgi w Omsku spowodowały przełom w światopoglądzie Dostojewskiego. Wyszła im naprzeciw powstała w tym czasie (lata 60-te XIX w.) idea „poczwinnictwa” (spolszczona nazwa – narodnictwo).<sup>2</sup> Dla poczwinników najważniejsze było wyróżnienie prawosławia jako podstawy rosyjskości, a następnie kultury wszechsłowiańskiej oraz wszechnarodowej. Dostojewski dzięki swym prostym towarzyszom niedoli, kryminalistom pochodzącym ze środowisk wiejskich, uświadomił sobie przepaść, jaka dzieli rosyjski lud od zeuropeizowanej inteligencji. Przeciwstawiał egoizm kapitalistycznej cywilizacji europejskiej ideałowi braterskiej wspólnoty przechowywanemu w prawosławiu i tradycjach rosyjskiego ludu. Dostojewski wyrażał przekonanie, iż cywilizacja zachodnia porzuciła drogę Chrystusa a wybrała drogę Bogocześnika. Katolicyzm jako spadkobierca Cesarstwa Rzymskiego stał się przyczyną wszelkich nieszczęść chrześcijańskiej Europy. Głosi on wiarę w fałszywego Chrystusa czyli Antychrysta. Wrogość wobec cywilizacji europejskiej nasiliła się w Rosji po tym, jak państwa Zachodu podczas wojny rosyjsko-tureckiej (1853-1856) opowiedziały się po stronie Turcji. Polacy chcieli wykorzystać wojnę do odzyskania niepodległości. Antykatolickie nastroje Dostojewskiego wzmocnił również wybuch powstania styczniowego w Królestwie Polskim.<sup>3</sup>

<sup>2</sup> A. de Lazari, *W kręgu Fiodora Dostojewskiego. Poczwinnictwo*, Łódź 2000, s. 9.

<sup>3</sup> A. Walicki, *Zarys myśli rosyjskiej. Od oświecenia do renesansu religijno-filozoficznego*, Kraków 2005, s. 481, 482, 489.



Dostojewski był zafascynowany historiozoficznym traktatem Mikołaja Danilewskiego pt. *Rosja i Europa*. Kontynuował on kierunek myśli propagowanej w czasopiśmie „Wremia” i „Zwienia” wydawanych przez Dostojewskiego i jego brata. Traktat podsumowywał koncepcje panslawistyczne oraz głosił brutalny rosyjski szowinizm wielkomocarstwowy. Istnieją dwa przeciwstawne sobie typy cywilizacji: germańsko-romański (europejski) oraz słowiański. Ponieważ Europa jest wroga Imperium, Słowianie powinni zjednoczyć się pod przywództwem samodzierżawnej Rosji w postaci Związku Wszechsłowiańskiego. Jednak nie było w nim miejsca dla Polaków, którzy zdradzili chrześcijaństwo, przyjmując fałszywą religię z Rzymu. Danilewski uważał Polskę za „Judasza Słowiańszczyzny”. Poglądy te podzielał Dostojewski, dlatego Polacy chcący się wyrwać spod jarzma Imperium Rosyjskiego budzili jego ogromną niechęć. Uważał, iż słowianofilstwo to nie tylko sojusz polityczny, lecz duchowe zjednoczenie Słowian w religii prawosławnej, pod przywództwem cara.<sup>3</sup>

Książka składa się z 7 części. Pierwsza (s. 5-98) to obszerny wstęp redaktorów (Meri Kusznikowej i Wiaczesława Toguliewa). Zawiera on biografię Tokarzewskiego, analizę dotychczasowych studiów nad jego dziełami w badaniach amerykańskich oraz polskich. W drugiej części wstępu mamy zestawienie poszczególnych partii ze *Wspomnień z domu umarłych* Dostojewskiego z *Siedmioma latami katorgi* Tokarzewskiego. Zabieg ten ma na celu pokazanie zbieżności opisów tych samych wydarzeń i postaci. Jedynie obraz Polaków u Dostojewskiego różni się diametralnie od tego, jak przedstawił ich Tokarzewski. Znamienne jest to, iż kiedy Dostojewski pisze o Polakach w sposób neutralny lub pozytywny, wtedy nie podaje narodowości przedstawianych osób. Z kolei, gdy znajdzie podstawy, aby wyostrzyć pewne negatywne cechy, natychmiast podkreśla polską narodowość. Redaktorzy za pomocą takiego zestawienia szukają dowodów plagiatu popełnionego przez wielkiego pisarza rosyjskiego.

Część druga książki (s. 99-830) to 8 utworów Tokarzewskiego (*Семь лет каторгии, Каторжники, Среди умерших для общества, В скитаниях, Побег, Из записок 1863 года и последующих дней, Тернистым путём, Без паспорта*).

Kolejne części to obszerne przypisy i uwagi (s. 831-908), *Kronika wydarzeń wspomnianych przez Szymona Tokarzewskiego* (s. 909-932), spis nazwisk (s. 933-956), wykaz nazw geograficznych (s. 957-974) oraz wykaz skrótów.

Anna Mrozowicka

---

<sup>3</sup> A. de Lazari, op. cit., s. 86-90.

## LISTY DO REDAKCJI

Redakcja „Zesłańca” przywiązuje wielką wagę do zróżnicowania jego tematyki, do tego zwłaszcza, by publikowane na jego łamach artykuły dotyczyły szerokich kontekstów polsko-syberyjskich, by stwarzały dogodne warunki do edukacji ludzi z różnych środowisk i pełniejszego oglądu wkładu Polaków w poznawanie, zagospodarowywanie i naukowe poznanie Syberii.

Poszczególne zeszyty „Zesłańca” – a ukazało się już ich 40 – zawierają wiele artykułów na ten temat, autorstwa historyków polskich, jak i rosyjskich. Ci ostatni posiadają częstokroć odległe polskie korzenie i należą nieraz do aktywnych animatorów odradzania się współcześnie świadomości etnicznej Polaków za Uralem. Od czterech stuleci wrośnięta w naszą historię Syberia odbija się różnymi kolejami losów, a „Zesłaniec” stara się przybliżyć Czytelnikom cały obszerny zespół tych kontekstów.

Nie wydaje się, aby ten zakres i charakter tematyki naszego kwartalnika uległ w przyszłości istotniejszym przekształceniom. Niewątpliwie jednak będą się zmieniać treści tych artykułów poprzez przechodzenie do bardziej źródłowej dokumentacji czerpanej z przebogaty archiwów syberyjskich. Na trasie tych kontaktów odwiedzaliśmy już Kazań i Jarosław nad Wołgą, Irkuck, Jakuck, Kamczatkę, Omsk i Tomsk, Sachalin i Władywostok.

Były też artykuły o kołymskich i workuckich łagrach oraz o zesłaniach i deportacjach Polaków na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. Temu służy w „Zesłańcu” specjalny dział pod nazwą „Relacje z zesłania” cieszący się szczególnym zainteresowaniem Czytelników, którzy mają w swoich życiorysach syberyjskie doświadczenia zesłańcze. Cieszy nas fakt, że tak dobrana tematyka „Zesłańca” odpowiada naszym Czytelnikom wśród których znajdują się Członkowie Związku Sybiraków, ale także i ludzie spoza Związku – nauczyciele akademicy, nauczyciele historii w szkołach średnich i podstawowych, studenci i uczniowie. Potwierdzenie tego znajduje odbicie w telefonach i listach do redakcji, których przykłady cytujemy poniżej. Dziękujemy też naszym ofiarodawcom za finansowe wspieranie „Zesłańca”(red.)

\*

Wrocław 18 maja 2009 roku

Sekretarz  
Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa  
Pan Andrzej Przewoźnik  
ul. Wspólna nr 2  
00-926 Warszawa

Pozwalam sobie na złożenie serdecznych podziękowań za udzielaną pomoc w wydawaniu periodyku „Zesłaniec”. Dla zesłanej na Syberię, w latach 1940-1946, bardzo cenne są w tym wydawnictwie artykuły mówiące o doznanej przez Polaków katorżniczej martyrologii na Wschodzie. Katorgi rozpoczynającej się w wieku XVI., katorgi jako represji za stałą walkę o wolność, poszanowanie praw człowieka i wyznawanej religii.

Moja wielce pozytywna ocena wynika również z tego, że Redakcja umieszcza nie tylko artykuły świadczące o przeżytej martyrologii oraz osiągnięciach Polaków, tak w dziedzinie życia gospodarczego, kulturalnego, jak i reli-

gijnego, ale na wielu stronach znajdujemy treści świadczące o współzyciu przyjacielskim Polaków – zesłańców z ludnością autonomiczną, jak i zesłańcami z różnych stron wielkiej Rosji i późniejszego Kraju Rad.

Treści zawarte w „Zesłańcu” stają się doskonałym materiałem wzbogacającym własne przeżycia z zesłania, w czasie historycznego przekazu na spotkaniach z młodzieżą szkolną, zgodnie z porozumieniem zawartym między Związkiem Sybiraków a Dolnośląskim Urzędem Marszałkowskim i Kuratorium Oświaty.

Za bardzo czynny udział w tych spotkaniach, za opracowywanie różnych publikacji na temat losów Polaków w czasie II wojny światowej oraz opisów i opieki nad znakami pamięci otrzymałam wielkie wyróżnienia, a mianowicie: w roku 2003 Srebrny Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej, w roku 2006 Medal Pro Memoria, a w roku 2008 Medal Edukacji Narodowej.

Serdecznie pozdrawiam

*Zofia Helwing*  
*Honorowa Prezes Związku Sybiraków*  
*Oddział we Wrocławiu*

Otrzymuje: Redakcja „Zesłańca”  
Prof. Antoni Kuczyński

\*

Warszawa 29.05.2009 roku

Szanowna Redakcjo!

Czasopismo „Zesłaniec”, które wychodzi już 15 lat jest pod względem merytorycznym i literackim bez zarzutu. Wydaje mi się, że logo „Zesłańca” zostało zaczerpnięte z jakiegoś obrazu, jeśli tak jest, proszę o podanie tej informacji.

Do najciekawszych tekstów należało opracowanie docenta Władysława Masiarza z Krakowa, który zgromadził i omówił wszystkie numery pisma przedwojennego organu Związku Sybiraków – jakim był „Sybirak”. Utało się, że Marszałek Józef Piłsudski był honorowym członkiem Związku Sybiraków i miał legitymację nr 1. Wydaje mi się, że potrzebna jest informacja, że uwielbiany przeze mnie Marszałek był honorowym członkiem, ale legitymacji nr 1 nie posiadał tylko nr 2.

Chciałabym, żeby w „Zesłańcu” było opracowanie o pogardzie dla Sybiraków (szczególnie uciążliwe jest ciągle porównywanie nas do cierpień Polaków w Niemczech). Odczuwam jeszcze lekceważenie Sybiraków a sama nie jestem w stanie przygotować takiego opracowania, ponieważ bardzo źle widzę. Czy inni Sybiracy odczuwają to lekceważenie?

Chciałabym również, żeby przy zamieszczanych w „Zesłańcu” artykułach, napisane było – czy autorem tekstu jest świadek danych wydarzeń. Bardzo brakuje mi tej informacji. Bardzo odpowiadają mi tematyczne numery, np. ten poświęcony Matkom-Sybiraczkom.

Apeluję do Sybiraków, żeby popierali „Zesłańca”. Gdy nas już nie stanie, będzie on świadczył o naszych problemach i przeżyciach.

*Irena Głowacka*

Od redakcji: dziękujemy Pani Irenie Głowackiej, inicjatorce reaktywowania w roku 1988 Związku Sybiraków za podzielenie się z nami swoimi uwagami dotyczącymi treści „Zesłańca” i potrzeby dalszej jego edycji, bowiem kiedy „nas już nie stanie będzie on świadczą o naszych problemach i przeżyciach.” – jak napisała w swoim liście do redakcji.

Informujemy przy tym, że tytuł naszego kwartalnika nawiązuje do dodatku „Zesłaniec”, ukazującego się w ramach „Dziennika Dolnośląskiego” we Wrocławiu w roku 1991. Redagowali go: Anita Tyszkowska, Krzysztof Kopka i Antoni Kuczyński (autor nazwy „Zesłaniec”) i Tadeusz Kuranda (opracowanie graficzne), którego autorstwa jest też winieta pisma, która nawiązuje do obrazu „Na etapie” pędzla znakomitego artysty Jacka Malczewskiego. W liście autorki jest też informacja, że Marszałek Józef Piłsudski nie posiadał legitymacji Związku Sybiraków z numerem 1. Wedle wszelkich zapisów dotyczących przedwojennego Związku Sybiraków wynika, że posiadał On taką legitymację, natomiast legitymację z numerem 2 otrzymał Waclaw Sieroszewski – zesłaniec, etnograf, literat i polityk. To właśnie Jemu poświęcona była w roku 2008 międzynarodowa konferencja zorganizowana w Domu Polonii w Pułtusku przez Instytut Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk, Katedrę Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego i Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

Redakcja dziękuje autorce listu za wspieranie naszego edytorskiego trudu i zachowuje we wdzięcznej pamięci współpracę związaną z monotematycznym zeszytem „Zesłańca” poświęconym Matkom Sybiraczkom.

\*

19 marca 2009 roku

Szanowny Panie Redaktorze.

Nie wiele jest współcześnie czasopism, których tematyka dotyczy losów Polaków na Syberii, zauważam też, że tematyka ta jest prawie nieobecna w prasie codziennej oraz w radio i telewizji. Nawet słuchane przeze mnie „Radio Maryja” skąpi tej tematyki w swoich audycjach. Nieraz rozmyślenia moje schodzą na te tematy i stawiam sobie pytanie dlaczego tak jest, że słowo Syberia i losy Polaków z nią związane stanowią taki deficyt w środkach masowego przekazu?

Czytane przeze mnie czasopismo „Zesłaniec”, a zaznaczam, że nie jestem sybiraczką, jest popularyzatorem tej problematyki, w stopni kompetentnym, a perspektywa publikowanych w nim tekstów jest dość szeroka – od zesłań w wieku XIX, poprzez dzieło cywilizacyjne Polaków w tej części Rosji carskiej, poprzez nurt martyrologiczny z okresu drugiej wojny światowej. Oczywiście poznawanie polskich losów na Syberii poprzez lekturę „Zesłańca” jest ułamkowe, bo zawsze nieukończone i zamknąć się nie daje.

Gratuluje więc Szanownej Redakcji za przybliżanie swoimi tekstami skomplikowanych syberyjskich losów Polaków. Gratuluje i zachęcam do kontynuacji rozpoczętego dzieła oraz serdecznie pozdrawiam.

*Wanda Wodecka*

\*

Busko, 15 maja 2009 roku

Pan Redaktor Naczelny „Zesłańca”  
Szanowny Panie!

Los sprawił, że poprzez sąsiedztwo w jednym pokoju z byłym Sybirakiem, który podobnie jak ja jest na kuracji w sanatorium wpadły mi w ręce dwa numery pisma „Zesłaniec” redagowanego przez Szanownego Pana. Mogłem w nich wiele przeczytać o Polakach na Syberii, dawniej i mniej dawniej tj. w okresie drugiej wojny światowej. Szkoda, że tak mało wie o tym młodzież a na przedmiocie historii moi wnukowie prawie nic o tym nie mieli wykładane. Skąd więc ma o tym wiedzieć młodzież. W gazetach też mało a w telewizji prawie nic.

Jestem pod korzystnym wrażeniem lektury tego pisma. Piszcie tak dalej. Wiele się z niego dowiedziałem, sam też zaznałem smaku Syberii. Piszcie o tym dalej, ośmielam się też zaproponować temat o Polakach co nie zdążyli do wojska gen. W. Andersa i szli do Polski jako dywizja kościuszkowska. Można się zwrócić z apelem do byłych jej żołnierzy i na pewno coś napiszą.

Życzę pomyślności w dalszym redagowaniu pisma. Pozdrawiam.

*Jan Widaszewski*

\*

Jestem czytelnikiem „Zesłańca”, który wypożyczam od znajomej sybiraczki. Chcę obiektywnie stwierdzić, że podczas uważnej lektury publikowanych na jego łamach artykułów odczuwam obiektywizm w ocenie tragicznych losów Polaków na Syberii, bez nużącego martyrologicznego biadolenia. Faktem niezaprzeczalnym jest, że Syberia kojarzy się naszemu narodowi z doświadczeniami pełnymi goryczy, ale i prawdą jest to, że przyczyniliśmy się do jej poznania i cywilizacyjnego rozwoju w XIX wieku. Ktoś z mojej rodziny budował kolej transsyberyjską.

*Zygmunt Koniusz*

\*

Każdy numer „Zesłańca” poprzedzony jest notą „Od redakcji”, autorstwa Wiesława Krawczyńskiego, Przewodniczącego Rady Naukowej Zarządu Głównego Związku Sybiraków. Zawsze znajdują się w niej słowa podziękowania za wspieranie finansowe naszego pisma oraz za uwagi dotyczące jego tematyki, propozycje tematyczne i redakcyjne. Czytamy te listy z uwagą i wiele zawartych w nich propozycji służy podejmowaniu nowych inicjatyw tematycznych przyczyniających się do rozbudzania zainteresowań czytelników dziejami Polaków na Syberii.

Zdobywanie takich materiałów to uciążliwa droga, „Zesłaniec” bowiem nie honoruje finansowo autorów tekstów. Mimo to, ciągle pozyskuje „nowe pióra”, a krąg jego czytelników stale poszerza się, docierając do odbiorców w kraju i na świecie. „Zesłaniec”, stanowi niezwykłą mozaikę złożoną ze skomplikowanej rzeczywistości polskich losów na Syberii. Jego lektura znakomicie powiększa skądinąd i tak wielkie korzyści płynące do czytelników z obcowania z publikowanymi artykułami – historycznymi, relacjami z zesłania, recenzjami czy przyczynkami kronikarskimi. Obecnie, gdy badania nad przeszłością Polaków na Syberii nabierają pełniejszego obrazu kwartalnik „Zesłaniec” patronuje tym badaniom i stanowi forum wymiany wiadomości z tego zakresu. (red.)

*Cicha Noc, Święta Noc  
Pokój niesie ludziom Wszem,  
A u żłóbka Matka Święta  
Czuwa sama uśmiechnięta*



*Wszystkim Czytelnikom „Zesłańca”  
oraz Sybirakom w kraju i rozproszonym po świecie,  
najlepsze życzenia zdrowia,  
Błogosławieństwa Bożego,  
ludzkiej życzliwości i uśmiechu  
życzy*

*Rada Naukowa  
Zarządu Głównego Związku Sybiraków  
oraz redakcja „Zesłańca”*

*Warszawa – Wrocław 2009*

# SYBIRSKA KOŁĘDA

Słowa: Anna Rudawcowa  
Muzyka: Stanisław Markowski

Śpij, Jezusku, śpij Malutki,  
Luli, luli, luli,  
Matusz kupi nowe butki,  
Matusz Cię utuli

Matusz szepnie Ci na uszko –  
Czy Ty wiesz, Kochanie?  
Polskim dzieciom marzną nóżki  
W zimnym Kazachstanie.

Śpij, Jezusku, złota gwiazdko  
Kryształowa roso,  
Aniołowie słodkie ciastko  
Tobie wnet przyniosą.

Jeden z nich, co gra na lirze,  
Lekko sfrunie z nieba,  
Wiesz, Jezusku, na Sybirze,  
Dzieciom braknie chleba.

Weźmiesz ciastko, weźmiesz butki  
I ciepłe ubranie  
Pójdiesz, by rozpędzać smutki  
W zimnym Kazachstanie

Srebrny księżyc z Mlecznej Drogi  
Zbierze mleko słodkie,  
Matusz upiecze Ci pierogi  
Dla polskiej sierotki.

Miś przyniesie plaster miodu,  
Pójdzie z Jezusikiem,  
By nie znały dzieci głodu  
Na Sybirze dzikim.

By w noc dziką, by w Noc Świętą  
Zła niedola prysła,  
Żeby każdy dziś pamiętał,  
Że gwiazdka zabłysła.